

ANNA ROZENBERG

Zło jest jak blizna

ZNAKI SZCZEGÓLNE



Obsypana nagrodami seria kryminałów

ANNA ROZENBERG

ZNAKI SZCZEGÓLNE


HARDE
WYDAWNICTWO

Spis treści

18.12.2013 r., środa
19.12.2013 r., czwartek
20.12.2013 r., piątek
21.12.2013 r., sobota
22.12.2013 r., niedziela
23.12.2013 r., poniedziałek
24.12.2013 r., wtorek
25.12.2013 r., środa
26.12.2013 r., czwartek
27.12.2013 r., piątek
28.12.2013 r., sobota
Epilog
Podziękowania

Copyright © by Anna Rozenberg, 2023

Redaktor prowadząca dział fiction: Małgorzata Hlal; mhlal@grupazpr.pl

Redaktor nadzorująca: Anna Sperling

Redakcja: Igor Stefanowicz

Korekta: Joanna Misztal, Mariola Niedbał

Projekt okładki: Olga Bołdok-Banasikowska

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2023

ISBN 978-83-67502-66-5

Wydawca: TIME SA, ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa



Więcej o naszych autorach i książkach:

facebook.com/hardewydawnictwo

instagram.com/hardewydawnictwo

tiktok.com/@harde.wydawnictwo

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

*Mojemu mężowi – Pawłowi
za dwie dekady spełniania marzeń*

18.12.2013 r., środa

Noc wyjątkowo milczała. David Redfern nie mógł ułożyć sobie w białym szumie miasta i zasnąć. Kolejny raz toczył nierówną grę z bezsennością, a dziś dodatkowo stawkę podbijało światło ulicznej lampy. Wstał i nerwowo złapał za zasłone okna. Zamarł w połowie ruchu. Wpatrywał się w sunący po chodniku zwalisty kształt. Był pewien, że rozpoznaje tę postać. Nerwowo napiął mięśnie i czekał. Gdy człowiek zrównał się z oknami domu przy Princess Road, Redfern zrozumiał, iż to tylko nieokreślona szarość ulicy sprawiła, że jego zmęczony umysł zakwalifikował osobę jako kogoś znajomego. Postać nagle przystanęła i odwróciła głowę. Zupełnie jakby wzrok inspektora policji z Woking przyciągnął ją i kazał spojrzeć dokładnie w zasnute mrokiem okna.

Redfern miał wrażenie, że ten ktoś patrzy na niego i wie. Odkąd inspektor odzyskał wolność, nie mógł się pozbyć brudnego i oblepiającego wrażenia, że wszyscy wiedzą.

Zwolnienie z aresztu przebiegło w atmosferze zimnej i podbiegniętej goryczą radości. Prokuratura uznała, że jego pobyt w tym miejscu nie ma ani podstaw, ani sensu. Lepiej go wypuścić i zyskać możliwość obserwacji ruchów inspektora, które od tygodnia ograniczały się wyłącznie do wizyt w szpitalu.

Marta Sokolińska pozostawała nieprzytomna. Dziwne, że w ogóle przeżyła porwanie i tortury, którym została poddana w nieczynnym bunkrze na skraju pola golfowego Hoebridge. Lekarze podjęli decyzję o wprowadzeniu jej w stan śpiączki farmakologicznej.

Mimo opuszczenia celi, Redfern wciąż czuł się więźniem, ale nie systemu sprawiedliwości, ale własnej niemocy. Jej poczucie z uporem dmuchało w płomień tłący się w jego umyśle i sprawiało, że gorzał ze wstydu. Nie skojarzył w porę faktów i nie przyszedł na czas z pomocą, skazując kobietę na niewyobrażalne cierpienie.

Od momentu znalezienia Marty czuł na sobie oskarżycielski wzrok każdej napotkanej osoby. Tak jak teraz, kiedy stał sparaliżowany spojrzeniem obcej bezdomnej postaci, która pchała przed sobą całe swoje życie spakowane do wózka sklepowego.

Redfern ocknął się i zasunął zasłonę, by odgrodzić się od świata i podłych myśli i uszczknąć choć skrawek nocy dla nerwowego snu.

*

Przez granat horyzontu powoli przenikał blady świt. Patrząc na ten smutny spektakl, Redfern zastanawiał się, czy wpuszczą go już na oddział szpitala. W ciemności podszedł do krzesła i przeglądał zawieszona na nim ubrania w poszukiwaniu tego, które jeszcze nadawało się do założenia. Usłyszał za sobą cichy szelest i odwrócił się. Pod drzwiami do sypialni rozbłysnęła smuga światła. Ostatnie, czego chciał, to spotkanie z dziadkiem. Po wyjściu z aresztu bardzo dbał o to, by ich drogi w domu przy Princess Road krzyżowały się jak najrzadziej. Dziś nie miało być inaczej. Wrócił do łóżka i naciągnął kołdrę na głowę, na wypadek, gdyby Siwiaszczyk chciał niespodziewanie wejść i sprawdzić, czy wnuk śpi.

Pod tak skonstruowanym namiotem Redfern przeglądał nieodebrane połączenia. Najwięcej było tych od McMahona. Odkąd przekroczył próg aresztu, Redfern nie miał ochoty rozmawiać z przełożonym, a po wyjściu z sali przesłuchań nie mógł nawet spojrzeć w jego kierunku. Pośród licznych symboli czerwonej słuchawki zobaczył połączenie od Tinneya, ale tylko jedno. Młody policjant wiedział, w co i jak się gra. Dał znać, że jest. Tyle wystarczyło Redfernowi, by się uśmiechnąć. Przewijał listę w nadziei, że znajdzie tam ślad próby kontaktu ze strony The Priory. Jednak klinika uzależnień, w której przebywała sierżant Linda Wall, milczała. Albo nie mieli mu nic do powiedzenia po ostatnim załamaniu pacjentki, albo w ogóle nie zamierzali go informować o jej stanie.

Im dłużej trwało to milczenie, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że dzieje się coś złego. Nie miał jednak ani siły, ani wolnej chwili, by jechać do kliniki. Musiał wszystko zostawić upływowi czasu, którego nurt raz wyrывał brzegi rzeczywistości, by za chwilę nanieść złotonośne piaski.

Niespodziewanie ekran rozświetlił się połączeniem przychodzącym. Redfern chciał odłożyć telefon, ale aparat wyslizgnął mu się z dłoni i łapiąc go, nacisnął zieloną słuchawkę. Nie chcąc wyjść na kretyna, bąknął krótkie „halo”.

– Nie spodziewałem się, że odbierzesz – usłyszał w odpowiedzi zdziwiony głos McMahona.

– I słusznie – burknął Redfern, podniósł się i usiadł na brzegu łóżka, stawiając obolałe stopy na skrawku dywanu.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że zrobimy wszystko, by znaleźć skurkowańca, który to zrobił.

– A swoją szeroko zakrojoną akcją rozpoczęliście od wsadzenia mnie do pierdła. Wróżę sukces.

– Daruj sobie sarkazm – prychnął Greg.

– Chwilowo innej broni nie mam.

– Nie dramatyzuj. – McMahon wytarł poczucie winy o garnitur pewności siebie. – Jak wszystko ucichnie, wrócisz do służby. Przecież nie jest to twój pierwszy raz.

– Dupek z ciebie, Greg – warknął Redfern. – Nie wyciągnąłeś nawet rąk z kieszeni, żeby pomóc mi wydostać się z gówna. Gdyby nie świadek, który na polu golfowym widział Martę w towarzystwie białego faceta, to siedziałbym do dziś. Nie spodziewam się więc, że radośnie wciągniesz mnie na pokład.

– Ja nie – odparł z dziwną jak na niego szczerością. – Ale Malcolm Knight już tak.

Redfern przywołał w myślach sylwetkę szefa komendy w Woking. Zaledwie dwa tygodnie temu ktoś próbował otruć tego starszego mężczyznę. Teraz powoli dochodził do siebie na miejscu nieudanej zbrodni, czyli w zaciszu swojej willi. Jeśli Knight wraca, to znaczy, że nadzieja jeszcze się nie wykrwawiła.

Z tym chwilowo pozytywnym nastawieniem pożegnał McMahona i rozłączył się. Przez moment zastanawiał się, gdzie po całej rozszadzie wyląduje zastępca komendanta, który miał ten sam stopień co Redfern. W końcu postanowił nie martwić się na zapas.

Spiżarnię ze zmartwieniami wypełniała mu za to Summer Winter. Podwładna nie odezwała się ani słowem, zniknęła mu z horyzontu. Ale był pewien, że mocno trzyma się szachownicy, niczym podbity magnesem pionek z blaszanego zestawu, który jako dziecko otrzymał od dziadka podczas odpustu. Redfern wiedział, że sierżantka Winter rozegra tę partię po swojemu, czyli precyzyjnie i z nieprzewidywalnym finałem.

Pod drzwiami zobaczył dwie ciemne pręgi. Nie zdążył się położyć, kiedy klamka opadła, a w szparze między skrzydłem a futryną ukazała się głowa Siwiaszczyka.

– Słyszałem, że nie śpisz. – Wślizgnął się do pokoju i zamknął za sobą drzwi, jakby ktoś mógł ich podsłuchać. Albo żeby odciąć wnukowi drogę ucieczki.

– Dzwonił McMahon – odparł niechętnie Redfern i wstał. Starł się nie patrzeć w stronę dziadka, by nie dać mu szansy wyczytania z twarzy znamion nieprzespanej nocy i bólu, który przyniosła.

– Czego chciał? – zagadnął odrobinę zbyt łagodnym głosem, co zirytowało Redferna.

– Przeprosić. – Skrzywił się i wybrał ze sterty na krześle granatową koszulkę. Szybko ją założył bez oceny świeżości. Ruszył do wyjścia, ale kątem oka

zauważył, że starszy mężczyzna odgarnia kołdrę i siada na łóżku. Położył wymownie dłoń na prześcieradle, co śpiący dotąd pod stołem Bandit uznał za zaproszenie. Redfern wiedział, że Siwiaszczykowi nie chodzi o psa. Odwrócił się i usiadł obok dziadka.

– Naprawdę nie mam na to siły – rozpoczął, zanim staruszek zdążył nabrać powietrza.

– Dawidek, ja nie zamierzam cię przesłuchiwać. Ja tylko chcę wiedzieć, czy nic ci nie grozi. Chyba tyle możesz z siebie wykrzesać dla starego człowieka?

– Sęk w tym, że nie mogę – odparł, ale widząc rozczarowanie w niebieskich oczach, dodał: – Bo nie wiem. Naprawdę nie wiem, co się dzieje, dziadku.

– A Marta?

Imię kobiety niemal zgrzytnęło mu w uszach. Spojrzał krótko na Bohdana, mając nadzieję, że to wystarczy. Niepewność co do przyszłości kobiety była tak dojmująca, że nie znajdował słów, by ją wyrazić. Bał się, że jeśli otworzy usta, nagle wypłynie cała jego bezradność, a wtedy stanie się ona ostateczną prawdą.

Nie tym razem.

– Powiesz mi? – zapytał cicho dziadek.

– Co mam powiedzieć? – rzucił z goryczą. – Że możliwe, że nie przeżyje, że straciłem robotę, że na wolności grasuje jakiś psychol, który krzywdzi wszystkich wokół mnie, a ja mam związane ręce i mogę tylko się przyglądać?

– Myślę, że to całe szczęście, że masz związane ręce, bo inaczej wsadziłbyś je między drzwi – zauważył Siwiaszczyk. – A tak masz czas na przemyślenie i rozegranie tego po swojemu.

– Co tu jest do rozgrywania twoim zdaniem, co? – zaatakował Redfern. Krew zabuzowała mu w skroniach.

– Siedzenie w tym pokoju i udawanie, że śpisz, też nic nie da! – wrzasnął niespodziewanie Bohdan, ale podeszły wiek wprowadził w drganie jego głos, ujawniając niedołęźność. – Nie tak cię, do cholery, wychowałem! Zaczynj wreszcie myśleć.

– Może lepiej jakbyś mnie nie wychowywał?!

Przesadził.

Wiedział, że posunął się za daleko. Bohdan Siwiaszczyk, policjant z Częstochowy, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku rzucił całe dotychczasowe życie i pojechał z osieroconym nastoletnim wnukiem do jego ojczyzny. Do kraju, który odebrał mu nie tylko córkę, ale i wnuczkę. Latami dwoił się i troił, by wychować Dawida na ludzi, jednocześnie starając się znaleźć dla siebie miejsce we wciąż wrogo nastawionej do Polaków społeczności. A przede wszystkim zapomnieć o samobójstwie Antoniny i porwaniu małej Dominique. Redfern wiedział, że dziadek nie zasłużył na ostre słowa. Ich

temperatura była zbyt wysoka, by dało się ją obniżyć jakimkolwiek „przepraszam”. David mógł zrobić tylko jedno.

– Jadę do Marty – powiedział szorstko i ruszył do wyjścia.

Był pewien, że Siwiaszczyk podąży za nim z nową porcją mądrości i rad, ale zamiast szurania rozkładanych kapci, doszło go tylko mocne westchnienie.

Szedł do samochodu wściekły i zdruzgotany swoją bezczelnością. Wsiadł za kierownicę, zastanawiając się, jak to możliwe, że kochająca ręka potrafi wprowadzić najcięższe ciosy z taką łatwością.

*

Mijał korytarze szybkim krokiem, ale nie na tyle, by zakłócać spokój pacjentów stukotem butów. Wszedł do sali i przywitał się z pielęgniarką, która ustawiała coś przy aparaturze pod ścianą. Kobieta uśmiechnęła się blado, po czym zwróciła w stronę łóżka. Przez przerażający ułamek sekundy Redfernowi zdawało się, że chciała naciągnąć prześcieradło na twarz Marty.

Pół metra. Tyle wystarczyło, by niebieski materiał z niewinnego przykrycia przeobraził się w śmiertelny całun.

Redfern wzdrygnął się. Pielęgniarka zauważyła zmianę na jego twarzy i gładko przeszła do poprawiania poduszki. Przez chwilę zatrzymała na Davidzie zielone spojrzenie, chcąc łagodnym uśmiechem dodać mu otuchy.

Kiedy wyszła, Redfern usiadł na stojącym obok łóżka krzeselku. Poprawił prześcieradło, obniżając je nieco. Miał ochotę chwycić Martę za pokłutą wenflonem dłoń, ale w ostatniej sekundzie cofnął rękę, uważając, że po tym, co przeszła, dotyk jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje.

Zerknął w stronę drzwi i upewnił się, że są zamknięte, po czym wziął głęboki oddech. Ze wszystkich sił chciał, żeby to on leżał teraz pod niebieską płachtą. Ze wszystkich sił chciał, by ten oddech wzięła Marta.

– To ja – zaczął niezdarnie, jakby nacisnął przycisk domofonu nieznanego mieszkania. Dwa możliwe najkrótsze słowa – ten klucz, ten wytrych nie zadziałał. W odpowiedzi usłyszał tylko syczenie maszyny. – Lekarze mówią, że jesteś silna i dasz radę. A jeśli ty dasz, to i ja.

Prawda była jednak taka, że o ile jej organizm otrzymał szansę na regenerację, to ta nie następowała. Pół roku, tyle maksymalnie mogła trwać śpiączka farmakologiczna, ale nikt nie był w stanie przewidzieć, co się wydarzy, kiedy Marta zostanie z niej wybudzona.

Siedział przy łóżku, odpychając od siebie najczarniejsze scenariusze. Tylko tyle mógł teraz zrobić.

Odtwarzał w głowie sekwencję zdarzeń. Obwinał się, że tak późno skojarzył fakty i miejsce przetrzymywania przyjaciółki. Gdyby nie był tak zajęty rozwiązywaniem kolejnej sprawy, mógłby dotrzeć do niej wcześniej, zapobiec temu wszystkiemu, czego dopuścił się Palacz.

Kula rozgoryczenia rosła w tym samym tempie, co liczba znaków zapytania. Czy napastnik mógł mieć nieograniczony dostęp do pola golfowego i nie przyciągnąć niczyjej uwagi? Jeśli byłby członkiem klubu, ktoś by go rozpoznał i wskazał. Ale świadkowie, którzy widzieli z nim Martę, twierdzili, że towarzyszący jej mężczyzna nie wydał im się znajomy. Analiza nagrań z lotniskowego parkingu również okazała się ślepą uliczką. Naciągając na twarz bejsbolówkę, porywacz doskonale się zamaskował. Redfernem wzdrygnęła myśl, że w bagażniku toyoty, którą wciąż miał przed oczami, najpewniej już wtedy była Marta. Inspektor wiedział, że spod hotelu, w którym spała, kobietę zabrała fałszywa taksówka. Że porywacz musiał Martę obezwładnić, zabrać telefon komórkowy i podrzucić go do bagażu jednego z podróżnych, który leciał z Luton do Katowic. Tym samym Palacz dał sobie czas na działanie, zanim Redfern i cała policja Woking zacznie jej szukać. Wciąż brakowało mu jednak motywu, a jedyna osoba, która mogłaby mu go podsunąć, leżała przed nim na łóżku w St. Peter Hospital.

– Przyszedłem ci powiedzieć, że twoi rodzice są u mnie – mówił cicho, mając na myśli urny z prochami Sokolińskich, które zabrał z krematorium. Wciąż powstrzymując się przed złapaniem Marty za rękę, przysunął się jeszcze bliżej. – Gdy to wszystko się skończy, będziesz mogła wysłać ich bezpiecznie do domu. A w ogóle zbliżają się święta i bardzo liczę na to, że spędzimy je razem. Nie tu, oczywiście – zachnął się. – Na Princess Road, z dziadkiem – dodał pospiesznie. – Zrobimy polską Wigilię, ale podrasujemy ją sobie *minced pie*. – Redfern zastanawiał się, czy tradycyjna tarta wypełniona zmielonymi bakaliami z brandy smakowałaby Marcie tak samo jak *lemon drizzle*. – A w Boże Narodzenie dziadek zaserwuje ci najbardziej suchego indyka, jakiego jadłaś. Stara i niezawodna rodzinna receptura.

W uszach zadźwięczał mu jej śmiech. Czuł, że dłużej nie da rady tu siedzieć. Poprawił kędzierzawy kosmyk na jej policzku i wygładził nieistniejące zagniecenie na poduszce.

– Wpadnę do ciebie jutro – szepnął i wbrew rozsądkowi pocałował ją w czoło.

W drodze do wyjścia zastanawiał się, czy powinien zajrzeć do lekarza prowadzącego Martę. Ostatecznie uznał, że szukanie neurologa tylko po to, by po raz kolejny usłyszeć poirytowany głos, że stan zdrowia Marty jest niewiadomą, to strata czasu ich obu.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, zima zaserwowała mu siarczysty policzek. Podmuch wiatru wbił mu w twarz setki igieł. Osłonił się kołnierzem kurtki i szedł wzdłuż parkingu, zupełnie nie pamiętając, gdzie zostawił auto. Co gorsza, nie odnajdował w zakamarkach umysłu wspomnienia, jak tu przyjechał. Zmęczenie zacierało mechaniczne czynności, a Redfern wiedział, że z takich zaników biorą się wypadki. Po kilku chwilach zobaczył czerwoną sylwetkę triumpha.

Ucieszony przyspieszył kroku. Otworzył drzwi i wsiadł, odpierając atak kolejnego podmuchu. Wciąż miał wrażenie, że czuje zapach środków, których używali technicy szukający w aucie śladów. Uruchomił silnik, a gdy tylko ten trochę się zagrzał, włączył dmuchawę. Przetarł dłońmi oczy, mając nadzieję, że zetrze z nich senność, ale tę usunął nagle dźwięk telefonu. Zerknął na wyświetlacz i westchnął, po czym nacisnął zieloną słuchawkę.

– Dzień pełen niespodzianek – mruknął niechętnie.

– Żebyś wiedział – usłyszał zmęczony głos Summer Winter. – Mamy sprawę w Ripley – rozpoczęła bez ogródek.

Redfern zirytował się. Jako podwładna nie była mu nic winna, ale jako koleżanka powinna wykazać się odrobiną taktu i nie zawracać mu głowy robotą, której nie miał.

– Macie sprawę w Ripley – poprawił ją.

Zignorowała jego zaczepkę.

– Gdy cię nie było, na terenie szkoły Church of England znaleziono zwłoki nastolatki. – Zrobiła pauzę, ale Redfern nie był pewien, czy sierżantka buduje napięcie, czy popija kawę. – Właściwie to mamy szkielet, bo tylko tyle zostało w dole, który wykopali robotnicy robiący odwodnienie.

– Summer, tak dla twojej informacji, to nadal mnie nie ma – oschłym tonem próbował zdusić w sierżantce zapal, a w sobie ciekawość. – Zostało mi dwanaście spokojnych dni wypowiedzenia i nic przy tym nie kombinujemy, OK?

– To kolejny dzieciak w naszej okolicy – podniosła nieco głos. – W dodatku pozbawiony zębów. Nic ci nie dzwoni? Jeśli nie, to powiedz mi, że masz to w dupie, i się rozłącz.

Redfern oparł głowę o zagłówek i milczał przez chwilę. Summer zagrała tą kartą celowo. Nie widział związku śmierci nastolatki z morderstwami dzieci w Woking, ale nie mógł go wykluczyć. Zwłaszcza że sprawca, podobnie jak w przypadku maluchów, usunął ofierze zęby. W słuchawce słyszał oddech sierżantki.

– Ted się wypowiedział? – dopytał o patologa.

– Potwierdził, że dziewczyna miała między piętnaście a dwadzieścia parę lat – odpowiedziała szybko. Redfern uznał, że w wachlarzu wad jej

niedoświadczenia najfajniejsze było to, że jeszcze nie umiała zamaskować gorliwości.

– Brak złamań, uszkodzeń kości, które sugerowałyby przyczynę śmierci – mówiła, a inspektor był niemal pewien, że nauczyła się raportu Teda na pamięć. Jednak z każdym jej słowem jego entuzjazm topniał. Sinusoida wewnętrznych nastrojów rozdrażniła go jeszcze bardziej.

– Ile tam leżała? – zapytał automatycznie, gdy Summer wreszcie zamilkła.

– To wróżenie z fusów, przecież wiesz.

– Ale nie mówimy o starożytnych Rzymianach?

– Nie, bliżej nam do ubiegłej dekady – odparła. – Poza tym w bliskich okolicach Woking nie było Rzymian.

– No to z taką wiedzą masz szansę się wykazać pod skrzydłami tatusia – sarkazm zgrzytał mu w głosie. – Bo pewnie jaśnie nam panujący przejął sprawę.

– Knight dał ją mnie – wyznała z niespodziewanym zażenowaniem.

– No pewnie. Gdyby prowadził ją McMahon, nawet bym się o niej nie dowiedział.

– Dave, możesz przestać? Potrzebuję twojej pomocy.

– Nie mogę się mieszać. – Szorstkość odpowiedzi zaskoczyła jego samego.

– I nie będziesz. Po prostu zerknij na papiery.

Chciał odpowiedzieć, że brakuje mu zarówno sił, jak i czasu, który zamierzał poświęcić wyłącznie Marcie. Z drugiej strony marazm, jaki z każdym dniem przejmował nad nim kontrolę, stawał się nie do zniesienia i powodował wyłącznie narastającą wściekłość, którą musiał wreszcie czymś zastąpić albo chociaż przykryć.

– Ciekawe, że znajdujesz do mnie numer dopiero wtedy, gdy jesteś postawiona pod murem.

Cisza sprawiła, że zalała go fala gniewu. Albo Summer Winter sprowadziła ich znajomość do zimnej płaszczyzny zawodowej, albo nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Nie mając pewności, co nią powodowało, nie zamierzał dalej dawać jej do zrozumienia, że czuje się rozczarowany.

– Będę w domu za godzinę – przerwał milczenie. – Możesz podjechać.

– Dzięki, Dave. Skoczę tylko po papiery do firmy i podjadę. Wyślij mi adres.

– Nie masz?

– Jeszcze nie dostąpiłam tego zaszczytu – odparła i rozłączyła się.

*

Zamiast jechać prosto do domu i spróbować doprowadzić go do względnej czystości, skręcił w stronę miasta. Trudno, najwyżej Summer Winter utwierdzi

się w przekonaniu, że można postawić znak równości między męską jaskinią a niedźwiedzim barłogiem. Musiał przeprosić Siwiaszczyka za swój poranny wybuch, a najlepszym do tego środkiem wydały mu się pierniki z polskiego sklepu. Miał nadzieję, że na poczet zbliżających się świąt ekipa przybytku o swojskiej nazwie „Maria” zadbała o dostawę korzennego smakołyku prosto z Torunia, który chociażby z tej przyczyny zawsze wydawał mu się pociągający.

Nie był pewien, czy to głód, czy raczej perspektywa nowego śledztwa zmusiły go do otwarcia jednego z opakowań. Triumph wypełnił się zapachem cynamonu, goździków i anyżu. Redfern zatopił zęby w czekoladowej polewie, która przyjemnie chrupnęła pod naciskiem. Miękkie ciasto osiadło na języku korzennym kocem, otulając każdy kubek smakowy, by już po chwili ustąpić miejsca truskawkowemu nadzieniu. Gdzieś między mruknięciem zadowolenia a obietnicą odwiedzenia miasta Kopernika dorwał go dźwięk telefonu. Z irytacją wydobyl aparat z kieszeni i przyjął połączenie. Summer Winter nie siliła się na powitanie.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że rozmawiałeś z McMahonem? – każde jej słowo brzmiało jak wystrzelony nabój.

– Bo to była męska rozmowa. – Zbagatelizował i sięgnął do paczki pierników, które najwyraźniej poprawiały mu humor.

– No i jak każda męska rozmowa trafiła rykoszetem w babki.

– Jaśniej, babko – starał się obrócić jej złość w żart.

– Nie mam dostępu do akt naszej NN – warknęła.

– Musi być jakiś błąd. Przecież w gruncie rzeczy to *cold case*.

– Nie jestem pewna. Komputer mówi, że nie mogę podejrzeć sprawy. Na biurku mam tylko trochę wydruków, głównie jakieś pierdolety, których bałam się przeoczyć.

– No dobra, spróbuj się czegoś dowiedzieć i podesłać mi to, co masz.

– OK, to wrzucę ci na maila skany.

– Jak chcesz, to mogę rzucić okiem na miejsce znalezienia zwłok, może coś przyjdzie mi do głowy – zaproponował, czując się nieco winnym sytuacji. – Zanim ogarniesz pierdolety.

Summer milczała przez chwilę, dając znać, że wizyta Redferna w szkole wykracza poza jej definicję pomocy w śledztwie.

– Spoko – odparła. – Może o trzynastej?

Redfern spojrział na zegarek na desce rozdzielczej. Powinien się wyrobić z przeprosinami i pojedynkową partyjką remika z dziadkiem.

– To widzimy się w Ripley.

*

Już z chodnika słyszał poszczekiwania Bandita. Redfern przyspieszył kroku i otworzył drzwi, za którymi witała go największa gąsienica świata. Inspektor odwzajemnił radość i głaskał z czułością czarny łebek. Zaraz po odczynieniu rytualnego tańca powitalnego, którego prowadzącym był ogon, a prowadzonym zadek, piesek wybiegł do przedniego ogródka. Patrząc na buszującą w krzakach czarną kulę sierści, Redfern musiał przyznać, że parę tygodni zrobiło z berneńczyka półprawdziwego psa. Obiecał sobie, że jeszcze dziś pójda na długi spacer. Dał przyjacielowi parę minut na zwęsenie wiewiórki i obszczekanie przelatujących gołębi, po czym zawołał szczeniaka do środka.

Ku swojemu zaskoczeniu David stwierdził, że dom przypominał aranżację ze zdjęć szwedzkiego salonu meblowego. Najwyraźniej Siwiaszczyk przekuł złość na wnuka w energię kinetyczną, która skutkowała nienaturalnym wręcz porządkiem. Stojąc w swoim pokoju, David skanował pościelone łóżko, równo ułożony w nogach koc i świeży obrus na stole. W pierwszym odruchu chciał ściągnąć białą tkaninę i schować do szafy, ale uznał, że na tę chwilę powinien zrezygnować ze swoich przyzwyczajzeń.

Wszedł do kuchni. Siwiaszczyk siedział przy stole i rozwiązywał sudoku. Redfern przez chwilę zastanawiał się, skąd staruszek wytrzasnął nowy zestaw łamigłówek. Zauważył, że ostatnio zamiast książek wybiera wyłącznie tę formę rozrywki, choć kosztuje go to częste wycieczki do sklepu.

Podszedł bliżej i położył na stole paczkę pierników. Siwiaszczyk obrzucił obojętnym spojrzeniem kremowe opakowanie, ale nic nie powiedział.

– Dziadku – rozpoczął nieskładnie David. Znajome uczucie więziło mu w gardle słowa.

Zdarzyło się kilka razy, gdy po śmierci matki mieszkał z dziadkiem w podczęstochowskiej miejscowości, że narozrabiał, bywał opryskliwy. Po fakcie swoją nastoletnią głowę pojmował tylko jedno: dziadek był na niego zły i należało przeprosić. Dziś to przekonanie stemplowały mocne kłody poczucia winy i świadomość, że zranił człowieka, który nie tylko o niego dba, ale i kocha. Możliwe, że jako ostatnia osoba na świecie.

– Dziadku – powtórzył.

Tym razem Bohdan oderwał się od wpisywania kolejnego rzędu cyfr i wstał, kierując się w stronę lodówki. Sięgnął po coś i odwrócił się nagle.

– Dawidku, to przyszło pod twoją nieobecność. – Niepewnym gestem wręczył mu kopertę z granatowo-białym logo. – Chyba coś ważnego.

W ułamku sekundy Redfern zdał sobie sprawę, że powinien czekać na tę przesyłkę od miesiąca. Natłok wydarzeń sprawił jednak, że kompletnie o tym

zapomniał. Ale nie ubezpieczyciel.

David usiadł przy stole i rozerwał papier. Rzut oka na rozległe pismo wystarczył, by uszło z Redferna powietrze. Jego polisa nie pokrywała uszkodzenia mienia w wyniku ataku terrorystycznego, a za taki uznano wybuch gazu w mieszkaniu przy Constitution Hill.

Siedział chwilę nieruchomo, usiłując zebrać poszarpane kawałki myśli w jakąś całość. Patrzył tępo w przestrzeń, powoli odsiewając przez sito rozsądku wściekłość i bezsilność. Nagle zdał sobie sprawę, że nic z tego, co tamtej nocy ogień zmienił w niebyt, nie ma znaczenia. Najważniejsze elementy jego życia stały teraz w kuchni – jeden przy blacie smarował chleb pasztetem z kogutkiem, a drugi, tuż obok, liczył, że pierwszemu coś ześlizgnie się z noża na podłogę.

– Nie dali? – zapytał cicho Siwiaszczyk, ale nie odwrócił się.

– Nie dali – odparł Redfern i usiłował spakować pismo do koperty. Poddał się po trzeciej próbie i odsunął od siebie papiery.

– Cholera, tak myślałem. – Bohdan pokręcił głową i zrzucił kawałek pasztetu, który zanim dotknął wykładziny, zniknął w białym pyszczku. – To banda złodziei! – zirytował się nagle. Upuszczony nóż poturlał się po blacie. –

Zdzierają z ciebie co miesiąc ciężkie pieniądze, a jak potrzeba wypłacić odszkodowanie, to umywają ręce. Bandyci!

– Moja wina – mówił spokojnie, mając nadzieję, że złagodzi stan starszego człowieka. – Mogłem przewidzieć, że jako policjant jestem narażony na atak... terrorysty.

– Jaki z niego terrorysta?! – obruszył się jeszcze bardziej. – Zwykły bandzior albo świr. Nie użył materiałów wybuchowych, więc o zamachu bombowym nie może być mowy.

– Ale przyspieszenie korozji rur i doprowadzenie do wybuchu, to już podchodzi pod akt terroryzmu – wyjaśnił David i poczuł, że świadomość bycia wykiwanym wypiera początkowy optymizm. Oparł łokcie o kolana i zwiesił głowę. Tych pieniędzy mógł potrzebować dla Marty.

Siwiaszczyk zauważył zmianę na twarzy wnuka i podszedł do niego, wyciągając dłoń, która wylądowała na ramieniu młodszego mężczyzny.

– Dawidku, nie poddawaj się.

– Odwoływanie się naprawdę nie ma sensu. – Wyprostował się nagle. – Umowa ubezpieczenia jest w tej kwestii precyzyjna.

– Ja nie o tym. – Pokręcił siwą głową.

Siwiaszczyk przyciągnął stołek i usiadł naprzeciwko Redferna.

– Źle ci rano powiedziałem. Mnie nie chodzi o twoją bierność. To nic złego. Każdy przeżywa stratę na swój sposób, ale ty jeszcze nic nie straciłeś. Mieszkanie, trochę gratów, to wszystko nic. Dla mnie porwanie Marty to był

cios, który ma cię gdzieś doprowadzić, ale żeby tak się stało, to musisz zacząć działać.

– A myślisz, że co ja robię? Wiem, że wszystko łączy się z Adrianem Bonesem, z moim strzałem, który pozbawił go życia, ale każda ścieżka, którą obieram, albo kończy się murem, albo nieszczęściem. Zabiłem kumpla, partnera. To jedyne, co wiem na pewno.

– A mnie się wydaje – nie dał się przekonać Siwiaszczyk – że to wszystko zaczęło się wcześniej. Tam, pod katedrą, to nie był żaden zbieg okoliczności. Adrian nie znalazł się tam przypadkiem. Tak jak nie przypadkiem pojawił się drugi strzelec.

– Przeglądałem notatki Adriana z czasów, kiedy jeszcze pracowaliśmy w NCA. Nic w nich nie ma, a już na pewno nie odpowiedź, dlaczego Bones uciekł z ośrodka dla uzależnionych i z bronią poszedł do katedry. I dlaczego cztery miesiące później jego zwłoki znalazły się w Dover. To się nie składa.

– Trzeba znaleźć Nathana Wooda. – Każde słowo oddzielał lekkim machnięciem palca. – Moim zdaniem zaginiony kolega Adriana Bonesa jest kluczem do zagadki. Wiedział o nim najwięcej.

Redfern poczuł lekkie ukłucie w miejscu, w które najcelniej i najboleśniej trafia prawda. Przyjaźnił się z Bonesem całe życie, nawet razem trafili w szeregi agencji, ale w miarę upływu lat ich ścieżka rozdzieliła się, prowadząc każdego z nich na inny życiowy zakręt, z którego jeden nie mógł już zobaczyć drugiego. Kiedy Redfern borykał się z trudnym związkiem i początkiem choroby, Adrian Bones trafił w splot wydarzeń, które doprowadziły do jego śmierci. Miał jednak to szczęście, że obok stał ktoś, komu mógł zaufać. Siwiaszczyk mógł mieć więc rację, wskazując jako kierunek działań znalezienie Nathana Wooda.

– Na razie będę musiał po południu jechać do Ripley. – Ocknął się z rozmyślań. – Koleżanka poprosiła o pomoc – oznajmił wymijająco.

– Jasne, jasne. Miej jednak na uwadze to, co ci powiedziałem, dobrze?

– Zawsze mam na uwadze to, co do mnie mówisz – odparł z żołnierską gorliwością, co Siwiaszczyk skwitował lekkim uśmiechem, który natychmiast zgasł, jakby zdmuchnięty nagłą myślą.

– Słuchaj, Dawidek, zanim tam pojedziesz do Ripley, zajrzyłbyś w jedno miejsce? – poprosił nieśmiało Bohdan, uciekając wzrokiem za okno.

– Pewnie – odparł ochoczo, obserwując, jak dziadek opuszcza kuchnię.

Redfern skonstatował, że szuranie kapci skończyło się w pokoju Siwiaszczyka. Staruszek wrócił po chwili z tajemniczym ładunkiem przewieszonym przez ramię.

– Oddasz mi garnitur do pralni? Tylko nie tej na rogu, bo stamtąd mi ubrania naftaliną pachną – zawyrokował z niesmakiem. – Najlepiej jakbyś zawiózł do

Lemon Fresh do Kingfield. To jest w tym samym budynku, co apteka koło Sainsbury'ego.

Redfern chciał zaprotestować, wyobrażając sobie, że będzie musiał przebrnąć przez całe miasto w porze lunchu, ale odłożył marudzenie na rzecz rozwikłania intrygującej go teraz zagadki.

– Po co ci garnitur?

– A leży tak w szafie od niepamiętnych czasów, przyda mu się odświeżenie – Bohdan odparł wymijająco i zniknął w przedpokoju.

Redfern usłyszał, że wieszka garnitur na haczyku przy drzwiach. Uznał, że w tej chwili nie ma sensu naciskać. Tym bardziej, że właśnie usłyszał sygnał nadchodzących wiadomości od Summer Winter. Godzenie się z dziadkiem zajęło więcej czasu, niż myślał.

– Muszę przejrzeć trochę papierów – oznajmił nieco zakłopotany, gdy Siwiaszczyk stanął w progu z kartami w ręku.

– Jednak nowa sprawa? – zainteresował się i oparł biodrami o blat, licząc na to, że wnuk wtajemniczy go w szczegóły śledztwa. Niestety, na razie Redfern niewiele mógł o nim powiedzieć.

– Tak jakby – mruknął. – Muszę przejrzeć trochę papierów, żeby pomóc koleżance. Jak coś będę wiedział, to dam ci znać.

– To chociaż weź to. – Bohdan wskazał na leżącą na stole paczkę pierników. – Glukoza jest dobra dla mózgu.

– To dla ciebie – zaprotestował David, wstając od stołu.

– Ja mam – odparł Siwiaszczyk i otworzył szafkę nad lodówką, prezentując kilka opakowań toruńskiego przysmaku. Redfern zrozumiał, skąd wzięto się nowe sudoku i pasztet z kogutkiem. Idąc do siebie, inspektor pomyślał, że może i dzielił ich ocean różnic, ale most nad nim budowali z tych samych materiałów.

Usiadł przy biurku i przejrzał podeślane dokumenty. Sierżantka miała rację – nic nieznaczące wycinki. Natomiast z jej notatek faktycznie wynikało, że znalezione przez robotników zwłoki należały do kobiety w wieku od piętnastu do dwudziestu pięciu lat. Silny rozkład uniemożliwiający ustalenie przyczyny śmierci, na kościach brak wyraźnych śladów, choćby złamania czy uszkodzenia, jak to często dzieje się w przypadku zbrodni z udziałem ostrego czy ciężkiego narzędzia. Zwłoki zawinięto w gruby materiał i zakopano w najdalszym narożniku boiska szkolnego wiejskiej podstawówki. Prowizoryczny grób miał półtora metra głębokości, a z analiz wynikało, że najprawdopodobniej ciało złożono tam minimum dekadę temu.

Wyłączył komputer, czując napływający, choć wciąż wątki strumień ekscytacji.

*

Zupełnie zapomniał, że w południe z pobliskiego Woking College wybywa połowa uczniów, celem obłęzenia i złupienia lokalnego Sainsbury'ego z kanapek, kawy i chipsów. Z kolei połowa z tej połowy ma samochody, o tej porze skutecznie zalepiające drogę, czyniąc ją niedrożną dla podatników, którzy ten college i tę drogę sponsorują.

W ostatniej chwili zjechał na niewielki parking koło podstawówki, narażając się na krzywe spojrzenia mam, które odbierały swoje pociechy z przylegającego do szkoły przedszkola. Wysiadł z auta, zgarnął garnitur Siwiaszczyka i przebiegł przez ulicę. Zanim dotarł do jej brzegu, zdał sobie sprawę, że w pawilonie, w którym mieściła się apteka, nie ma pralni.

Przebiegł sto metrów w prawo, nie pamiętając, czy przy rondzie znajduje się *charity shop* czy jednak pralnia. Gdy zrównał się z minimarketem, zrozumiał, że podjął złą decyzję. Zerknął na wystawę sklepu charytatywnego, która przypominała instalację w muzeum sztuki nowoczesnej. Z podłogi zastawionej zabawkami, porcelaną i małymi narzędziami ogrodniczymi wystawały dwa wysłużone manekiny, ubrane jak na wyścig w Ascot.

Redfern zawrócił i pobiegł dalej, by tuż za łukiem ulicy Kingfield dostrzec wyblakłe logo z konturów kwaśnego owocu i soczycie niebieski napis. Wszedł do środka i bez większych uprzejmości zamienił ubranie dziadka na paragon z datą odbioru.

Dojechał do ronda w Old Woking, wyjątkowo pustego jak na tę porę. Naszła go dziwna myśl, że niezależnie w który zjazd by wjechał, dojedzie do Ripley. Mógł tylko wybierać między malowniczą drogą przez Pyrford albo prostą przez Send. Przeciął więc skrzyżowanie na wprost, by po chwili znaleźć się na ostrym zakręcie przy ośrodku leczenia uzależnień The Life Works. Zerknął na niewielkie bloki naprzeciwko. Nie mógł uwierzyć, że zaledwie kilka tygodni temu siedział w jednym z tamtejszych mieszkań, próbując zrozumieć, co stało się z pięcioletnią Izą Wolańską. Sprawa dziewczynki doprowadziła go na najmroczniejsze rubieże miasta, gdzie przemoc i handel dziećmi stanowiły ich najczarniejszy odcień. W głębi Redferna rezonowało przeświadczenie, że to, co stało się z dzieckiem, było tylko punktem zapalnym, który spowoduje niewyobrażalną eksplozję.

Tymczasem jechał do sprawy nie tylko odległej czasowo od wydarzeń w Old Woking, ale też z dala od wstrząsających zająć w mieście H.G. Wellsa.

Zamyślony przegapił skręt w drogę prowadzącą do szkoły. Nie mogąc znaleźć miejsca do zawrócenia, przejechał jeszcze kilkaset metrów, aż zobaczył po lewej stronie wąską uliczkę, wcinającą się między dwa ceglane domy. Wjechał tam, ignorując przytwierdzoną do niskiego muru tabliczkę krzyczącą o prywatnej własności. Minął ją i dotarł do rozległego placu umożliwiającego manewr zawracania. Kiedy kończył go wykonywać, zrozumiał, dlaczego ktoś tak pilnie strzegł tego miejsca. Między budynkami zobaczył wielką polanę, której zieleń stępiła opadająca mgła. Na jej tle odcinały się jakieś nieruchome postaci. Dopiero po chwili Redfern zorientował się, że patrzy na skubiące zmrożoną trawę sarny. Wiele by dał, by co rano mieć za oknem taki widok. Skupiony na zwierzętach kątem oka zauważył, że nie tylko sarny są obiektem obserwacji. Był pewien, że w oknie na piętrze poruszyła się firanka.

Możliwie cicho wytoczył się z zaułka i wrócił na główną drogę.

Szkoła Church of England składała się z kilku parterowych budynków rozrzuconych po rozległym terenie, z którego ważną część stanowiło boisko dorównujące wielkością piłkarskiemu. Redfern zaparkował triumpha na wybetonowanym parkingu i udał się w stronę szklanych drzwi, których strzegł domofon. Nacisnął przycisk i po usłyszeniu standardowej formułki sekretarki wyłożył, z czym przyszedł. Pauza między zdaniem potwierdzającym a zwolnieniem blokady wskazywała, że po pierwsze nikt się go nie spodziewał, a po drugie wizyta jest co najmniej niemile widziana. Mimo to pchnął drzwi i obdarzył sekretarkę promiennym uśmiechem. Przypominająca szarą mysz kobieta nie odwzajemniła go, w pełni wchodząc w rolę strażniczki szkoły.

– Nie spodziewaliśmy się kolejnego przesłuchania – wystrzeliła zaraz po wymianie uprzejmości. Redfern zyskał pewność, że flank sekretariatu będzie trudna do zdobycia. Zerknął w głąb pomieszczenia, gdzie siedziała niezwykle skupiona na czymś blondynka.

– To nie będzie przesłuchanie – powiedział pojednawczo. – Potrzebuję się jedynie rozejrzeć.

– Nie widziałam tu pana wcześniej – oznajmiła tonem, który świadczył o tym, że jeśli Oko Saurona czegoś nie zarejestrowało, to to nie istniało.

– Zostałem poproszony o konsultacje – wyjaśnił, a z każdą chwilą bieguny jego uśmiechu coraz mocniej się do siebie zbliżały. Oparł się o kontuar, dając odpoczynek napiętym mięśniom. Jego głowę smyrała bogato przystrojona bombkami i lampkami girlanda, zmuszając go do zgarbienia się.

– Jako kto, jeśli można spytać? – wycodziła sekretarka.

Redfern stracił cierpliwość.

– Jako szef wydziału kryminalnego – skłamał. – I inspektor policji w Woking – dodał nie do końca zgodnie z prawdą. Skupiony na twarzy kobiety nie

zauważył, że do pomieszczenia weszła Summer, wpuszczona przez drugą z pań.

– O, widzę, że już się państwo poznali. – Uśmiechnęła się krzywo, po czym zwróciła do szefowej biura: – Pani Jenkins, inspektor Redfern chce się przyjrzeć miejscu znalezienia zwłok.

Na dźwięk ostatniego słowa sekretarka powiodła oczami ku górze. Redfern był pewien, że zaraz za tym pojawi się wykonany zamaszystym gestem znak krzyża. Jednak nic takiego nie nastąpiło.

– Dobrze, niech państwo wchodzą. – Pokręciła głową i zwolniła elektromagnes drzwi prowadzących do sal lekcyjnych.

– To mi się Arawn trafił – skwitował Redfern, gdy szklane skrzydło odcięło ich od sekretariatu.

– Uuu, ktoś tu mitologię walijską studiował. – Summer gwizdnęła cicho.

– Chyba mitomanię – podsumował swoje niedawne kłamstwo.

– Nikomu nie powiem. – Summer mrugnęła porozumiewawczo i ruszyła przodem, ciasnym korytarzem, który zaprowadził ich do sali gimnastycznej. Pośrodku stała gigantyczna choinka. Redfern przypomniał sobie, że w ostatnim dniu przed przerwą świąteczną rodzice i dzieci gromadzą się wokół drzewka, by wspólnie pośpiewać kolędy. Na tę myśl poczuł dziwne ukłucie – do tej pory nie wstawili z dziadkiem własnej, choć do świąt zostało kilka dni. Najgorsze było jednak to, że w ogóle nie miał na te święta ochoty.

Przecięli mocno sfatygowany parkiet i wyszli na zalany betonem plac, okolony przebrzmiałą o tej porze roku zielenią. Skręcili w prawo i po chwili znaleźli się na boisku, choć obecność koparki i spychacza wyłaniających się zza brązowych pagórków ziemi przywodziła na myśl plac budowy.

– Cicho w tej szkole – skomentował Redfern, ale Summer tylko pokiwała głową.

– Tam. – Wskazała przeciwległy koniec terenu, na którym kołysały się targane wiatrem grzywy drzew. Jak na komendę oboje opatulili się szczelniej kurtkami i ruszyli przez rozmokniętą trawę.

– Co jest za ogrodzeniem? – zapytał Redfern, przekrzykując podmuchy.

– Nic, co przyniosłoby odpowiedź na nasze podstawowe pytania. – Policjantka zatrzymała się i wskazywała po kolei od lewej. – Tam mamy prywatne domy, za najdłuższym bokiem wsiowy ratusz i jakieś dzikie pole, dalej droga, a do tego małego skrawka przylega przedszkole.

– I ktoś wybiera boisko szkolne na grób?

– Kiedyś nie było tu tak ładnie – ostatnie słowo wymówiła z przekąsem i ruszyła dalej.

– Skąd wiesz?

– Jeden z nauczycieli mi powiedział, że kiedy otwierali ją w dziewięćdziesiątym dziewiątym, to właściwie było tu ogrodzone pole, a nie boisko. Same chaszczki i śmieci. Czyli można roboczo przyjąć, że zwłoki leżą tam mniej więcej od wtedy.

– Albo ktoś znał teren na tyle dobrze, że wiedział, że może zakopać tam zwłoki i nikt nie zwróci uwagi na rozkopaną pod krzakami ziemię – zauważył.

– Albo wcale nie chciał ich jakoś specjalnie ukrywać? Może to miała być jakaś chora wiadomość?

– Myślę, że dopóki nie poznamy tożsamości ofiary, możemy sobie odmrażać tu tyłki do świąt – rzucił Redfern i ruszył w stronę maszyn budowlanych. Summer zdawała się zamyślić nad jego słowami, bo dołączyła dopiero po chwili.

– A wracając do świąt – zagadnęła. – Wpadniesz na przyjęcie gwiazdkowe do Sovereigns?

Redfern milczał. Zastanawiał się, czy bardziej pochłania go ostrożne stawianie kroków na rozmokłej ziemi, czy ostrożne układanie właściwej odpowiedzi.

– Nie.

– Rozumiem – odparła Summer i aż do końca boiska nie wypowiedziała ani słowa. – Właściwie dlaczego tu przyszliśmy? – zapytała, gdy stanęli przed policyjną taśmą, okalającą miejsce znalezienia zwłok. – Wydawało mi się, że większość omówiliśmy już wcześniej.

– Jakie było twoje pierwsze wrażenie po przyjeździe tutaj? – Puścił pytanie mimo uszu.

– Poza tym, że to wszystko bez sensu?

Redfern kiwnął głową.

– Pierwsze wrażenie. – Zamyśliła się chwilę, patrząc w korony drzew, które zdawały się znieruchomieć, by przysłuchiwać rozmowie. – Pierwsze wrażenie było takie, że nie mam pierwszego wrażenia – podsumowała ożywiona. – Nic nie pasuje. Po pierwsze, to miejsce. Przecież to, do cholery, podstawówka, bawią się tu małe dzieci. Po drugie, zwłoki zawinięto w koc dość starannie, co też mnie zastanowiło. Dziewczyna miała na sobie prawdopodobnie letnią, luźną sukienkę, była bosa. Wszystko w dużym stopniu rozkładu.

– Drogi? – przerwał jej Redfern.

– Co?

– Czy koc był drogi?

– Nie wiem – odparła. – Cały był uwalany ziemią, mocno zniszczony, ale chyba ładny. Sprawdzę w laboratorium. – Summer wyjęła z kieszeni telefon

i zapisała coś w notatniku. Po chwili znów referowała: – Pod sukienką nic nie miała. A to może wskazywać na napaść seksualną.

– Nie miała stanika?

– Nie. Dodatkowo za napaścią...

– Powiedz po prostu „gwałtem” – zirytował się Redfern. Summer spojrzała na niego zaskoczona, ale on nie przestawał mówić. – Wszystko będziemy wygładzać w imię poprawności? Gwałt to gwałt, czyjaś krzywda i trauma. Naprawdę musi ładnie brzmieć, by kogoś nie urazić? Możemy sobie pieprzyć prawnicze farmazony, ale w tym dole leżało zgwałcone dziecko. Nie napadnięte seksualnie, ale zgwałcone. Rozumiesz?

Policjantka nie odpowiedziała, wpatrując się w roziskrzone oczy Redferna. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała nienaturalnie mocno. Ogień, który trawił go od środka, mogła ugasić tylko fala łez, ale nie mógł się na nią zdobyć. Zamiast tego organizm sprezentował mu ściśnięte gardło i palący film, który pokrył mu gałki oczne niczym żrący kwas. Udał, że nie widzi dłoni, która niczym jesienny liść próbowała dosięgnąć jego ramienia, odwrócił się, nie dając Summer szans na okazanie współczucia. Nie chciał go. Było jak smoła – czarne, spowalniające działanie, oblepiające.

Kobieta cofnęła rękę, odchrząknęła i kontynuowała:

– Dodatkowo za gwałtem przemawiają ślady krwi na sukience, szczególnie w dolnej części. Było ich wyjątkowo dużo.

– Czyli brutalny gwałt, a jednak gość poświęcił czas i energię na zawinięcie zwłok w koc i zakopanie w tak szczególnym miejscu, zamiast zwyczajnie porzucić – zastanawiał się głośno Redfern.

– Może była przetrzymywana? – Summer nagle zakryła ręką usta i rzuciła partnerowi przerażone spojrzenie. – Przepraszam, David. Nie chciałam...

– Daj spokój – przerwał jej. – Te sprawy nie mają związku. Za duża przerwa, różne profile ofiar, poza płcią nic ich nie łączy.

– Jak ona się czuje? – Summer spytała miękko.

– Cały czas jest utrzymywana w śpiączce, żeby mogła szybciej dojść do siebie, ale lekarze mówią, że może być różnie.

– Będzie dobrze – Redfern usłyszał wyświechtane zaklęcie, które miało moc wody święconej – działało tylko w strefie wiary. David miał wątpliwości, czy którakolwiek z trzech córek św. Zofii, poza gasnącą Nadzieją, jeszcze przy nim została. Mimo to uśmiechnął się krótko i podziękował.

Nagle coś przykuło jego uwagę.

– Chyba niechcący wzbudzamy sensację. – Wskazał na obity ciemnym drewnem niewielki budynek w głębi boiska. Sądząc po naklejonych na szybach okien kolorowych liczbach, można było przyjąć, że to sala matematyczna.

Między bibułowymi wycinankami przyglądało im się kilkanaście par oczu, a Redfern był przekonany, że zza cienkich ścian dochodzi go piskliwy głos nauczycielki, usiłującej zawrócić ciekawskich do stolików.

– Myślisz, że to ich starsza koleżanka? – spytała Summer, wpatrując się w pyzate buzie.

– Nie ma tu w pobliżu innej podstawówki, więc bardzo możliwe, że chodziła do tej szkoły.

– Jak dotąd nie zidentyfikowaliśmy jej, a przewaliliśmy dane prawie dwóch tysięcy dzieciaków, które przewinęły się przez szkołę od początku jej istnienia. Możliwe, że to zbrodnia lokalna, ale z tej okolicy wiele dzieciaków dojeżdża do prywatnych szkół. Taki bardziej luksusowy rejon.

– Więzienie trochę psuje im tę luksusowość – skomentował Redfern, przy ostatnim słowie układając dłonie w cudzysłów. Przypomniawszy sobie pierwszą sprawę, jaką dostał po przeniesieniu do Woking. Rozmawiał wtedy z pracownicą tutejszego zakładu karnego. Zaraz po tym jego ścieżkę przecięła Marta. Nad głową inspektora zebrała się kolejna chmura, która spowiła mrokiem jego myśli. Wiatr zdawał się milknąć.

– Wykorzystajmy tę ciszę i przejdźmy się jeszcze – zaproponował, na co Summer skinęła nieznacznie głową, po czym pomachała do dzieci, co wywołało salwę śmiechu i zapewne falę rozpaczy u nauczyciela.

Ruszyli wzdłuż ogrodzenia. Kątem oka zauważył między budynkami ruch. Postać w czarnym płaszczu niczym duch zniknęła za wiatą, zostawiając go z niemłym przecuciem. Zastanawiał się, jak długo byli obserwowani. Odwrócił się w stronę boiska.

– Czyli z tej strony jest świetlica czy, jak ty tam mówisz, wsiowy ratusz? – chciał się upewnić, wskazując na ogrodzenie.

– Tak. Tą bramką można wyjść prosto na tyły. Z tamtej strony są prywatne domy, ale jak widzisz, oprócz siatki są też wielkie krzaki, głównie ostrokrzew i ciernie – mało skore do współpracy z intruzami.

Redfern musiał się z tym zgodzić. Z raportu wynikało, że mieszkańcy sześciu przylegających do tej części boiska domów wymieniali się na przestrzeni lat kilkakrotnie. Poszukiwanie świadków może być kłopotliwe, ale odnotował w pamięci, by zwrócić na to uwagę Summer. Spojrzał w stronę wymurowanej z cegieł ostro zakończony wieży, która nie pasowała mu do obrazu wiejskiej świetlicy.

– A to? – zapytał.

– Stara restauracja Toby Cottage, ale tam z pewnością nie znajdziemy świadków – powiedziała szybko. Widząc zdziwione spojrzenie Redferna, dodała: – Lokal od lat zamknięty na głucho.

– Toby? Jak te garnuszki?
– Zgadłeś. Kiedyś był tu sklep zajmujący się sprzedażą tego badziewia.
– Badziewia? – zachnął się Redfern. – To niemal dziedzictwo narodowe.
– Te paskudy przedstawiające siedzących celebrytów nazywasz dziedzictwem? Od Tony’ego Blaira z kuflem piwa już wolę postawić na komodzie glinianą budkę telefoniczną lub piętrowy autobus.
– Tuż obok lakowego Big Bena made in China? – zżymał się Redfern, przypominając sobie pokój Bohdana, który wyglądał jak sklep pamiątkarski przy Palace Street.

Ostatnie słowa wiatr niemal wepchnął mu z powrotem do gardła, sprawiając, że inspektor musiał zasłonić twarz ręką. Summer odwróciła się tyłem do smagających podmuchów, które w szturmie niespodziewanie wsparł lodowaty deszcz.

– Wracamy?

Redfern uniósł kciuk w górę, a wielkie krople natychmiast zmoczyły mu dłoń. Cofnął ją i schował do kieszeni. Pożałował, że nie założył płaszcza, który zasłoniłby nogi i uchronił jeansy od przemiany w sztywny, zimny pancerz. Coś mu przyszło do głowy.

– Ta sukienka – zagadnął, kiedy znaleźli się między budynkami szkoły. – Była krótka czy długa?

– Powiedziałabym, że wyjątkowo krótka. Bawełniana, z dużym nadrukiem kolorowego kota albo misia. Metka wypruta, Google milczy na temat tej grafiki – uprzedziła kolejne pytania, co Redfern przyjął z zadowoleniem.

Gdy znaleźli się w hallu głównego budynku, drogę zastąpiła im kobieta w średnim wieku. Szatynka wbiła w nich karcące spojrzenie, jakie Redfern znał z podstawówki. Nie mógł go dopasować do konkretnej postaci, ale był pewien, że należało do jednego z nauczycieli.

– Miało tu państwa nie być – rozpoczęła gniewnie.

– Właściwie już wychodzimy. – Inspektor uniósł ręce w obronnym geście.

– Przeszkadzają państwo w zajęciach.

Redfern pomyślał, że duch okazał się skarżypyta.

– Właściwie dobrze, że panią widzę – zripostowała pojednawczo Summer. – Chciałam jeszcze o coś zapytać, a tylko pani może mi pomóc.

Inspektor w lot zrozumiał, w co i z kim się gra. Dyrektorka szkoły była łasa na pochlebstwa wobec jej małej władzy. Summer znów znalazła się krok przed nim, ale nie czuł się z tym źle. Udowadniała, że jej obecność przy tej sprawie nie

jest przypadkowa. Nagle przeszła go niemiła myśl, że to element zaplanowanego show.

– No dobrze, to przejdźmy tutaj. – Szatynka wskazała im podwójne drzwi za swoimi plecami. Pchnęła jedno z wahadłowych skrzydeł i poszła przodem, prowadząc ich do czegoś na kształt pokoju nauczycielskiego. Długi stół pośrodku nosił znamiona niedawnego lunchu. Kilka opakowań po kanapkach wciąż czekało na posprzątanie, ze zlewu w końcu sali sterczała góra kubków.

– Niech państwo siadają – poprosiła dyrektorka. – Może być z tym kłopot, bo to placówka prawdziwie sezonowa.

– Nie bardzo rozumiem. – Redfern ściągnął mokrą kurtkę, powiesił na oparciu krzesła i usiadł, zaintrygowany stwierdzeniem kobiety. Na zielonym identyfikatorze z logo hrabstwa Surrey zauważył nazwisko. Pod splecionymi dębowymi liśćmi przeczytał „Hudson”.

– Dyrektorzy nie wytrzymują tu dłużej niż semestr – wyjaśniła. – Zwłaszcza w ostatnich kilku latach.

– Aż tak źle płacą?

Kobieta się skrzywiła.

– Trudno utrzymać poziom szkoły – powiedziała. – Audyty z roku na rok wypadają coraz gorzej i jak tak dalej pójdzie, to szkoła trafi pod młotek.

– Jak to pod młotek? – burzyła się Summer. – Nie można tak po prostu zamknąć szkoły. Przecież tu są setki dzieci.

– To nikogo nie obchodzi. Roześlą je po sąsiednich miasteczkach – Send, Pyrford, West Byfleet – wymieniała rozgoryczona dyrektorka.

– Z czego to wynika? – dopytał Redfern, który miał już swoje podejrzenia.

– Po pierwsze, sąsiedztwo więzienia. Wielu z naszych uczniów to albo latorośle osadzonych, albo w jakimś stopniu rodzina, która chce być blisko zakładu. Wie pan, jaką motywację do nauki mają te dzieci?

Inspektor znał odpowiedź, ale nie zamierzał się nią dzielić. Wsłuchiwał się w ciszę, poprzecinaną uderzeniami kropel deszczu o dach.

– Ale takie dzieciaki to jednostki – zaproponowała Summer.

– Taka jednostka potrafi skutecznie zdemontować klasę – podsumowała dyrektorka. – Ale ma pani rację, to są jednostki i nie można ich obwiniać o całe zło, a raczej trzeba próbować pomóc, by nie podążali drogą swoich bliskich. Mamy tu inny problem – rozejrzała się niepewnie, jakby bała się, że ktoś może podsłuchać ich rozmowę. Po chwili wzięła oddech i na mocnym westchnieniu powiedziała: – Travellersi.

– Znaczą irlandzcy Cyganie? – upewnił się Redfern. – A co oni mają do tego?

– Zatrzymują się tu, w Ripley, rozstawiają swoje wozy kempingowe na terenach zieleni miejskiej i posyłają dzieci do szkół.

- To chyba dobrze – podrzuciła niepewnie Summer.
- Wie pani, co najbardziej wpływa na coroczną ocenę szkoły przez kuratora?
- Wyniki w nauce – podsunął niepewnie inspektor.

Pani Hudson prychnęła.

– Akurat! Frekwencja, proszę pana, frekwencja. Może pan być orłem, ale jak pan olewa szkołę, to nici z dobrego świadectwa. No więc Travellersi są tu głównym problemem, bo im nie zależy. Raz dzieci chodzą do szkoły, a dziesięć razy nie. A gdzie ja mam im wysłać pisma o nieobecnościach? Do przyczepy, która już jutro może parkować po drugiej stronie kraju? To zrujnowało reputację szkoły i rodziny z Ripley masowo wypisywały od nas dzieci – posmutniała, po czym klepnęła się dziarsko w uda i podsumowała z udawanym uśmiechem: – No więc *summa summarum* mamy tu armagedon i żaden dyrektor nie utrzymuje się zbyt długo na placówce.

– A ci, którzy pracowali tu na początku?

– Tego nie wiem. Najdłużej utrzymała się bodajże pani Phillips, ale ona chyba zmarła parę lat temu. Poproszę Michelle, żeby przygotowała dla państwa dane, ale proszę o cierpliwość. Jutro mamy kolejny audyt i nasze panie z biura mają pełne ręce roboty. Jeśli znów obniżą nam ocenę, to po nas. Już teraz mamy tylko trzy klasy.

– Od zerówki do drugiej?

– Nie. Kurator wymyślił, że skoro mamy połowę obsady, to trzeba połączyć zerówkę z pierwszą i drugą klasą, trzecią z czwartą, a piątą z szóstą. Tak jak mówiłam – armagedon.

– Przykro mi – powiedziała Summer, a Redfern nieco zdziwił się jej empatią. – Będę trzymać kciuki, żeby jednak szkoły nie zamknięto.

– Tak łatwo się nie poddamy. – Dyrektorka uśmiechnęła się, ale Redfernowi zabrakło w tym ważnego składnika. Pomyślał, że wiara nie tylko u niego była dziś towarem deficytowym.

Wyszli z Summer na niewielki parking. Inspektor oczyma wyobraźni zobaczył sceny dantejskie przy odwożeniu i odbieraniu dzieci ze szkoły, które w Surrey było traktowane jak religia. Niewielu decydowało się wysłać nawet piąto- czy szóstoklasistów samopas. W przypadku młodszych dzieci zabraniało tego prawo, ale nadal nie mógł się nadziwić, jak niewielu ludzi chce odprowadzać latorośle do szkoły na piechotę. Zwłaszcza że tak wiele mówiło się ostatnio o ekologii.

– O czym myślisz? – zagadnęła sierżantka, wbijając ręce do kieszeni kurtki.

– O ociepleniu klimatu – mruknął Redfern.

– Masz na myśli to cholerne wietrzysko, które zaraz nas zmiecie, czy tak szerzej? – Summer usiłowała zapanować nad włosami szturmującymi jej twarz.

– Raczej to, że kogoś przywiało – skomentował, wskazując brodą na kosze na śmieci. Wyszła zza nich kobieta w czarnym płaszczu.

Zaciętość wzroku i ostre rysy podsunęły Redfernowi, że może się okazać osobą, która wraz z wiatrem niesie burzę.

– Nazywam się Ruffett. – Stała przed nimi z tajemnicą wpisaną w spojrzenie czarnych oczu. – Uczę tu matematyki, a pan jest chyba tym nowym policjantem, który zajmuje się sprawą tego biednego dziecka?

– Nie – odparł inspektor i odszukał w kieszeni kluczyki do triumpha.

Twarcz brunetki skuł grymas zdziwienia. Pod krzaczastymi brwiami, które w tej chwili zdawały się stykać wewnętrznymi końcami, jej oczy poruszały się szybko od punktu Redfern do punktu Winter.

– Ale pani Jenkins powiedziała, że...

– Pani Jenkins się pomyliła – wtrąciła szybko Summer, wprawiając kobietę w jeszcze większą konsternację. Najwyraźniej plotki o niesprawdzonej wiarygodności w uniwersum pani z sekretariatu występowały równie często, co głęboki śnieg w Surrey.

– Sprawą zajmuje się sierżantka Winter, a ja jedynie jej towarzyszę – uzupełnił wypowiedź koleżanki.

– To niech osoba towarzysząca słucha – podjęła rękawicę. Mówiła konspiracyjnym tonem, lekko się nachylając w stronę obojga. – Mogłabym przysiąc, że za tym morderstwem muszą stać Travellersi. Pamiętam, że przyjeżdżali tu regularnie z całą tą swoją komuną i hałasem, a jednego roku się nie pojawili i następnego też nie.

– Który to był rok? – spytała Summer, ubiegając Redferna, który chciał dowiedzieć się, skąd pani Ruffett wie, że szkielet związany jest z jakąkolwiek zbrodnią. Równie dobrze ktoś mógłby chcieć ukryć nieszczęśliwy wypadek czy samobójstwo.

– Rok dwutysięczny – nauczycielka odparła z dobitną pewnością. – Pomyślałam, że jakaś klątwa nowego tysiąclecia ich dopadła.

Redfern kątem oka zauważył, że sierżantka wyrywa się, by przypomnieć nauczycielce, że nowe tysiąclecie rozpoczęło się rok później. Dał jej znać, że nie warto przerywać tej opowieści.

– Wydarzyło się wtedy coś szczególnego?

– Nie, raczej nie. – Jej entuzjazm wyparował. – Robili wokół siebie raban, ale nie większy niż zwykle. Jedyne, co było inaczej, to jesienny festyn. Oni zostali dłużej, bo pogoda sprzyjała i przez nich władze miasteczka musiały odwołać Bonfire Night. Ludzie byli wściekli.

Redfernowi przebiegły jednocześnie przez głowę dwie myśli. Pierwsza oplotła wspomnienia obchodów nocy udaremnienia zamachu na londyński parlament przez Guya Fawksa. Piątego listopada w każdym miasteczku w Anglii urządzano wieczorne festyny i pokazy sztucznych ogni, a wszystko to poprzedzone podpaleniem wielkiego ogniska. Ostatni raz jadł watek cukrowy i jabłko w karmelu, spacerując wśród tandetnych straganów z Patricią. Była narzeczona ciągała go jak mała dziewczynka od karuzeli do karuzeli rozstawionych na Wheatsheaf Common. To musiało być lata temu, rozmarzył się. Tegorocznego święta nawet nie zauważył.

Drugi wątek wytrącił mu z dłoni kruchą kulę retrospekcji. Wątpił, czy wściekłość mieszkańców Ripley mogła doprowadzić do zbrodni, ale ostatnie wypowiedziane przez kobietę słowo wysycalo się złem z każdą sylabą. Zupełnie jakby kryło pod sobą coś jeszcze. Coś, czego nie umiał w tej chwili ani uchwycić, ani nawet nazwać.

– Jakiś otwarty konflikt czy raczej standardowe wiejskie psioczenie nad kuflem ale?

– Ani jedno, ani drugie, ale ludzie naprawdę się zdenerwowali. Zawsze byliśmy otwarci na ich przyjazd.

Akurat, pomyślał Redfern, ale pozwolił, by kobieta dokończyła myśl.

– Ale oni tym razem nadużyli naszej gościnności, – Usta nauczycielki zawęziły się do bladego dzióbka, prezentując całkowitą dezaprobatę dla takiego braku szacunku wobec tak bardzo kulturowanych tu angielskich manier.

– A zatem jak się to skończyło?

– Wyjechali tuż po Bonfire Night i długo się nie pojawiali.

– Czy pan Lawson jest dziś w szkole? – zainteresowała się Summer. Redfern doskonale wiedział, o kogo i o co jej chodzi. Najstarszy stażem nauczyciel mógł rzucić światło na czarne rewelacje pani Ruffett.

– Z tego, co wiem, to przebywa na urlopie zdrowotnym. Mogą państwo zapytać w sekretariacie, kiedy ma zamiar wrócić.

– Tak zrobimy – zapewniła Summer. – Dziękujemy pani.

Kobieta skinęła nieznacznie głową na znak czegoś, co mogło być równie dobrze zgodą, podziękowaniem czy pożegnaniem. Wpatrywała się przez chwilę w sierżantkę, jakby w oczekiwaniu na ciąg dalszy, a gdy on nie nastąpił, bąknęła życzenie miłego dnia i poszła w stronę wejścia do szkoły.

– Nie wróć tam – oświadczyła Summer.

– Ja tym bardziej. – Redfern mrugnął okiem i uśmiechnął się pierwszy raz od dawna. Poczł, że praca w terenie podziałała na niego ożywczo, a serce nabierało właściwego rytmu, którego mu brakowało i którego nie chciał stracić.

– To co? Kończymy na dziś? – rzuciła sierżantka, idąc w stronę swojej skody.

– Tak, dziś już nic nie wskóramy – odpowiedział, starając się ukryć zawód. – Muszę się zastanowić.

– Ja też. I odzyskać kontrolę nad sytuacją.

– Ułoży się – zapewnił Redfern.

– Albo uwali – odparła mistrzyni optymizmu, znikając we wnętrzu samochodu. Niebawem został po niej tylko znikający szybko ślad na mokrej nawierzchni.

Kolejna potężna chmura nadciągnęła nad inspektora, zwiastując szturm, którego jego kurtka z pewnością już nie będzie w stanie odeprzeć. Zanim wielkie krople dotknęły przedniej szyby triumpha, schował się do środka i zastanawiał, co dalej. Ulewa przyniosła ze sobą zapowiedź wieczora, choć popołudnie dopiero rozpościerało skrzydła nad Surrey. Pierwsza myśl, by podjechać do zaułka przylegającego do terenów zielonych miasteczka, zniknęła z zasięgu wzroku jak ciężka kropla, której Redfern od dłuższej chwili się przyglądał. Zapiął pasy, ale zanim zdążył przekręcić kluczyk w stacyjce i wrzucić bieg, został otoczony wtaczającymi się na parking samochodami. Jedno spojrzenie na zegarek pozwoliło mu zrozumieć, że znalazł się w potrzasku przyjeżdżających po dzieci rodziców.

Miał takie same szanse na ucieczkę jak samotna sarna w otoczeniu wader. Postanowił poczekać, aż stado się rozjedzie. Nie powinno to trwać zbyt długo, bo szkoła została przecież spustoszona przez armagedon.

Nie pomylił się. Po kwadransie obserwował, jak ostatnie czerwone światła znikają za bramą parkingu. Jego uwagę przykuły stojące wzdłuż ogrodzenia stary minivan oraz tegoroczny jaguar XF.

Zanim Redfern zdążył na dobre zanurzyć się w podziwie, z drzwi wejściowych wypadły trzy kobiety. Wysokich i głośnych dźwięków awantury nie był w stanie porwać nawet dudniący wiatr. Inspektor rozpoznał jedną z uczestniczek, która próbowała zapanować nad dwiema pozostałymi. W akcie desperacji dyrektorka starała się stanąć między rudowłosą trzydziestolatką w kostiumie a tlenioną blondynką w szlafroku i kaloszach. Inspektor odpiął pasy i wysiadł.

– Nie będziesz się rządzić moimi dziećmi, paniusiu!

– Ten zwierzyniec nazywasz dziećmi?! – wrzasnęła biznesmenka, wskazując na stadko ustawione za łopoczącą na wietrze podomką. Redfern doliczył się piątki płowych głów. Deszcz zdawał się ustawać, by nie tłumić dźwięków kłótni.

– Zabiję cię, suko!

Inspektorowi tylko śmignęły z daleka wściekle różowe tipsy. Dyrektorka w porę zrobiła krok do przodu, uniemożliwiając celne wyprowadzenie ciosu.

– Spróbuj mnie tknąć, a zobaczysz. – Ruda stała jak wryta. Najwyraźniej podczas korporacyjnych zebrań miała do czynienia z większymi skokami adrenaliny i kortyzolu.

– Zobaczę, a pewnie! – Zaśmiała się kpiąco właścicielka minivana. – Ciebie smarkającą krwią jak twoje bękarty!

– Wracaj do swojej nory rozłożyć nogi przed jakimś kuzynem. Tylko do tego się nadajesz.

Tym razem blondynka napała mocniej, odtrącając rękę nauczycielki.

– Niech pan coś zrobi – głos dyrektorki się łamał.

Szybki krok Redfern zmienił w bieg. Jego ręce zapadły się w miękkim welurze, kiedy w ostatnim momencie złapał w pasie napastniczkę. Dzieci wydały z siebie pisk.

– Precz z łapami, chuju! – Kobieta zamachnęła się w stronę swojej oponentki, ale Redfern odciągnął ją mocniej i paznokcie nie zdołały dosięgnąć szczupłej twarzy bizneswoman.

– To policjant! – krzyknęła dyrektorka.

– Czyli wielki chuj – odparowała wściekle. – Co, mało wam jeszcze po Dale Farm, kutasie?

– Proszę się uspokoić. – Redfern zwolnił uścisk. Wzmianka o gospodarstwie w Essex skonsternowała go, ale nie miał teraz czasu o tym myśleć. Stał między kobietami i spokojnie zapytał: – O co chodzi?

– Doigrałaś się, suko – warknęła ruda i poprawiła rozwiane włosy. – Jeden z tych warchlaków napadł na moje dzieci – dopowiedziała.

– Bo się przezywały. – Największe z dzieci wychynęło zza matki. Z okrągłej śniadej buzi błyszczały dwa seledyny oczu, na które nachodziła pszennozłota grzywka.

– To nie powód, żeby kogoś bić – wyjaśnił inspektor.

– Bo ciebie od brudasów nikt nie wyzywał – rzucił chłopczyk, ale ostatnie słowa jakby utknęły mu w gardle. Zaczesał ręką włosy do tyłu i otaksował Redferna z góry na dół, rozumiejąc błąd swojego osądu. Inspektor ścisnął wargi, kiwając niezauważalnie głową. Chciał coś powiedzieć, ale uznał, że trzymanie którejkolwiek ze stron tylko zaostrzy konflikt.

– Proszę wracać do domów – zażądał Redfern.

– A raport? – usłyszał jednocześnie dwa głosy.

Rudowłosa i dyrektorka wpatrywały się w niego zaskoczone. Raport powinien być sporządzony natychmiast po zdarzeniu i wręczony stronom. Redfern spojrział na zapłakaną twarz dziecka, które obejmowane przez siostrę do tej pory pozostawało dla niego niewidoczne. Pomyślał, że siniec pod lewym

okiem raczej szybko zejdzie, ale inspektor miał wątpliwości, czy zadrapań nie powinien zobaczyć lekarz. Chłopiec masował też rękę.

– Proszę przynieść raporty – zwrócił się do dyrektorki. – Chcę też kopię dla siebie – dodał, co wywołało na twarzy obu kobiet zdziwienie, które groziło kolejnym wybuchem. – A panie niech zabiorą dzieci do samochodów – uciał.

Nie miał zamiaru oglądać dokumentów, nawet nie miał do tego prawa. Zależało mu tylko, by uspokoić sytuację, choćby wymagało to nagięcia reguł i nadużycia autorytetu. Tak jak podejrzewał, kobiety zawołały swoje pociechy i poszły w stronę parkingu.

Dzień nie zamierzał jednak kończyć festiwalu niespodzianek. Redfern ze zdziwieniem patrzył, jak matka dwójki poszkodowanych ściągała marynarkę i układała ją w bagażniku zdezelowanego ford. Obserwując piątą płową głowę znikającą we wnętrzu jaguara, miał wrażenie, że na drodze do równowagi Wielka Brytania wykonała salto i jeszcze nie zdążyła wylądować.

Zanim którykolwiek z samochodów zdążył odjechać, w drzwiach pokazała się dyrektorka, trzymając w dłoniach kartki z licznymi tabelami. Redfern znał ten formularz. Jego nazwisko niejednokrotnie się w nim pojawiało – raz w tytule, innym razem w opisie, co dawało zdecydowanie większą satysfakcję. Na widok wyciągniętej ręki pani Hudson tylko pokręcił głową. Uśmiechnęła się lekko, rozumiejąc fortel.

– Zaraz wracam – szepnęła i ruszyła w stronę nowszego auta, zupełnie jakby chciała najpierw mieć z głowy trudniejszą część zadania. Po chwili dotarł do niego podniesiony głos. Dyrektorka musiała wznieść się na wyżyny dyplomacji, by afera nie rozgorzała na nowo. Usłyszał zaproszenie na jutrzejsze popołudnie, ale podejrzewał, że blondynka i tak się nie stawi. Jego śmiałe przypuszczenie natychmiast zobrazowało niesione wiatrem białe konfetti i samochód odjeżdżający z piskiem opon.

Z drugą mamą poszło już szybciej. Ubrana w białą bluzkę kobieta ze łzami w oczach kiwała głową. Pani Hudson potarła jej ramię w solidarnościowym geście. Zajrzała do środka samochodu i pomachała dzieciom na pożegnanie z hollywoodzkim uśmiechem, który – najpewniej miała taką nadzieję – złagodzi wizję jutrzejszej konfrontacji.

– To nie pierwszy raz – wyrzuciła z siebie dyrektorka, stając obok Redferna. Oboje patrzyli na wyjeżdżającego przez bramę ford. Jego skorodowana kłapa została pod powiekami inspektora niezrozumiałym powidokiem.

– Dzieci często się biją – skonstatował.

– Ale nie tak – zaoponowała zamyślona. – To przypomina regularną wojnę. Nie ma dnia, żeby ktoś nie oberwał. Nawet nauczyciel.

Redfern nie skomentował wybryku, który za jego czasów skończyłby się wydaleniem ze szkoły. Interesowało go coś innego.

– O co poszło?

– O to, co zawsze. Rodzina pani Sheridan jest regularnie atakowana przez dzieci z innych rodzin.

Tych lepszych, pomyślał Redfern, choć wciąż przed oczami miał marynarke ładującą w bagażniku starego minivana.

– Niestety, dzieciaki od Sheridanów znają tylko jeden sposób reagowania na wyzwiska, co kończy się krwawiącym nosem lub podbitym okiem. Inni uczniowie nazywają ich przybłędami, bękartami, brudasami. Arsenał wyniesiony z domu.

– A tamte przynoszą twarde pięści.

– Nie inaczej – przyznała mu rację i cofnęła się we wnękę prowadzącą do szkolnych drzwi wejściowych. – Stąd też masowe wypisywanie dzieciaków ze szkoły – dodała smutno.

– A nie lepiej byłoby odesłać te dzieciaki na nauczanie domowe?

– Od momentu Dale Farm nie wolno nam tego robić – wyszeptała ze zgrozą. – Zresztą nie będzie miał ich kto uczyć. Taka tradycja, by się nie dać systemowi. Wie pan, że wśród Travellersów aż osiemdziesiąt procent stanowią ludzie niepiśmienni?

Nie wiedział. Tak jak mgliście przemykała mu myśl o farmie. Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu i poszukać o niej więcej informacji, a wzmagający się wiatr tylko do tego zachęcał.

– A jednak dzieci Sheridanów chodzą do szkoły.

– Kupili ziemię naprzeciwko jeziora, przy Polesden Lane. Wjazd *vis-à-vis* destylarni – dodała. – Z drogi nie widać, ale w głębi stoi wielka przyczepa, chociaż o tej porze może być ich więcej. Trochę się tego obawiamy.

*

Przez okno obserwował nieruchome sine chmury – plamy opadowe niedawno zmarłego dnia. Usiadł przy biurku, włączył lampkę i komputer. Chciał ponownie przejrzeć notatki Summer, ale litery skakały mu przed zmęczonymi oczyma. Sierżantka od popołudnia nie dawała znaku życia, więc podejrzewał, że jeszcze nie wywalczyła parytetu w sprawie NN. Chciał jej pomóc, mając nadzieję, że zjedna sobie choć jedną osobę na komendzie. Na McMahona nie miał co liczyć, podobnie na komendanta Knighta, który dopiero wdrażał się w tryby pracy po niedawnej rekonwalescencji. Na Tinneya czekała kariera w NCA, z czego inspektor ogromnie się cieszył. Jeśli młody posterunkowy nie pozwoli wymknąć

się tej szansie z rąk, mógł za parę lat zająć naprawdę wysoko. *National Crime Agency* dawała takie możliwości. Wystarczyło zmieszać w równych proporcjach trzy składniki: pracowitość, spryt i cierpliwość. Tinneyowi brakowało tego ostatniego, ale właściwie komu nie brakowało?

Redfern spojrział na skan równego odręcznego pisma. W pierwszej chwili tego nie zauważył, ale Summer Winter namalowała na brzegu kartki kształtne, ale złamane serce, od którego prowadziła strzałka, i komentarz „sprawdź”.

Spojrział na zegarek. Dochodziła piąta, a więc mógł założyć, że Summer jest w drodze do domu. Wziął do ręki komórkę i wybrał numer z listy ostatnich połączeń.

– Nie mów, że na coś wpadłeś – rozpoczęła. Redfern słyszał w tle szum ulicy.

– Nie, ale ty chyba tak – odparł i dał plik do druku. – Patrzę na serduszko w twoich notatkach. Wiesz coś na ten temat?

– I tak, i nie.

– Byłaś u Teda? – odciął się za przytoczenie irytującej frazy patologa z Guildford.

– Nie wiem, o co ci chodzi, ale faktycznie byłam – odparła. – To on odkrył w przywiezionych szczątkach małe metalowe serduszko. Najpewniej zawieszka od łańcuszka. A właściwie jego część, bo to taki tandetny rekwizyt młodzieńczej miłości, co łamiesz i dajesz połówkę tej drugiej osobie. Na fragmencie znalezionym przy dziewczynie są litery: „ove ou”.

– Czyli na brakującej jest I, L, Y – skonstatował Redfern i sięgnął do drukarki, która właśnie wypluła kartkę. – *I love you* – przeczytał.

– Nic nam to nie mówi, Dave – powiedziała niechętnie. – Takich blaszek w internecie są tysiące.

– Pamiętaj, że mówimy o zbrodni sprzed dekady. Wisiołek wcale nie musiał pochodzić z internetu.

– Tak czy inaczej niewiele z tego wynika.

– Wynika dość dużo – odparł Redfern, nie dając się pesymizmowi. – Po pierwsze, dziewczyna była zakochana, a to już coś. Po drugie, możemy celować, że była bliżej wieku nastoletniego. Studenci omijają takie artefakty szerokim łukiem, myśląc już raczej o pierścionku.

– Chyba za twojej ery – prychnęła do słuchawki dwudziestokilkulatka. – Nikt nie myśli o pierścionkach na studiach, a nawet po nich.

– Dobra, już dobra – poddał się. – W każdym razie na tapecie mamy miłość, a jak wiemy ze szkoleń, sierżantko, to najsilniejszy motyw zbrodni.

– Mam wrażenie, że coraz częściej jednak są to pieniądze – mruknęła.

– Dobrze, pani nowoczesna. Radzę ci tylko przyjrzeć się mocniej tej zawieszce. Weźmy to jutro na rozpoznanie.

- Dokąd? – zainteresowała się.
- Mam pewien pomysł.

19.12.2013 r., czwartek

Przenikający przez zasłony świt wyciągnął z łóżka nie tylko Redferna. Smuga światła pod drzwiami zwiastowała nadejście śniadania. Chwilę później wąskim korytarzem popłynęły dźwięki wyjmowanych kubków i aromat kawy. David spojrzął na swoje zeszytwniałe palce, które przypomniały mu wszystkie te dni, kiedy sam nie mógł sobie przygotować rano posiłku. Czarny humor zaserwował mu myśl, że toczy to towarzyskie schorzenie. Postanowił zacząć negocjacje z nim od łagodnej sugestii i łyknął na sucho dwa naproxeny.

Gdy tylko odczuł działanie leku, włączył komputer i wstukał w wyszukiwarkę hasło „Dale Farm”. Zastanawiało go, dlaczego kobieta spod szkoły przywołała akurat to zdarzenie.

Wikipedia podsunęła przejrzysty artykuł o największej eksmisji w dziejach tego kraju, której korzenie sięgały początków dekady, kiedy to grupa Travellersów zakupiła w Essex teren zielony i postawiła na nim osiem przyczep. Niedługo potem farma rozrosła się do ponad osiemdziesięciu rodzin, by ostatecznie gościć ponad tysiąc osób. Miasteczko nie było w stanie udźwignąć takiego napływu ludzi. Co więcej, wprowadzenie się grupy, która wymykała się standardom prawa i społecznego porządku, sprawiło, że ziemie okolicznych mieszkańców straciły na wartości. Jednak to nie hałas, smród składowiska odpadów ani nawet wzrost przestępczości były najmocniejszym argumentem przemawiającym za eksmisją. Mieszkańcy Dale Farm postawili swe przybytki na tzw. Zielonym Pasiu, który w świetle prawa nie może zostać zabudowany.

Ostatecznie sprawa trafiła do sądu także z powództwa cywilnego, którego osią był Len Gridley. To on, poświęcając czas i ogromne środki finansowe, doprowadził do tego, że po dziesięciu latach batalii nielegalni mieszkańcy farmy musieli się wyprowadzić.

Czytając kolejne linki podsuwane przez Google, Redfern natrafił na liczne dowody na to, że Travellersi nie zamierzali się poddać. Eksmisja przypominała regularną bitwę, w której wzięło udział osiemdziesięciu komorników i prawie dwa razy tyle policjantów uzbrojonych w pałki i paralizatory. Oglądając urywki filmów z akcji, Redfern miał wrażenie, że Travellersi wraz z aktywistami byli lepiej przygotowani – wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego ustawili butle

z gazem, z których puszczano ogień, zbudowano dwunastometrową wieżę z połamanymi meblami, płotów i innych śmieci.

Wyłączył YouTube'a, zastanawiając się, jak to się stało, że nie odnotował jednej z największych akcji policji od wielu lat, której echa dotarły nawet do ONZ. Rzut oka na kopertę z granatowym logo wystarczył, by sobie przypomnieć – dziewiętnastego października patrzył, jak dowody na istnienie pana Redferna trawi ogień po wybuchu w jego mieszkaniu. Żal, który powinien czuć, wyparło wspomnienie bladych twarzy lokatorów bloku przy Constitution Hill. Wyrwani ze swych bezpiecznych gniazd, przypominali Travellersów stojących wokół farmy i patrzących, jak buldożery rozjeżdżają ich domy. I choć mieszkańcy Dale Farm złamali prawo, to ich przerażenie można było odmierzać tą samą miarą, co obywateli Woking.

Przechodził od linku do linku, coraz mocniej zagłębiając się w sprawę eksmisji, gdy skrzypnęły drzwi:

– Pracujesz? – Siwiaszczyk wsunął głowę do pokoju.

– Powiedzmy – mruknął. W zasadzie nie wiedział, dlaczego ta sprawa tak go zainteresowała.

– Zrobiłem śniadanie. Może zjesz? – oznajmił Bohdan i zerknął na ekran komputera. – O, to ta farma Cyganów – ożywił się.

– Kojarzysz to? – zapytał Redfern. Odsunął się od biurka i spojrzał na dziadka. Światło monitora bezlitośnie obnażyło jego zmęczenie.

– Pewnie – odparł staruszek i wszedł do środka. – Słuchałem w radiu o tym. Pomyślałem wtedy nawet, że może bierzesz w tym udział i coś ci się stało.

– Wiem, zachowałem się jak palant. Powiniennem dać znać, że nic mi nie jest. Ten wybuch pozbawił mnie rozsądku.

Siwiaszczyk w milczeniu pokiwał głową.

– Przykra sprawa – skomentował nagle. Redfern nie wiedział, czy dziadek ma na myśli wydarzenia w Dale Farm, czy nieodpowiedzialność wnuka. – Powinni to jakoś inaczej rozwiązać, a nie paralizatory i pałki. Przecież tam były dzieciaki.

Redfern zastanawiał się nad odpowiedzią. Z jednej strony Siwiaszczyk miał rację – każde wyjście jest lepsze od przemocy. Z drugiej – nie znajdował błędów w procedurze, która dawała szansę na pokojowe zamknięcie sporu. Machina biurokracji jest zakończona bezwzględny sitem człowieczeństwa.

Zjedli śniadanie w ciszy, pogrążeni we własnych myślach. Nawet Bandit niemrawo żuł swój przysmak pod stołem. Blade promienie słoneczne jeden po drugim dopadły Princess Road, zalewając je trupio szarym światłem. Niczym

palce maszynistki wystukiwały na klawiaturze miasta ponure zaproszenie do ponurego dnia.

– Ta historia z eksmisją – zaczął Siwiaszczyk, odkładając widelec na pusty talerz, na którym tańczyły oka tłuszczu po kiełbasie. – Myślisz, że ma coś wspólnego z tą dziewczynką?

– Jakoś trudno mi uwierzyć w przypadki. Ta kobieta nie powiedziała tego ot tak sobie.

Bohdan zebrał naczynia i włożył do zmywarki, po czym wrócił do stołu, by rozwiązywać swoje sudoku. David obserwował szybko pojawiające się w pustych polach cyfry. Cieszyła go bystrość umysłu staruszka, natomiast bawiło zupełnie coś innego:

– Rozwiązujesz sudoku słownie? – zagaił.

– Co? – Siwiaszczyk oderwał się od wpisywania i spojrzał na Redferna zdziwiony.

– Już zapomniałem, że piszesz jak kalkulator – David skrytykował charakter pisma dziadka, który nawet litery zwykł zapisywać bez zbędnych zaokrągleń. Przypominały cyfry z ciekłokrystalicznego wyświetlacza.

– Ważne, żebym myślał jak kalkulator – odparł i wpisał kolejną cyfrę, przyciskając ołówek tak mocno, że skruszył grafit.

Redfern nie skomentował, przypominając sobie liczne kłopoty, w jakie wpędzało go dziadkowe pismo, w autentyczność którego nie chciała uwierzyć żadna z nauczycielek, a nawet dyrektorka szkoły w Edynburgu. Ocknął się na myśl o szkole i Summer, która najpewniej czekała na niego pod Asdą. Zerwał się, pożegnał z dziadkiem i już po paru minutach biegł ulicą w stronę marketu.

*

Wbrew groźbom dzień przetaił z nieba pokrywę chmur, pozwalając słońcu wysycić kolorami szary krajobraz. Redfern z zadowoleniem stwierdził, że pomysł jazdy jednym autem wcale nie był taki zły. Summer Winter prowadziła swoją skodę, nie siląc się na brawurę i popisy. Jednak jej milczenie zamiast spokoju przyniosło dziwne rozedrganie. Mimo początkowej niechęci Redfern postanowił się dowiedzieć, co jest powodem ciszy.

– Gadałaś z Knightem? – zapytał, gdy minęli las Pyrford.

– A ty? – odbiła Summer i zwolniła przed zakrętem.

– Wiesz, co mam na myśli. Moja sprawa może poczekać. Malcolm ma wystarczająco dużo na głowie. Powiedz lepiej, co się dzieje z dostępem do akt.

– Odblokowane – rzuciła krótko, wyjątkowo mocno skupiając się na drodze.

– Szybko poszło – skwitował, czując poirytowanie, że sierżantka nie powiedziała mu tego od razu. – Mówiłem ci, że to pewnie jakiś błąd. – Wzruszył ramionami i wrócił do kontemplowania widoków za oknem. W miarę zbliżania się do Ripley robiły się coraz ładniejsze. Gdy skoda opuściła ciasny wąwóz u stóp kościoła St. Nicolas, ich oczom ukazały się ruiny katedry Newark. Summer zwolniła, żeby zerknąć na zatopione we mgle poszarpane mury.

– Bo ja nie wiem, czy to był dobry pomysł, żeby cię w to wszystko angażować – wypaliła nagle i zatrzymała auto na światłach przed wąskim mostkiem. Wyłączyła silnik i zaciągnęła ręczny w oczekiwaniu na przejazd aut z naprzeciwka.

– Czyli rozmawiałaś jeszcze z McMahonem – Redfern bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Myślałam, że to jego sprężyna, i wparowałam mu do gabinetu, żeby powiedzieć, co sędzę o takich gierkach.

– Łatwiej krewnemu niż przełożonemu – bąknął, zły na brak profesjonalizmu policjantki.

– McMahon jest moim przełożonym – syknęła wściekle.

– Ale i ojcem – nie ustępował Redfern. – Nie powiesz mi, że lepiej zwrócić uwagę szefowi niż własnemu ojcu.

– McMahon porzucił moją matkę, gdy była w ciąży. – Summer spojrzała na niego pełnymi gniewu oczami. – O jakim ojcostwie ty, do cholery, gadasz?

– Powinnaś powiedzieć o tym Knightowi.

– To sprawa osobista.

– Osobistą to możesz mieć bieliznę. Gliniarze nie miesza spraw osobistych. Zdejmij Knightowi chociaż ten problem z głowy. Niech wie, co jest grane.

– Nie ja tu jestem mistrzem dokładania problemów przełożonym i ukrywania, co jest grane. – Przekręciła kluczyk w stacyjce i jeszcze na pomarańczowym ruszyła z piskiem.

Redfern musiał przyznać, że trafiła bezbłędnie.

– Prowadzisz jakieś głupie rozgrywki pod nosem najbardziej lojalnego i wartościowego gliny, jakiego znam.

– No właśnie o tym mówię – podkreśliła. – Prowadziłeś na boku poszukiwania zaginionej, jesteś na celowniku jakiegoś palanta, ale nikomu nic nie mówisz. Linda Wall też jest objęta jakąś twoją chorą ochroną świadków. Tylko nie wciskaj mi kitu, że to co innego, dobrze?

Redfern miał ochotę odparować czymś mocnym, ale zrezygnował. Jego problemy muszą zejść na dalszy plan, dopóki sierżantka Summer Winter nie dostanie tego, po co przyjechała do Woking. Przepychanki słowne z pewnością w niczym tu nie pomogą.

– Daj Knightowi szansę pomocy – zdobył się na łagodny ton. – Jeśli nie interesuje cię przydział do obyczajówki, to mu o tym powiedz. Znajdzie ci miejsce w kryminalnych.

– Nie odbierze lizaka McMahanowi.

– Ma do tego podstawy. Gregory spieprzył sprawę Izy Wolańskiej i ma tego świadomość. Zwróć uwagę, że przy O'Malleyu w zasadzie się nie wychylał. Sprawę hodowcy koni zostawił nam.

– Ale zasługi przypisał sobie – skwitowała kwaśno.

Summer Winter zatrzymała się, by wpuścić forda, który usiłował się włączyć do ruchu. Mrugnęła światłami, a kierowca fiesty machnął w podziękowaniu ręką i wjechał przed nich.

– Zjechać do szkoły? – zapytała, gdy minęli Polesden Lane.

– Nie, miniesz ją i wjedziesz w pierwszą uliczkę w lewo. Tylko zwolnij, bo to jest dość mały przesmyk i łatwo go przeoczyć.

Sierżantka trafiła bezbłędnie i po chwili wysiadali na wysypanym jasnymi kamyczkami placu. Słońce niczym dioda led dawało wyłącznie światło. Redfern postawił kołnierz kurtki i roztarł zmarznięte ręce.

– Myślisz, że ktokolwiek będzie pamiętał tamte wydarzenia? – zapytała Summer, obchodząc auto dookoła i stając przy inspektorze. – O ile w ogóle możemy mówić o jakimś wydarzeniu.

– Nic innego nie mamy. Jeśli to, co mówiła matematyczka, jest prawdą i data tajemniczego wyjazdu Travellersów pokrywa się ze śmiercią nastolatki, to trzeba to drażnić.

– *À propos* drażenia, to już pytałam Knighta, co ze mną będzie, i raczej widziałby mnie w obyczajówce – wyznała. – Prawdopodobnie to moja ostatnia sprawa z wami.

– No to jej nie spieprz – powiedział Redfern i udał się w stronę domu, który wczoraj przywitał go ruchomą firanką.

Miał przeczucie, że pośród wielu martwych okien, to widziało najwięcej. Podszedł do drzwi i zastukał mosiężną kołatką, która wypełniła metalicznym dźwiękiem cały zaułek. Skrzydło niemal natychmiast odkleiło się od futryny, a w powstałej ciemnej przerwie Redfern dostrzegł parę czarnych oczu osadzonych płytko. Twarz zdawała się pokryta beżową krepą.

– W czym mogę pomóc?

Redfern przedstawił siebie i stojącą tuż za nim sierżantkę, pobieżnie wyjaśniając, z czym przychodzą.

– Nie, nic nie pamiętam i nic nie widziałem – odparł staruszek i pchnął drzwi.

– Tu może chodzić o morderstwo dziecka – wyrwała się Summer. Redfern wypuścił głośno powietrze przez nos, dając upust niezadowoleniu.

– Chodzi o te zwłoki, które znaleziono w szkole? – Drzwi cofnęły się. – To było dziecko? – zmartwił się mężczyzna. – Niech państwo wejdą.

Ku zaskoczeniu obojga mosiężna kołatka nie była zapowiedzią barokowych wnętrz. Salon przywodził na myśl oszczędne, ale ciepłe projekty Kelly Hoppen czy Michaela Bullarda. Miękkie obicia prostych kanap zachęcały do zatopienia się w lekturze jednej z dziesiątek książek spoczywających na rustykalnym regale przylegającym do południowej ściany. Na lustrzanym prostopadłościu stołu Redfern dostrzegł kryształowe szachy w trakcie rozgrywania partii. Ramka na betonowym kominku przyniosła odpowiedź, czemu dom zawdzięcza swą surowość. Zza szkła patrzyła na niego młodsza wersja mężczyzny ubrana w mundur i czapkę z kotwicą wieńczoną koroną. Patrząc na pełne spokoju oczy, inspektor pomyślał, że ascetyzm wsiąknął w komandora Roberta Streetera wraz ze słoną morską wodą i litrami towotu.

– Proszę usiąść – zachęcił mężczyzna. – Zaproponowałbym państwu coś ciepłego, ale bez pomocy mojej gosposi nie dam rady nic przygotować. Proszę mi wybaczyć tę niegrzeczność. – W nieśmiałym geście wyciągnął do przodu dłoń, których wykrzywione gośćcem palce drżały niczym targane wiatrem brzoźowe gałązki. Redfern odruchowo potarł swoje i schował do kieszeni kurtki.

– Naprawdę nic nie szkodzi – zapewniła go łagodnie Summer. – Nie zajmujemy panu zbyt wiele czasu.

– Bo niezbyt wiele go już mi zostało. – Uśmiechnął się. – A więc mówi pan – zwrócił się do Redferna – że chodzi o tych ludzi, którzy rozstawiają swoje auta kempingowe na naszym terenie. Naprawdę wątpię, że będę w stanie pomóc. Oni się pojawiają i znikają.

– Konkretnie chciałbym zapytać o rok, w którym się nie pojawili, a właściwie ten poprzedzający. Myślę, że ma pan zmysł obserwacji i mógł coś zauważyć.

Nienachalny komplement podziałał ożywczo.

– Dwadzieścia lat w nawigacji zrobiło swoje. – Wyprostował się i zerknął w stronę kominka. – Czyli musi chodzić o dwa tysiące trzeci i dwa tysiące czwarty. Faktycznie w dwa tysiące trzecim przyjechało ich wyjątkowo dużo. Zwykle to sześć do ośmiu przyczep i samochodów, a tym razem było ich ze trzy lub cztery razy więcej. Burmistrz odwołał wtedy obchody Bonfire Night.

– Ale co się stało, że nie wyjechali przed świętem? – dociekała Summer. Jej zaróżowione wiatrem policzki przybrały nagle barwę astrów.

– Podobno miał odbyć się ślub jakiejś pary.

– A odbył się?

– Nie wiem, choć sądząc po dzikości muzyki i hałasów dochodzących z łąki coś się musiało wydarzyć, a może po prostu byli wtedy w lepszych nastrojach na zabawę. Naprawdę nie wiem. Z moich okien wszystko widać, ale za bardzo lubię szyby w nich i mój ogród, by się wtrącać – mówił pełnymi zdaniami, na końcu których lekko drżał strach.

– Czy zaraz potem wyjechali? – zapytał Redfern.

– Tak. Szybko się zwinęli.

– Jest pan pewien, że to był rok dwa tysiące trzeci? – upewniał się, mając w pamięci słowa nauczycielki ze szkoły, która z przekonaniem mówiła o przełomie mileniów.

– Jestem więcej niż pewien, ale muszę panu jeszcze coś powiedzieć. Piętnaście czy nawet dziesięć lat temu Ripley mogło pomarzyć o statusie najlepszej gminy w kraju, a nawet w Surrey. Wieś jak wieś i jak to na wsi bywa, było tu paru mocniejszych nie tylko w gębie. Siedzieli w pubie i gdy już wypełnili alkoholem te miejsca pozbawione szarych komórek, to szukali zaczepki. Ta zabawa, o której wam mówiłem, zakończyła się nagle. Wydaje mi się, że musieli ich chyba niezłe nastraszyć, bo następnego roku się nie pojawili.

– Ale policji nikt nie wezwał?

– Droga pani, to są konflikty nierozwiązywalne przez żadne prawo ani mundur, bo ich uczestnicy za nic mają i jedno, i drugie. Pani wystawi im mandat, a oni zrobią z niego podpałkę do grilla. Jutro zostaną po nich tylko ślady wygniecione w trawie i nieziemski bałagan.

– A chłopaki z pubu?

– Nie znam ich osobiście. Wiem tylko, że to teraz szanowani obywatele. – Mrugnął okiem, po czym ziewnął przeciągle, zasłaniając usta szczupłą dłonią. – Przepraszam. Zwykle o tej porze ucinam sobie drzemkę.

– Bardzo panu dziękujemy. – Summer wstała z kanapy, rzucając Redfernowi wymowne spojrzenie. Inspektor podniósł się, czując żwir w stawach. Patrzył na lekko dygoczącą głowę komandora Streetera i zrobiło mu się go zwyczajnie żal. Musiał jednak przyznać, że na drugiej szali spoczęła zazdrość o tak piękny wiek i klasę, która mu towarzyszyła. Ukradkiem zerknął na swoje spuchnięte dłonie i nie miał wątpliwości, jak ocenić ten widok.

Pożegnali się z mężczyzną, prosząc o kontakt, gdyby sobie coś przypomniał.

Przecięli parking, osłaniając się od uderzeń wiatru. Upewniwszy się, że staruszek zamknął drzwi, Summer zapytała:

– Myślisz, że panną młodą mogła być nasza NN?

– Za młoda.

– Jakbyś nie znał Travellersów. – Skrzywiła się i podeszła do auta. Przekręciła kluczyk w drzwiach, zwalniając blokady. Redfern schował się we

wnętrzu. Sierżantka jeszcze chwilę rozglądała się po placu, po czym zrobiła to samo.

– Odbył się ślub, rozjechali się po kraju – podsumowała kwaśno. – Szukaj wiatru w polu.

– Niezupełnie – zaprzeczył Redfern i rozsunał kurtkę w poszukiwaniu leków przeciwbólowych. Łyknął naproxen, po czym pokrótce wyjaśnił jej, co zaszło pod szkołą.

– To jedźmy tam – zaproponowała, nakręcona entuzjazmem. – Ci Sheridanowie muszą wiedzieć coś o ślubie.

– Dzisiaj nie dam już rady. Sama też tam nie jedź – nakazał, uprzedzając jej myśli.

– Odwiedzasz dziś Martę, tak?

Redfern przytaknął, choć nie stała za tym prawda.

– Jak ona się czuje?

– Trudno powiedzieć. Dowiem się, kiedy lekarze zdecydują się ją wybudzić.

– Odwieźć cię do szpitala? – zaproponowała z troską.

– Nie – odparł. – Wezmę swoje auto. Podrzucić mnie do Asdy, muszę kupić kilka rzeczy.

*

Rtęć nieba wisiała nisko nad miastem, wlewając w żyły dziwny smutek. Redfern wjechał w wąską uliczkę prowadzącą do kliniki The Priory. W zimne mury pchała go nadzieja, że Linda Wall czuje się na tyle dobrze, by lekarz zezwolił na widzenie. Pamiętał dzień, w którym odwoził tu sierżantkę. Pamiętał jej spocone czoło i oczy pełne narkotykowego głodu. Obiecała, że da z siebie wszystko, i ostatnie tygodnie były tego najlepszym dowodem. Miał przeczucie, że jej zapaść nie była przypadkowa.

– Nie liczyłabym jednak na ożywioną rozmowę. Linda wiele przeszła.

– Chciałbym ją tylko zobaczyć – zapewnił Redfern.

Pielęgniarka zaprowadziła go korytarzem do schodów. Wspięli się na drugie piętro. Z każdym stopniem w Redfernie odżywały wspomnienia. Ostatnim razem, kiedy szedł tędy, na końcu drogi czekał na niego Adrian Bones. Trzecie drzwi po prawej, krata w oknie, która zdawała się siekać pomieszczenie na małe świetliste parcele, przywodząc na myśl planszę do gry. Stojąc wtedy pośrodku pokoju przyjaciela, nie zdawał sobie sprawy, że właśnie wszedł do rozgrywki, której zasad nie rozumiał do tej pory.

Pielęgniarka zatrzymała się w połowie korytarza i wskazała brązowy prostokąt drzwi, po czym bez słowa poszła dalej. Redfern widział, jak znika

w jednej z sal. Zapukał cicho. Mimo że nie usłyszał zaproszenia, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Musiał chwilę odczekać, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Nie był pewny, czy to szarość dnia czy bliskość śmierci wypełniały pokój przygnębieniem. Sylwetka Lindy odcinała się na tle zasnutego do połowy roletą okna. Kobieta nie zareagowała, nieruchomo wpatrując się w widok.

– Cześć, Lin – rozpoczął cicho. – Jak się czujesz?

Cisza. W tle dochodziły go tylko miarowe kroki pielęgniarek i wiatr raz za razem napierający na szyby. Zrobił kilka kroków do przodu, ale sierżantka zdawała się zastygnąć w swej pozie.

– Lin, to ja, David – szepnął.

Nie doczekawszy się reakcji, podszedł bliżej i dotknął ramienia policjantki. Czuł pod palcami wystającą kość. Ze smutkiem stwierdził, że nałóg nie znał pojęcia fair play. Z czułością pogłaskał przyjaciółkę po plecach.

– Oni cię zabijają! – wrzasnęła, odwracając się nagle. Chuda ręka przecięła powietrze, jakby chciała ściągnąć niewidzialną pajęczynę. Redfern odskoczył, ale szybko się zreflektował. Złapał Lindę za ramiona i zamknął ją w bezpiecznym uścisku.

– Zabijają cię! – nie przestawała krzyczeć. – Wszystkich nas zabijają – szlochała, wbijając palce w kurtkę Dave’a, a on przytulał ją coraz mocniej.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wbiegło dwóch pielęgniarzy.

– Proszę się odsunąć – rozkazał jeden z nich.

Redfern nie mógł się poruszyć. Nie chciał zostawiać jej samej z tym wszystkim. Pierwszy raz pożałował, że ją tu przywiózł. Logika sączyła złote nici myśli, które teraz zdawały się spleść w gruby sznur pewności, że to było jedyne wyjście. Sam nie dałby rady jej pomóc.

– Niech się pan odsunie! No już! – krzyknął mężczyzna.

Redfern zszedł do recepcji totalnie skołowany. Napotkał współczujący wzrok recepcjonistki. Domyślił się, że krzyk Lindy poniósł się aż tutaj. Anette, jak widniało na złotej plakietce, szepnęła coś na kształt „wszystko będzie dobrze”. Inspektor kiwnął głową na znak, że dziękuje.

– Co pan jej zrobił? – usłyszał za sobą. Znajomy głos dyrektorki zbliżał się szybko.

– Nic. – Odwrócił się w stronę Michelle Partner. – Nie zdążyłem nic powiedzieć.

– Musiało się coś stać. Pani Wall nie miewa takich ataków złości.

– To było przerażenie, a nie złość – skorygował Redfern.

Dyrektorka westchnęła i przetarła zmęczone czoło, mierzwiąc sobie rdzawą grzywkę.

– Wiem, że to pan finansuje pobyt pani Wall u nas – mówiła hardo. – Ale od teraz ograniczam jej widzenia do męża i siostry. Jako lekarz prowadzący mam do tego prawo.

– Siostry? – zdziwił się Redfern, zapominając o sprzeciwie.

– Tak, pani Wall w chwili lepszego samopoczucia podała dane siostry, ponieważ jej sytuacja z mężem jest... – zrobiła pauzę, szukając właściwych słów – dość skomplikowana.

– Nie przyjechał? Nie przywiózł dzieci?

Dyrektorka pokręciła głową.

– Dupek – warknął, ale kobieta nie skomentowała braku kultury.

– Jeszcze jedno – powiedziała. – Szukała pana matka Nathana Wooda.

Redferna przeszedł prąd poczucia winy. Już dawno obiecał sobie, że zajrzy do Beth Wood, sprawdzić, jak sobie radzi. Ostatnia wizyta na Finch Close przyniosła poczucie, że kobieta zatraciła się w żalu po stracie dziecka. Poza tym obiecał Siwiaszczykowi, że podąży tropem przyjaciela Adriana Bonesa, choć wciąż nie był do tego przekonany.

– Mówiła coś konkretnego? – zapytał zdławionym głosem.

– Wydawała się dość przejęta. Chyba chodziło o jej syna. Jak zawsze – dodała i uciekła wzrokiem gdzieś za okno, próbując ukryć zakłopotanie. – Przyznam, że te jej wizyty robią się męczące.

Redfern zrozumiał aluzję, której Michelle Partner nie śmiała ubrać w prośbę.

– Zajrzę do niej i zapytam, co się dzieje.

Pożegnali się oschle i David wrócił do samochodu.

Usiadł za kierownicą, zastanawiając się, jak zdobyć kontakt do męża Lindy. Mógł włamać się do ich mieszkania i poszukać, ale odrzucił ten pomysł. Był dostatecznie daleko od granic prawa, by porywać się jeszcze na taką brawurę. Doszedł też do wniosku, że mężczyzna w żaden sposób jej teraz nie pomoże i to nawet lepiej, że nie ogląda żony w takim stanie. Włączył silnik i odjechał.

Podobnie jak za pierwszym razem Beth Wood długo przyglądała się Redfernowi przez okno, zanim zdecydowała się otworzyć.

– To pan. Jak zwykle policja się nie spieszy – wysunęła zarzut i niechętnym gestem wpuściła Redferna do środka.

Inspektor chciał jej zwrócić uwagę, że zostawił wizytówkę, żeby mogła się z nim skontaktować w razie potrzeby. Słuchając jej oskarżeń doszedł do wniosku, że defensywa nie zmieni nastawienia kobiety do munduru, który tak boleśnie ją zawiódł.

– Chodzi o mojego syna – oznajmiła, prowadząc policjanta do salonu, który w dalszym ciągu przypominał skansen. Redfern miał wrażenie, że jedyne, co się zmieniło, to kurz, który zdawał się pokrywać wszystko dwa razy grubszym kożuchem. Beth Wood usiadła na kanapie i wskazała policjantowi wygnięciony fotel naprzeciwko.

– Przypomniała sobie pani coś jeszcze o Nathanie? – zapytał, zapadając się w siedzisku.

– Nie, mam na myśli Stevena, mojego starszego syna. Nie mam z nim kontaktu.

– Myślałem, że urwał się dawno temu.

– Syn mnie nie odwiedza, to fakt, ale przysyła kartki na święta, zawsze dzwoni w połowie grudnia. Jest osiemnasty, a jego telefon pozostaje głuchy. Martwię się.

Redfern rozumiał obawy kobiety. Parę lat temu jej młodszy syn opuścił ośrodek The Priory z zamiarem powrotu do domu oddalonego o niecały kilometr. Nigdy tam nie dotarł. Z tym większą troską obserwował trzęsące się dłonie Beth Wood.

– Gdzie mieszka syn?

– W Petersfield, gdzie miałam zapisany adres. – Podniosła się i poszła do kuchni, po chwili przynosząc kartkę wyrwaną z zeszytu. Redfern zerknął na notatkę, usiłując sobie przypomnieć, gdzie znajduje się miasteczko. Stawiał na Hampshire.

– A czym zajmuje się pani syn? – dopytał.

– Chciałabym wiedzieć – westchnęła ciężko. – Wykształciliśmy go na lekarza, ale któregoś dnia oznajmił, że nie czuje powołania. Pracował w firmie farmaceutycznej Shire, ale kiedyś zadzwonił i powiedział, że się zwolnił. A gdy go zapytałam, gdzie teraz pracuje, odpowiedział wymijająco.

Zmrok niespodziewanie zakradł się pod okna. Beth Wood wstała i włączyła lampę. Słaba żarówka zalała pomieszczenie bladym światłem, podkreślając zniszczenia, jakich w domu przy Finch Close dokonał czas. Redfern poczuł przypływ zmęczenia. Chciał zadać jeszcze kilka pytań i jak najszybciej znaleźć się w domu.

– Kiedy Steven ostatnio dzwonił?

– Pierwszego grudnia – zapewniła gorliwie. – Ale był jakiś dziwny. Mówił, że jedzie do Szkocji na parę dni. Zwykle nie dzielił się takimi szczegółami.

– Może więc przedłużył mu się wyjazd.

Beth w milczeniu kręciła głową, a jej oczy zasnuła szklana powłoka.

– Coś się stało. Czuję to.

Redfern nie wierzył w przeczucia ani inne zabobony. Wbrew temu ufał jednak przeczuciom matek w stosunku do dzieci. Pamiętał, kiedy wyjeżdżali z siostrą i dziadkiem nad wodę, Antonina Redfern była przeciwna. Prosiła nawet dzieci, żeby odpuściły wypad. Tliło się w nim wspomnienie matki, która kilka godzin później okładała pięściami Siwiaszczyka, krzycząc, że mówiła, że coś się stanie. Miała rację. Gdyby zostali w domu, dwunastoletnia Dominique Redfern żyłaby, a nie rozplynęła się w lesie wokół rezerwuaru Harlaw.

Mimo złych wspomnień zdał się na podparty logiką optymizm i rzekł do starszej kobiety spokojnie:

– Musi pani zrozumieć, że mamy czas przedświąteczny, każdy jest zabiegany, więc może syn zwyczajnie zapomniał zadzwonić? Pewnie kupuje prezenty dla dzieci...

– Nie, panie Redfern – przerwała mu smutno Beth. – Nie kupuje. Wychowałam samotników. Ani Nathan, ani Steven nigdy nie założyli rodzin, choć młodszy faktycznie był kiedyś żonaty. Proszę więc pana, żeby sprawdził, co się dzieje ze Stevenem. Dla pana to jedno kliknięcie w tym pańskim komputerze, a dla mnie kamień z serca.

– Zobaczę, co da się zrobić. Przede wszystkim proszę się nie martwić. Myślę, że syn się znajdzie. To dorosły człowiek.

– Tym bardziej mnie to martwi. Dorośli ludzie tak po prostu nie znikają.

*

Pokonywał serpentyny Lockfield Drive z uczepionym ogonem. Samochód raz za razem dojeżdżał mu do zderzaka, oślepiając światłami, które – odbite od wstecznego lusterka – trafiały prosto w zmęczone oczy Redferna. Przez ułamek sekundy dał się ponieść panice, że za kierownicą białego volkswagena siedzi Palacz. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że jedzie znacznie wolniej niż nakazuje ograniczenie na tym odcinku. Natłok myśli, które wirowały mu w głowie, odciął go od rzeczywistości. Przyspieszył nieznacznie i dojechał do ostatniego ronda oddzielającego dzielnicę Goldsworth Park od centrum Woking.

Dom wypełniał zapach smażonej kiełbasy z cebulką, na co ślinianki Redferna natychmiast odpowiedziały nadprodukcją. Zdjął szybko kurtkę, ale widząc szczęśliwą mordkę Bandita, założył ją z powrotem, zapiął szczeniakowi szelki i krzyknął do dziadka, że jeszcze chwilę go nie będzie. Siwiaszczyk mruknął coś, co równie dobrze mogło oznaczać potwierdzenie jak i zakaz.

Bandit nie posiadał się z radości do tego stopnia, że chyba zapomniał wszystkiego, czego Redfern nauczył go o grzecznym spacerowaniu. Co i rusz przystawał, próbując wchłonąć każdy najniklejszy nawet zapach, albo plątał się

pod nogami, by po chwili wyrwać do przodu, napinając smycz. David poczuł się winny, że stanowczo za mało poświęca czasu pupilowi, co od razu doprowadziło go do konkluzji, że zanadto zdał się na dziadka w kwestii opieki nad zwierzęciem. Ale nie tylko. Obiecał sobie, że gdy tylko jego życie się uspokoi, pojedą na wakacje.

Kiedy zbliżali się do Old Woking Road, w kieszeni Redferna rozdzwonił się telefon. Inspektor patrzył na świecący wściekłą zielenią ekran i zastanawiał się, czy odebrać. Ostatecznie zdecydował, że nie wypada ignorować szefa, skoro sam wyciąga dłoń. Miał tylko nadzieję, że pomocną.

– Wszystko w porządku? – rozpoczął bez wstępów Malcolm Knight.

– To chyba ja powinienem zapytać.

– Racja, ale skoro przez tyle czasu nie pytałeś, to pozwoliłem sobie zadzwonić – wbrew pozorom głosu komendanta nie wysyciała złośliwość czy pretensja.

– Dziękuję, na razie odpoczywam.

– Akurat. – Knight zdawał się uśmiechać do słuchawki. – Słyszałem, że wtrącasz się w sprawę sierżantki Winter. Co gorsza, na jej prośbę i wyraźne życzenie.

– Ale nie powiesz mojemu przełożonemu? – przekomarzał się Redfern, starając się odwlec w czasie przejście do meritum.

– Jestem ostatnią osobą, która by na ciebie nakablowała. W końcu chciałeś mnie otruć naparem z cisu, więc muszę się pilnować. – Zaśmiał się serdecznie, po czym zaniósł kaszlem. – Wiesz, Dave, nic mnie tak nie rozbawiło w ostatnich tygodniach, jak ten pomysł szczurów z wewnętrznego. Kretyni.

– Znajdują jakiś wspólny mianownik między wybuchem a twoim... wypadkiem? – zapytał Redfern, nie odnosząc się do krytyki działań policjantów z osławionego wydziału. Nie interesowały go złośliwe komentarze, tym bardziej że nie miał pewności, czy nie dotrą do niewłaściwych uszu.

– Oni by nie znaleźli piasku na pustyni. Najgorsze, że ja też nie wiem, czy w ogóle istnieje jakiś związek. Pracujesz dla mnie od niedawna, w przeszłości też nie prowadziliśmy razem żadnej sprawy. To równanie nie ma sensu.

– A jednak ktoś żywi urazę do nas obu. A może i trzech, bo nie można zapominać o włamaniu do domku letniskowego naszego patologa – przypomniał Redfern.

– Słuchaj – Knight ożywił się nagle. – Nie jest jeszcze późno. Może wpadniesz do mnie z Banditem na kolację i drinka?

– Kolację mam właściwie gotową – próbował się wykręcić, przypominając sobie zapach w przedpokoju i swoje postanowienie. Nie chciał zostawiać dziadka samego.

– Szkoda, u mnie dziś szkockie specjały, córka zaplanowała haggis.

– Wychowałem się co prawda w Edynburgu, ale owczy żołądek nadziewany podrobami średnio bawi moje kubki smakowe. Co innego herbata Ruth, tu dałbym się skusić – dodał, zdając sobie sprawę, że nie wpisał się w brytyjską etykietę, której jego przełożony był wyznawcą.

– Może być, choć picie herbatki jakoś słabo nam wychodzi – zaśmiał się z własnego żartu. – To o ósmej?

Redfern spojrział na zegarek. Pomyślał, że w dwie godziny spokojnie zdąży i zjeść kolację, i dotrzymać Siwiaszczykowi towarzystwa przy partyjce remika. Pożegnał się z szefem i zawrócił w stronę domu, mając nadzieję, że jego plan się powiedzie.

*

Światła triumpha prześliznęły się po czerwonym lakierze mustanga, gdy parkował na podjeździe. Redfern nigdzie nie zauważył toyoty Ruth, za to Malcolm stał w drzwiach i z zadowoleniem obserwował przybycie gościa. Gdy tylko wymienili uprzejmości, usiedli w salonie, przypominającym pałacową bibliotekę. Knight zaproponował drinka, ale Redfern zasłonił się prowadzeniem auta, choć tak naprawdę chodziło mu o ilość naproxenu, jaką przyjął. Mógł przecież wrócić taksówką. Na pocieszenie Malcolm zaparzył imbryk aromatycznej herbaty i podał z domowymi herbatnikami.

Komendant nalał bursztynowego płynu do kubka i podał Redfernowi. Sobie natomiast obficie – Glenmorangie, co zapowiadało długi wieczór.

– Niestety, nie będzie z nami Ruth – oświadczył przeproszającym tonem Malcolm. – Musiała po tym wszystkim odpocząć, więc wysłałem ją do brata na wieś. Mam wrażenie, że to było dla niej trudniejsze niż dla mnie.

– Dziwisz się? Ty miałeś wakacje na koszt państwa, a my tu siwieliśmy z nerwów, z twoją żoną na czele.

– Ja już osiwiąłem. – Złapał kosmyk swoich białych włosów i uśmiechnął się łagodnie. – Nic strasznego.

– W każdym razie dobrze, że Ruth wyjechała.

– Tak – zgodził się Malcolm bez przekonania.

– A co w firmie?

– Przejmuję obowiązki, a raczej je dobieram – odchrząknął znacząco. – Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wielki stos papierów potrafi się zebrać w półtora miesiąca. Nie wspominając o brudach. – Mrugnął okiem. – Ale widziałem, że radziliście sobie całkiem nieźle. Sprawa małej Wolańskiej, potem

szybki sukces przy tym hodowcy koni. Wystawiłbym ci laurkę, ale jak wiemy, chwilowo nie jest to możliwe.

– Mam poczucie, że w ogóle nie będzie to możliwe, i nawet nie jestem pewien, czy chcę.

– Teraz to dramatyzujesz, mój drogi. – Malcolm upił niewielki łyk whisky. – Między innymi dlatego chciałem się z tobą spotkać na, jak by to powiedzieć, neutralnym gruncie.

Skóra fotela zatrzeszczała pod wpływem niespokojnego ruchu Redferna. Powinien się spodziewać drugiego dna niewinnego zaproszenia do Horsell. W milczeniu czekał na to, co miał mu do zakomunikowania przełożony.

– Chcę, żebyś wycofał swoje wypowiedzenie – poprosił Malcolm, wbijając znad szklanki uważne spojrzenie w inspektora.

– To niemożliwe – odparł.

– Powiedzmy, że mogę sprawić, by twój formularz poszedł w niepamięć – oznajmił z ledwie wyczuwalną nutą wyniosłości. – Posiedzisz do końca roku na urlopie, a w styczniu wrócisz na stare, nieco wytłuczone, ale znane tory.

– Mam na myśli siebie. Wzięłeś pod uwagę, że mogę nie chcieć? – Redfern nieruchomym wzrokiem patrzył na rozłożysty podłokietnik fotela, studiując każde pęknięcie w butelkowozielonej skórze.

– No i znów ta dramatyczna nuta. – Malcolm pokręcił głową z dezaprobatą. – Po co? Przejście do cywila w żaden sposób nie przybliży cię do prawdy. Jeśli wydaje ci się, że z dala od szeregów policji będziesz miał większą swobodę, to masz cholerną rację. Wydaje ci się.

– To co twoim zdaniem mam zrobić? Posypać głowę popiołem i wejść na Approach Road jak gdyby nigdy nic?

– Tak. Tak właśnie. Bo tak naprawdę nic się nie stało. Wewnętrzni mogą ci zarzucić ukrywanie dowodów w sprawie Wolańskiej, ale to betka. Nie ma też żadnych dowodów na twój udział w porwaniu Sokolińskiej ani na cokolwiek innego. Dwa, trzy przesłuchania i skończy się pouczeniem.

– Gdzie jest haczyk?

Malcolm odstawił tumblera na szklany blat stołu. Tym razem to on nie miał siły spojrzeć Redfernowi w oczy. Po chwili znów upił łyk i zaczął bawić się pozostałym płynem, wprawiając go w złocisty wir.

– Zostaw sprawy swojemu biegowi, a co najważniejsze, zostaw to, czym się aktualnie zajmujesz – w każdym słowie czaił się nacisk.

– Mówisz to jako przełożony?

– Radzę ci jako starszy kolega – zawiesił głos. – I przełożony. Zostaw to. Przynajmniej na razie, dopóki nie wrócisz do firmy w blasku chwały. Cokolwiek teraz planujesz, odpuść.

– To nie brzmi jak rada – zachnął się Redfern.

Malcolm odłożył z trzaskiem szklanę i spojrzał uważnie na inspektora. Zdawał się ważyć słowa i odrzucać te zbyt lekkie, które mogłyby się odbić od uporu i buty Redferna. W świetle stołowej lampy jego twarz przypominała spękane skały Snowdonii, które widziały niejedno i niejednemu stawiały opór. I tylko bystrość dwóch osadzonych głęboko błękitów nie pozwalała zapomnieć, że mimo wszystko ten stary człowiek ma jeszcze wiele do zaoferowania.

– Tracisz czujność, Dave – odezwał się po chwili. – Dałeś się podejść alkoholikowi, opowiadając mu ze szczegółami o swoim piekiełku. Wręczyłeś bukiet argumentów wewnętrznym, mając świadomość, że Zheng może być pierwszym, który do nich poleci.

– To mój kumpel jeszcze z czasów NCA – starał się bronić Redfern, czując, jak poczucie winy i totalnej porażki wtłacza się do żył. Postanowił zamaskować myśli, przystawiając kubek do twarzy i pijąc przesadnie długo.

– W agencji nie ma kumpli – odrzekł ostro Knight. – Dlatego nigdy się tam nie pchałem. Adrian Bones też zdaje się nie wytrzymał.

On nigdy się tam nie nadawał, pomyślał z goryczą Redfern. Gdyby nie zaginięcie siostry Davida, prawdopodobnie Adrian Bones nigdy nie zostałby policjantem. W tym jednym krótkim momencie David zdał sobie sprawę, że jego obsesja poszukiwań Dominique była tak silna, że jej wir wciągnął także Adriana.

Redfern pokiwał głową i znów napił się herbaty. Wodził chwilę wzrokiem po biblioteczkę, którą w większości wypełniały książki o tematyce historycznej, rozprawy filozofów i klasyka literatury. Przez chwilę pomyślał, że dogadaliby się z Siwiaszczykiem, którego pokój zdobił segment z opasłymi woluminami.

– W Guildford puścili ci płazem przekroczenie obrony koniecznej. Nie zastanawiałeś się, dlaczego? – podsunął Malcolm i poczęstował się ciastkiem.

– Miliony razy.

– I co? – naciskał Knight. – Nic?

Redfern bez słowa poprawił się w fotelu, zastanawiając, czy do tej rozmowy doprowadziła troska przełożonego czy jego samotność po wyjeździe żony. A może po prostu potrzebował się napić i pofilozofować.

– Powiem ci, dlaczego – kontynuował. – Bo ucieczka Bonesa z psychiatrika była pierwszą kostką domina, która przewróciła całą resztę. I ktoś teraz próbuje je postawić od nowa.

– A zamach? – spytał nieprzekonany Redfern. Rosła w nim irytacja, że dał się wciągnąć w tę rozmowę. – Przecież skoro mi odpuścili, to po co ta szopka z wybuchem? Mogli mnie kropnąć w ciemnej uliczce, sfingować moje samobójstwo, możliwości jest wiele.

– Jakby ktoś chciał cię zabić, to już byś nie żył, ale śmierć policjanta to nie w kij dmuchał. Zaczęłyby się pytania z zewnątrz – powiedział Knight.

– Nadepnąłeś na minę, ale dopóki na niej stoisz, jesteś względnie bezpieczny. Śmierć Bonesa, odkrycie zabójstw dzieci przez Ronalda Rudda, to może mieć niespotykany zasięg. Brałeś to pod uwagę?

Redfern nie mógł się nie zgodzić. Ronald Rudd w swój makabryczny i pokrętny sposób przyczynił się do obnażenia zbrodni, o której nie wiedziała nawet londyńska agencja. I choć inspektor nie wierzył, że epicentrum tego trzęsienia znajduje się w Surrey, to musiał przyznać, że stał się jego częścią. A gdy odkryje moment, w którym to się stało, dojdzie do prawdy. Zastanawiał się tylko, czy mundur w jakikolwiek sposób mu w tym pomoże. Poza tym był pewien, że Malcolm Knight nie mówi mu wszystkiego.

– A skoro jesteśmy przy Ronaldzie Ruddzie – odezwał się po chwili. – Co wiesz o jego komputerze? Wewnętrzni zabrali go z mojego domu i jak dotąd cisza w eterze.

– A dziwisz się? Siedzimy na bombie. Jak dotąd media nie zwęszyły sensacji. Ale na dniach wybuchnie skandal.

– Na razie bardzo pomaga nam straż pożarna, przedłużając badania i ekspertyzy. Media wiedzą tylko tyle, że bada się przyczyny pożaru, a nie szuka zwłok dzieci.

Te ostatnie dwa słowa sprawiły, że Redfernem wstrząsnął dreszcz odrazy.

– W tabelach stworzonych przez Rudda powtórzył się napis „ATM” – starał się naprowadzić Knighta na właściwy tor, by uzyskać choć strzęp informacji, która pomogłaby mu dotrzeć do siatki przestępczej. Malcolm albo nic sobie nie robił z dociekań podwładnego, albo nie chciał mu dać wskazówek. Upił kolejny łyk ze szklanki i odpowiedział spokojnie:

– ATM to nic więcej niż *Automated Teller Machine*, czyli...

– Rudd nie planował spotkać się z bankomatem – Redfern przerwał mu, czując, że wzrasta mu ciśnienie. – Miał rozpisane godziny spotkań albo jakichś obserwacji. Przed śmiercią zamknął swoje konta w banku, więc raczej nie chciał wypłacać pieniędzy.

– Sprawdziłeś?

– Nie, czekałem na boskie zmiłowanie, jak te półgłówki z NCA.

– Kalasz własne gniazdo – potępił go Malcolm, a jego twarz stężała w grymasie niezadowolenia.

– A oni kalają mundur – odciął się Redfern, nie mogąc znieść hipokryzji szefa. – Nie wkurza cię to? Podstarzały dziennikarz zrobił więcej dla tej sprawy niż cała banda wyszkolonych ludzi.

– Nie zapominaj, że Ronald Rudd był mordercą – uciął komendant.

- Ale też dziadkiem jednej z zamordowanych dziewczynek.
- Myślisz, że to zmniejsza jego winę? – tym razem Malcolm nieco podniósł głos. Redfern patrzył, jak jego twarz i szyja robią się coraz bardziej czerwone.
- Z pewnością nie zmniejsza zasług – powiedział cicho Redfern, czując, że brnie za daleko. Na efekt swoich słów nie musiał czekać zbyt długo.
- Myślę, że ten urlop dobrze zrobi zarówno tobie, jak i twoim wartościom. Wolałbym, żebyś z takim nastawieniem nie pomagał więcej sierżantce Winter. Mam nadzieję, że znajdziesz drogę do wyjścia.

*

Leżał w półmroku, wpatrując się w smugi światła tańczące na suficie. Ubranie uwierało go w obolałe ciało, ale spuchnięte i sztywne palce nie były w stanie rozpiąć ani guzików koszuli, ani kłamry paska od spodni. Wiedział, że ten stan zawdzięcza nie tylko wilgotnej, porywczej zimie, ale przede wszystkim stresowi, jaki spinał jego mięśnie.

Zastanawiał się nad propozycją komendanta. Jego trzeźwy osąd przechylał szalę decyzji w stronę wycofania wypowiedzenia. Knight mógł mieć rację, a nawet pewny cynk, że wewnątrzni nie postawią mu żadnych zarzutów, a ukrywanie dowodów, samowola w prowadzeniu dochodzenia jest niewielkim wykroczeniem, które łatwo zamieść pod dywan. Z drugiej strony jego świadomość raz za razem przeszywała myśl, że Malcolm może być zamieszany w śmierć dzieci i usiłuje zrobić z niego swojego człowieka.

20.12.2013 r., piątek

Dźwięk helikoptera przeszedł w niski pomruk dochodzący z tyłu głowy. Redfern otworzył oczy, zdając sobie sprawę, że pod poduszką wibruje jego komórka. Półprzytomnym wzrokiem zerknął na ekran, na którym wyświetlił się nieznany numer.

– Pan Redfern?

David mruknął twierdząco.

– Nie wiem, czy pan mnie pamięta. Nazywam się Anette Hartley i pracuję w The Priory.

– Tak, pani z recepcji. – Redfern podniósł się i z trudem usiadł na łóżku, opatulając się szczerze kołdrą.

– Zgadza się. Dzwonię w sprawie Lindy Wall – wyjaśniła, brzmiąc jakby przystawiała sobie dłonie do ust. – Jej stan jest naprawdę kiepski, ale nie mogę się skontaktować z jej siostrą. Numer nie odpowiada, a myślę, że dobrze by było, gdyby był przy niej ktoś z rodziny. Poza tym pani Wall o to prosiła, gdyby było naprawdę źle.

Niespodziewanie drzwi do pokoju skrzyknęły i pojawił się w nich Siwiaszczyk z sudoku w dłoni.

– Nie śpisz? – szepnął, zerkając na Davida. Widząc telefon w jego rękach, spieszył się i chciał wycofać, ale Redfern dał mu znak, żeby wszedł i nic nie mówił.

– Może pan notować?

Redfern spojrział na spuchnięte dłonie i pokazał na migi Siwiaszczykowi, że potrzebuje pomocy w pisaniu. Staruszek z gorliwością pokiwał dłonią i wskazał na książeczkę z łamigłówkami i ołówek.

– Tak, może pani dyktować – Redfern odezwał się do recepcjonistki.

– W takim razie podaję: Hannah Brown, Belarno, 531/108 Fox Hill, telefon: 07582766734.

Redfern powtarzał każdą cyfrę, upewniając się, że Siwiaszczyk notuje prawidłowo. Na dźwięk nazwy miejscowości starszy mężczyzna spojrział z przestrachem na wnuka, ale ten pokręcił przecząco głową. Mimo wszystko Bohdan zastygł nieruchomo, wpatrując się w Davida.

- Postaram się z nią skontaktować.
 - Dzwoniłam do niej wielokrotnie, ale numer nie odpowiada – powtórzyła z rezygnacją.
 - Proszę się tym nie przejmować – uspokoił ją Redfern. – Jestem policjantem, ustalę co i jak.
 - Racja, zapomniałam – odparła. – Bardzo panu dziękuję.
 - To ja dziękuję – powiedział i pożegnał się.
- Nie zdążył nacisnąć czerwonej słuchawki, kiedy Siwiaszczyk dopadł do niego z nadzieją w głosie:
- Dzwonili z Balerno, chodzi o Dominique? Znaleźli coś? – strzelał pytaniami.
 - Nie, dziadku, nie chodzi o nią.
 - Ale podałeś Balerno, tam jest rezerwuar Harlaw, to tam...
 - Wiem, że tam była ostatnio widziana, ale zapewniam cię, że to tylko przypadek. Niedaleko zalewu mieszka siostra Lindy. Muszę się z nią skontaktować.

Bohdan usiadł ciężko na krześle. Oparł łokcie o biurko, podtrzymując głowę dłońmi. Zupełnie jakby nadzieja, która każdego dnia była stelażem jego życia, nagle się zawaliła. Do Redferna doszła smutna prawda, że ze wszystkich mocy, zniewalających ludzkie ciało w tym starym człowieku, najsilniej płonęło poczucie winy.

– Od dwudziestu lat każdy niespodziewany telefon sprawia, że o niej myślę – mówił cicho. – Budzi się we mnie fałszywa nadzieja, że Dominique stanie w progu i zarzuci mi oblepione piaskiem z plaży ręce na szyję, a ja ją podniosę i powiem, że teraz wszystko będzie dobrze. Będzie mnie smyrać w twarz swoimi włosami jak sprężynki i opowiadać, jaki cudowny dzień spędziła nad zalewem. Za każdym razem. I za każdym razem to wyobrażenie zalewa czarna rzeczywistość i myśl, że nawet jeśli Dominique jakimś cudem by się znalazła, dziś byłaby kobietą, która stanie przede mną nie z roześmianą buzią, ale z żalem, że za słabo się starałem, by ją znaleźć.

– Tu nie ma winnego – oznajmił David z całą determinacją. – Chyba że mówimy o zwyrodnialcu, który pośród dziesiątek dzieciaków bawiących się wtedy nad wodą wybrał moją siostrę, by ją porwać.

– Mogłem z nią iść do tej toalety, pilnować – wyrzucał sobie Bohdan drżącym z nerwów głosem.

– Obaj wiemy, że to nieprawda – zaprzeczył David. – Nie mógłbyś, bo nakrzyczałaby na ciebie ze śmiechem, że nie jest już dzieckiem i nie życzy sobie męskiego towarzystwa w damskiej toalecie. Rozdrapywanie tego nie sprawi, że ona wróci, ani też nie zagoi tych ran.

- Gdyby nie tamten dzień, miałbym was w komplecie.
- To też nie do końca prawda. Mama od dawna nie radziła sobie z życiem, dobrze o tym wiesz. Dlatego tamtego lata poprosiła, żebyś do nas przyleciał, odciążył ją.
- Nie powiesz mi chyba, że zaginięcie Dominique nie wpłynęło na Antoninę?
- wyciągał argument za argumentem, balansując coraz bliżej krawędzi totalnego załamania. Zupełnie jakby te dwadzieścia lat nie zdołało choćby zasklepić rany.
- Musisz mieć świadomość, że katastrofa już dawno wisiała w powietrzu – odparł smutno Redfern, mając w pamięci alkoholizm ojca i coraz głębszy marazm matki. – Nie wiemy i z pewnością nigdy się nie dowiemy, dlaczego odebrała sobie życie. Za to ty powinienesz przestać odbierać sobie prawo do życia – mówił z naciskiem. – Tylko dlatego, że jakiś popieprzeniec podniósł rękę na naszą rodzinę. Może kiedyś dowiem się, dlaczego nie wróciliśmy z tej plaży we czwórkę, ale na razie muszę się skupić na tu i teraz. Ty też musisz, by nikt więcej nas nie zaskoczył.

*

Summer czekała na niego na początku swojej ulicy ubrana stosownie do pogody, która tego dnia postanowiła dołożyć do zimowego pakietu także grad. Redfern, zanim wsiadł do auta, dokładnie obejrzał, czy na lakierze nie ma żadnych uszkodzeń. Z zadowoleniem stwierdził, że lodowy opad oszczędził karoserię. Chwilową ulgę zastąpiło podłe poczucie winy. Dziś mieli jechać na farmę Travellersów, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat wesela i nagłego zniknięcia taboru. Redfern podjechał z ciężkim sercem pod dom sierżantki. Wolał powiedzieć Summer o swoim wycofaniu ze sprawy osobiście niż przez telefon.

- Co tak wcześnie? – rozpoczęła z właściwym sobie sarkazmem, wsadzając głowę do środka. Wsiadła szybko i strzepnęła z włosów drobinki lodu oraz wody, po czym rzuciła torebkę na tylne siedzenie.
- Nie mogłem się zebrać – odparł wymijająco.
- To gdzie jedziemy?
- W zasadzie to nigdzie – odparł i wyłączył silnik. Uchylił lekko szybę, by wypuścić parę, która zaczęła osiadać na szkle, odcinając widok.
- Uuu, randka w samochodzie. – Summer cmoknęła z uznaniem i uśmiechnęła się.
- Nie mogę ci dłużej pomagać w sprawie NN ani w żadnej innej – oświadczył, nie chcąc silić się na owijanie w bawełnę.

– To żart? – Spojrzała na niego krytycznie. Lód stopił się na jej włosach, tworząc diamentową siatkę wokół jej twarzy, którą zmroził gniew.

– Nie, jeśli mam wrócić do firmy, to nie mogę się mieszać – oznajmił mechanicznie.

– I mam rozumieć, że wielki inspektor David Redfern wykona potulnie rozkaz McMahona?

– On płynie z dużo wyższego stołka.

– Wcale ci to nie przeszkadzało szukać Sokolińskiej na boku ani robić w chuja NCA, które poszukuje mordercy dzieci z Sheerwater. Nie wspomnę już o manipulacjach przy sprawie Ronalda Rudda – wymieniała, coraz bardziej wściekła i czerwona.

– Wtedy mi nie zależało...

– A teraz nagle ci zależy? Pieprzysz, Redfern, jak potłuczony i wiesz co? Poradzę sobie z twoją pomocą czy bez! – Złapała za klamkę, otworzyła drzwi, po czym trzasnęła nimi tak, że triumph się zakołysał.

Redfern westchnął ciężko, patrząc, jak sierżantka idzie szybkim krokiem w stronę centrum miasta. Kiedy zniknęła za budynkami, włączył silnik i odjechał.

Chwilę potem, sunąc w porannym korku, trawił poczucie winy, które leżało mu kamieniem na żołądku i powodowało poważnego moralniaka. Musiał się go pozbyć. Dojeżdżając do niewielkiego ronda zdecydował, że zaryzykuje i zajrzy jeszcze w jedno, może dwa miejsca. Miał nadzieję, że jeśli zadziała ostrożnie, uda mu się czegoś dowiedzieć i podsunąć coś Summer.

*

Zaparkował na pustym placu za świetlicą. Od szkoły oddzielały ją gęste, dawno nieprzycinane tuje. Redfern wysiadł z auta i przeszedł się wzdłuż ogrodzenia, docierając do wąskiej furtki. Przyłożył twarz do siatki. Próbował objąć wzrokiem boisko. Zauważył, że koparka zniknęła, zostawiając tylko dół ogrodzony czerwonymi barykadami, między którymi powiewała na wietrze policyjna taśma. Redfern wciąż nie mógł pojąć, dlaczego ktoś zdecydował się na ukrycie zwłok w takim miejscu. Przez lata pracy w policji spotkał się tylko z dwoma rodzajami porzucenia zwłok. Zabójcy albo zostawiali ciało w łatwym do odkrycia miejscu, manifestując swoją zbrodnię, albo skrzętnie je ukrywali. Teren szkoły nie wpisywał się w żaden z tych sposobów i to najbardziej martwiło Redferna.

Inspektor nacisnął zardzewiałą klamkę, ale skrzydło nie ustąpiło. Pchnął je mocniej, napierając ramieniem, z tym samym rezultatem.

– W czym mogę panu pomóc? – usłyszał za sobą. Odwrócił się i zobaczył niskiego, barczystego mężczyznę. Pięćdziesięciolatek mierzył Redferna nieprzychylnym wzrokiem.

– Jestem z policji – wyjaśnił, odchodząc od furtki.

– Już jeden policjant u nas jest – odparł z przekąsem. – Siedzi w świetlicy – dodał, widząc zdezorientowanie Davida, który spodziewał się, kogo mięśniak ma na myśli. – Pan idzie ze mną, to se pogadacie.

Redfern poszedł, układając w głowie, co powie McMahanowi.

Drzwi do świetlicy skrzypnęły przeciągle. Mężczyźni weszli do słabo oświetlonego hallu, od którego odchodziły dwa korytarze obficie ozdobione świątecznymi dekoracjami. Pstrokatosc i różnorodność form wskazywały na to, że w większości były dziełem małych rączek z pobliskiego przedszkola.

Redfern nie miał czasu przyjrzeć się Mikołajowi bez oka i bałwankowi z twarzą Spider-Mana. Pięćdziesięciolatek poprowadził go do sali, gdzie za stołem konferencyjnym siedziała zapłakana kobieta w towarzystwie mężczyzny w kolorowej koszuli. Działanie pod przykrywką trafił szlag.

– Tinney? – zdziwił się Redfern. – Co ty tu robisz?

– A ty? – Błękitne oczy Chrisa zdawały się go prześwieślać.

Redfern domyślił się, że Summer Winter nie wtajemniczyła posterunkowego w swój plan skorzystania z pomocy. Nie wiedział tylko, czy ma być jej za to wdzięczny, czy wręcz przeciwnie.

– Bardzo zgrana ta policja – wtrącił mężczyzna, przerywając niezręczną ciszę. Wszedł do pomieszczenia i stanął między policjantami. Dopiero teraz Redfern zauważył na jego koszulce imię. Owen zerkał groźnie na obu.

Inspektor kiwnął na policjanta, by ten poszedł z nim w róg sali.

– Przysłał mnie McMahan – szepnął dramatycznie Tinney, kiedy stanęli koło najdalszego okna.

– A co z Summer?

– Prowadzi tę NN. – Wzruszył ramionami. – A ja rozpytuje w sprawie zaginięcia chłopca.

Redfern stał coraz bardziej wściekły i zdezorientowany. Miał ochotę wyjść.

– To ty nic nie wiesz? Wczoraj porwano syna tej pani – zwrócił się do przeraźliwie bladej kobiety. – Prawdopodobnie – dodał, kiedy dobiegł ich szloch.

– A zatem nie powinno mnie tu być – odparł Redfern i wycofał się do drzwi. Odwrócił się w stronę barczystego mężczyzny. – Chciałbym z panem chwilę porozmawiać.

– Ale ja nic nie wiem – pisnął mięśniak.

– To się okaże – podsumował Redfern i wyszedł.

Po chwili usłyszał za sobą skrzypnięcie drzwi, a zaraz po nim ciężkie kroki, które szybko się zbliżały. Mężczyźni zatrzymali się przed wyjściem. W szczelinach przedSIONKA wiatr wygwizdywał swoje nokturny.

– Pan tu pracuje? – zapytał inspektor.

– Tak.

– Jak długo?

– A będzie z piętnaście lat – zaskrzeczał przeciągle mężczyzna.

– Świetnie – rzucił Redfern bez entuzjazmu i wskazał na ozdobny komin na prawo od nich. – Tutaj kiedyś znajdował się bar. Pamięta pan, co się z nim stało?

– Faktycznie, był tu kiedyś pub, ale teraz ktoś kupił tę rudere i zamierza w niej zrobić elegancką restaurację. Wszystko musi być teraz eleganckie albo nie istnieje.

Redfern spojrział na dość skromne wnętrze świetlicy.

– Zbankrutował? – dopytał po chwili.

– Pub w Anglii? – prychnął. – Zwariował pan? Chyba tylko jakaś zaraza mogłaby spowodować plajtę jedyneGO pubu we wsi. – Uśmiechnął się szeroko i bezżębnie.

– Co się więc stało?

– Facet, co go prowadził, podupadł na zdrowiu i zmienił robotę na inną, podobno lepszą, w McLarenie. Nawet wyprowadził się do Woking. Pub od dziesięciu lat popada w ruinę, ale teraz ma odzyskać dawny blask.

– Jak nazywał się właściciel?

– Austin. Arthur Austin, ale imienia pewny nie jestem.

Redfern zanotował w komórce dane właściciela.

– Przychodzili tu Travellersi? – Wskazał brodą fasadę dawnego pubu.

– Chcieliby! – zakrzyknął. – Mają swoje towarzystwo, to niech z nim siedzą, a nie pchają się między porządnych obywateli.

Redfern zastanawiał się, kogo facet ma na myśli. Patrzył na wyciągnięte spodnie dresowe i włożony w nie T-shirt, którego soczystą zieleń przykrywały smugi brudu. Czując oddech Owena, inspektor był pewien, że mężczyzna obficie podlał lunch piwem.

– Porządnych obywateli – powtórzył policjant zamyślony, zawieszając wzrok na czarnych półksiężycach paznokci pięćdziesięciolatka.

– No takich, co pracują, płacą podatki i dzieci do szkół posyłają.

– A jak pana zdaniem utrzymują się Travellersi? Z zasiłków?

– E tam z zasiłków! – Machnął ręką. – Bez przesady. Mają swoje biznesy. Od wielu lat zajmują się chociażby nielegalnym wyrzucaniem odpadów.

– Nielegalnym wyrzucaniem odpadów? – powtórzył Redfern.

– A tak! Normalnie na miejskim wysypisku kasują jakieś siedemdziesiąt funtów za tonę, a Travellersi biorą dwadzieścia za pełną pakę vana. Potem rozrzucają po lasach albo za swoimi przyczepami czy kamperami, którymi okupują czyjś teren, zanim ktoś ich nie wygoni. Zostawiają tony śmieci, a miasteczka muszą pokrywać koszt ich usunięcia. Co roku bujamy się z tym całym syfem.

– To aż tak nagminne?

– Panie, nawet firmy korzystają z ich usług. Są nieuchwytni. Jak robi się za gorąco, to zwijają obóz i tyle ich widzieli.

– Ale chyba nie tylko tym się zajmują?

– Niestety nie tylko – westchnął mężczyzna. – Przede wszystkim tam, gdzie się pojawiają, wzrasta liczba kradzieży.

Redfern milczał. Wiedział, że mężczyzna ma rację, ale nie zamierzał podsycać jego gniewu.

– Dawniej jak przyjeżdżali, to handlowali rękodziełem – miski, patelnie, jakaś biżuteria, trochę kolorowych szmat. Wyparł ich plastik i chińszczyzna, więc sobie znaleźli inne zajęcie – zarechotał. – Ale też handlują końmi i samochodami. Jakby pan pojechał na festyn w Appleby, toby się pan napatrzył. Ale i tak pana nie wpuszczą. To ich święto, ich zabawa.

Redfern stworzył w telefonie kolejną notatkę z nazwą miejscowości. Nie podejrzewał, żeby go gdzieś zaprowadziła, ale uznał, że im więcej uchwyci wątków, tym szybciej wyklaruje się ten jeden, właściwy.

– Co tam się stało? – Redfern wskazał w stronę prawego korytarza. – Co z jej synem?

– E tam, histeria i tyle. Żadnego porwania ani zaginięcia nie było. Ten jej synalek znika z tego ich odludnego domu średnio dwa razy do roku. Skaranie boskie z nim ma ta moja szefowa – Owen rozgadał się na dobre. – No ale tak to jest, jak dzieci ojca nie mają. Powiesił się biedaczyna, jak mała przyszła na świat, bo szefowa jeszcze córeczkę ma. Słodkie dziewczątko. Nie to co tamten wariat, Dean. Nastoletni wiek ma swoje prawa, wiadomo, ale tamten to niezły gagatek jest.

– Czyli myśli pan, że się znajdzie?

– A pewnie, że tak. Raz to go znaleźli w Peak District z jakimiś motocyklistami, a innym razem w tym waszym ośrodku dla ćpunów.

– The Priory? – zdziwił się Redfern.

– Oszalał pan? – Mężczyzna wytrzeszczył oczy. – Tam to same elity forszą oszukują nałóg. Mówię o York Road w tym pana Woking.

– Czyli syn pana szefowej jest narkomanem – podsumował Redfern.

– E tam, zaraz narkomanem. Dean chyba lubi życie na krawędzi czy jak to się tam mówi. Mówię panu, szkoda waszego czasu na szukanie gnojka. Pewnie jeździ swoim stagem po Surrey i wyrywa panny.

Redfern wyprostował się na dźwięk modelu samochodu. Na podium ukochanych aut zaraz obok swojego triumpha GT6 mógł śmiało postawić staga, również projektu Giovanniego Michelottiego. Szczególnie marzył mu się Mk1, którego dosiadał Sean Connery w *Diamenty są wieczne*. Zdziwił się, że chłopak jeździ takim staruszkim za kilkanaście tysięcy funtów.

Redfern pożegnał się z Owenem i poszedł do samochodu. Nie włączając silnika, przeglądał wiadomości w komórce, kiedy usłyszał pukanie w okno. Przy drzwiach stał Christopher Tinney i machał, by inspektor opuścił szybę. Zamiast tego Redfern dał mu znać, żeby wsiadł. Po chwili posterunkowy siedział na fotelu pasażera, rozcierając zmarznięte ręce.

– To ty nie w NCA? – zapytał Redfern, celowo pomijając sprawę zniknięcia chłopaka.

– Weź nie pytaj. – Chris skrzywił się. – Te szkolenia, procedury tyle trwają, że będę zimował w Woking do emerytury.

– Nie będę narzekał – odparł pogodnie inspektor. – Summer chyba też nie.

– Ta, akurat – bąknął nieco obrażony. – Chodzi wściekła i tylko na wszystkich syczy. Dobra z niej dziewczyna, ale ostatnio naprawdę coś ją gryzie.

– Przepychanki na stołkach, to wszystko.

– Wątpię. Tu musi chodzić o coś głębszego. Nikt by się tak nie wściekał o robotę.

– Chyba że robota jest jedynym, co masz.

Christopher zasępił się. Redfern pomyślał, że młody przeszedł przez niebezpiecznie cienką linię drgającą między strategicznym dla psychiki terytorium życia osobistego a obszarem, w którym bez pracy nie ma życia.

– Słuchaj, kiedy Knight dojdzie do siebie, wszystko wróci do normy – Redfern starał się go uspokoić.

– A ty?

– Celebruję urlop – oznajmił możliwie najbardziej beztrosko.

– Wpadając do wiejskiej świetlicy akurat w tym samym momencie, kiedy szukamy zaginionego chłopaka? – Tinney uniósł brew. – Kłamać to ty nie umiesz.

Redfern wypuścił głośno powietrze przez nos, rozciągając kąciaki ust. Rozbawiła go prostota myślenia Tinneya. W wirze ostatnich wydarzeń zapomniał, jak bardzo ją lubił i cenił.

– No właśnie, skoro przy tym jesteśmy. – Popatrzył przenikliwie na posterunkowego. – Po co McMahon przysłał cię tutaj? Wiadomo, że dzieciak

nawiał, więc mógłby się ktoś pofatygować od Johanesa.

– Nic ci nie dzwoni? – zdziwił się posterunkowy.

– No jasne. To prosta sprawa, która podniesie wam statystyki. Kryminalni zostaną w Woking. Wniosek może być tylko jeden: McMahon o nas walczy.

– Chyba ci za mocno przywalili pałką w tym bunkrze. Jakie „o nas”? Knight lada moment odejdzie na emeryturę. McMahon jest pierwszy w kolejce, żeby wspiąć się na jego stołek, ale żeby zostać komendantem...

– Trzeba mieć komendę – dokończył Redfern. – Powinieneś zrobić karierę w polityce, Puszka. Ewidentnie się na tym znasz.

– Jestem człowiekiem wielu talentów. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– I do tego skromnym.

– Cóż poradzić. – Tinney rozłożył ręce.

– Słuchaj, nie mów nikomu, że mnie tu widziałeś – Redfern zaryzykował prośbę.

– W tej chwili na komendzie jest taka atmosfera, że strach komuś powiedzieć, że idziesz do kibla – oznajmił grobowym tonem, choć nie udało mu się utrzymać kącików ust w ryzach. – Za rozmowę z tobą pewnie dostaje się dożywocie.

– Lepiej nie ryzykuj – przestrzegł go z uśmiechem Redfern. – Pamiętaj, że przed tobą wielki polityczny świat.

– Dobra, więc lecę walczyć o stołek. – Złapał za klamkę, ale zatrzymał się w pół gestu. – Wracaj do nas szybko.

– Jak Bóg pozwoli. – Wzniósł oczy ku niebu.

– McMahona już w to nie mieszaj. – Zaśmiał się i wysiadł z auta, zostawiając Redferna samego z ponurymi myślami.

Zastanawiał się, czy powinien demaskować McMahona, czy jego szcurza działalność na komendzie była skierowana przeciwko Redfernowi, czy wręcz przeciwnie – przysłano go, by pomógł oczyścić sfermentowane środowisko. Z zamyślenia wyrwał go dźwięk, którego w pierwszej chwili nie potrafił ani zaklasyfikować, ani też zlokalizować. Dopiero po chwili doszło do niego, że słyszy jakąś rockową melodię, ale nie płynącą z radia, lecz z tylnego siedzenia. Odwrócił się i zaklął.

Na podłodze pod kanapą leżała torebka sierżantki Winter.

*

W pajęczynie neuronów miotała mu się myśl, że upadek pubu nie korelował z czystym przypadkiem. Niemożliwe, żeby ktoś tak po prostu porzucił dobrze prosperujący pub, a jeśli dołożyć do tego fakt, że przylegał bezpośrednio do

miejsca znalezienia ciała, to nie można było mówić o zbiegu okoliczności. Redfern nie bardzo miał pomysł, gdzie szukać Arthura Austina. Media społecznościowe milczały, a wizję, że przeglądanie policyjnej bazy da jakiś sensowny efekt, mógł wsadzić między bajki. Portal zoopla faktycznie potwierdził sprzedaż w dwa tysiące czwartym roku za okrągły milion funtów, co wydawało się rozsądną ceną za pub z zaadaptowanym na część mieszkalną poddaszem i sporym terenem przy głównej drodze. Niestety, dane sprzedającego i nabywcy pozostawały tajemnicą, na której rozwiązanie nagle znalazł pomysł.

Zwolnił przed zakrętem i wjechał do miasta od strony East Hill. Mijając dom, zastanawiał się, czy nie wstąpić na chwilę, ale chęć sprawdzenia historii nieruchomości wzięła górę.

Redfern zapukał do drzwi i po usłyszeniu zaproszenia wszedł do pokoju zalanego ostatnimi promieniami popołudniowego słońca. Uśmiech spełzył z twarzy łysawego urzędnika, który pobladł na widok przybysza. Ich ostatnie spotkanie skończyło się niemłą wymianą zdań, kiedy inspektor zarzucił urzędowi pośredni udział w spekulacjach wokół ziem hodowcy koni. Dlatego zupełnie nie zdziwiła go mina siedzącego za biurkiem mężczyzny.

– O, pan policjant – skwitował kwaśno, pomijając powitanie. – Obawiam się, że nic więcej nie wiem na temat pana O'Malleya i jego gruntów – wyjaśnił sztywno.

– Sprawa hodowcy została rozwiązana – uspokoił go Redfern, po czym zrobił podkład pod nowe, dobre relacje: – Bardzo nam pan wtedy pomógł. Dziękuję.

– To moja praca. – Uśmiechnął się nieśmiało, marnie maskując dumę.

– Dziś przychodzę z inną prośbą.

– Proszę mówić.

– Chodzi mi o nieruchomość w Ripley i dane dotyczące sprzedaży pewnego pubu.

Redfern obserwował, jak na twarzy urzędnika przesuwa się front walk między chęcią pomocy miłemu policjantowi a tajemnicą, jaką objęte były tego typu dane. Ostatecznie zwyciężyła chęć.

– O jaki pub chodzi i kiedy doszło do transakcji? – zapytał.

– Toby Cottage Pub w Ripley, rok dwa tysiące czwarty.

Urzędnik zwrócił się w stronę monitora, kliknął kilka razy myszą, po czym wystukał parę znaków na klawiaturze.

– Tak, faktycznie, wtedy został sprzedany, w podanym przez pana roku. – Mężczyzna kiwał rytmicznie głową, jakby sam sobie przyznawał rację. – Właścicielem był pan Arthur Austin, któremu w tym samym roku nieruchomość

została przekazana w darowiźnie, a nabywcą pan Harold Maxwell, obaj panowie zamieszkiwali wtedy w Ripley. Transakcja opiewała na kwotę miliona funtów – recytował fragmenty dokumentów.

Redfern zanotował w telefonie dane obu mężczyzn, po czym podziękował urzędnikowi i wyszedł.

Miał w planach jeszcze jedną wizytę, zanim spotka się z Summer Winter, odetnie się od sprawy i skupi na poszukiwaniach Palacza.

*

Dokładnie tak, jak mówiła dyrektorka podstawówki, farma Sheridanów znajdowała się niedaleko destylarni. Zdezelowana brama, której jedno skrzydło chyba zdawało się wrastać w ziemię, od razu zapowiadała to, co znajdzie się za nią. Z przeredzonej trawy wystawały połamane meble, części samochodów i metalowe elementy, których Redfern nie potrafił dopasować do żadnej ze znanych mu maszyn. Wąska droga slalomem kluczyła między sprzętami, prowadząc triumpha prosto do dużej, kremowej przyczepy, osadzonej na pustakach. Za nią rozciągała się najbardziej przygnębiająca giełda samochodowa, jaką Redfern widział. Z trzewi licznych renault, fordów i bmw wystawały płataniny kabli i gąbka z rozprutych tapicerek. Egzemplarze kompletne ustawiono bliżej, ale inspektor nie miał wątpliwości, że pod lśniąca warstwą mleczka do desek rozdzielczych, wosku i czernidła do opon drzemie mechaniczna i finansowa katastrofa. Autentyczności tablic rejestracyjnych nawet nie chciało mu się sprawdzać.

Nie zdążył zgasić silnika, gdy w przyczepie błysnęło światło, a w drzwiach pokazała się kobieta, którą spotkał na placu szkolnym.

– No proszę, proszę! – Stała przed maską z założonymi rękami i wpatrywała się z niechęcią w wysiadającego z auta inspektora. – W końcu policja postanowiła zrobić porządek w tej budzie. Może przyjrzyjcie się tym rasistom, co wyzywają moje dzieci od przybłędów – trajkotała.

– Na razie przyglądamy się sprawie ofiary ze szkoły – ostudził jej zapał Redfern.

– No jasne! – zakrzyknęła ochryłym głosem. – Jak ginie jakaś angielska paniusia, to wiadomo, że zrobił to irlandzki Travellers. No jakie to, kurwa, oczywiste!

Redfern nie miał ochoty wdawać się w dyskusje. Puszczając mimo uszu dalszą tyradę, wyciągnął z kieszeni kurtki wydruk zdjęcia biżuterii znalezionej przy ofierze i pokazał kobiecie.

– Rozpoznaje to pani?

Blondynka odwróciła głowę, udając, że coś ją zainteresowało na pobliskim drzewie.

– Nie rozpoznaję.

– Radzę się przyjrzeć, bo następnym razem zamiast zdjęcia zobaczysz nakaz przeszukania i jeśli znajdę choć pyłek łączący was ze sprawą, to policja rozniesie tę rudę w drzazgi.

Kobieta obdarzyła inspektora wściekłym spojrzeniem i otworzyła usta, szykując się do kolejnej serii przekleństw. Redfern kątem oka zauważył ruch w przyczepie. Nagle drzwi ponownie otworzyły się z hukiem i wypadł z nich nalany mężczyzna w koszulce na ramiączkach.

– Czego tu? – warknął, dopadając samochodu. – Do domu – wrzasnął na kobietę, która natychmiast stopniała i szybkim krokiem wróciła do przyczepy. – No pytam, czego tu?

– Jestem z policji. Inspektor Redfern...

– Pokaż blachę, śmieciu – przerwał mu.

David sięgnął do kieszeni, przypominając sobie, że jego odznaka spoczęła w policyjnym depozycie. Spojrzał na rozjuszona mężczyznę i przeszła mu przez głowę pewna myśl.

– No to jak nie masz, to spieprzaj, zanim spuszczę psa.

– Chwila – rzucił ostro i zanurkował do auta w poszukiwaniu torebki Summer, mając nadzieję, że sierżantka nie nosi dokumentu przy sobie. Odsunął zamek i przejrzał zawartość, którą stanowił istny miszmasz papierów, długopisów, kosmetyków, gumek do włosów. Na dnie tego chaosu mignęła mu czarna okładka. Chwyił ją i zaprezentował odznakę, zasłaniając palcem zdjęcie. Mężczyzna chciał ją złapać, ale Redfern był szybszy.

– Jak zasłużysz, to może dam ci potrzymać – warknął inspektor i schował dokument do wewnętrznej kieszeni kurtki. – A teraz grzecznie odpowiedz na moje pytania albo przyjrzymy się tym wrakom po swoim. – Wskazał na samochody stojące za przyczepą.

– Czego chcesz?

– Opowiesz mi o weselu, które odbyło się tu dziesięć lat temu.

– Dziesięć lat temu mnie tu nie było, koleś – bąknął z silnym irlandzkim akcentem.

– Ale o weselu coś wiesz?

– Ano tylko tyle, że się nie odbyło. – Wzruszył ramionami i podrapał się w łysiejącą głowę. Jego głęboko osadzone oczka unikały kontaktu z Redfermem.

– Dlaczego?

– A bo ja wiem?

– Bo panna młoda uciekła z innym – usłyszeli głos z przyczepy. Obaj mężczyźni zwrócili się w stronę pojazdu, z którego okna wychylała się blondynka, ale inna, młodsza, choć ilość silikonu na ustach i odcień sztucznej opalenizny mocno upodabniały ją do kobiety poznanej w szkole.

– Zamknij mordę i wracaj do Patricka! – wrzasnął mężczyzna. – Chłopak na święta przyjechał i zamiast gościny ma wrzeszczącego babsztyla.

– Z jakim innym? – zainteresował się Redfern.

– Baba bredzi, koleś. Ślubu nie było, bo panna młoda się nie stawiała. Tak mówiły chłopcy na festiwalu, reszta to plotki wymyślane przez baby.

– Gdzie znajdę tego pana młodego?

– A skąd mam wiedzieć? – Skrzywił się tamten. – Nawet nie pamiętam, jak się nazywał.

– To się dowiedz – wycedził z naciskiem Redfern, klepiąc się w miejscu, gdzie odznaczała się legitymacja.

– No co ty, koleś? Jest nas pięćdziesiąt tysięcy luda. Jak...

– W Woking jest sto – przerwał mu Redfern. – A mogę zdobyć informację w ciągu paru godzin. Tobie daję czas do jutra, koleś – odparł, podkreślając ostatnie słowo. Odwrócił się, wsiadł do samochodu, kładąc na kokpicie kartkę. Odjeżdżając, zerkał we wsteczne lusterko. Mężczyzna odprowadził go wzrokiem, dopóki triumph nie minął bramy i nie wjechał na Polesden Lane w stronę Send.

Redfern zjechał do niewielkiej zatoczki naprzeciwko stawu, zastanawiając się, jak znaleźć byłego właściciela pubu. Obserwował, jak potężny pick-up wciąga przez wąski podjazd żaglówkę i znika za ogrodzeniem. Dopiero teraz się zorientował, że ziemie Sheridanów sąsiadują przez drogę z przystanią klubu jachtowego Papercourt. Za wysokim wałem kołysały się maszty, między którymi buszował grudniowy wiatr. Inspektor przyglądał się rytmicznemu tańcowi, który przypominał mu teatrzyk kukiełkowy.

Nagle ktoś zapukał w okno. Redfern aż podskoczył, nie spodziewając się nikogo na tym pustkowiu. W bocznej szybie zobaczył rudą, około jedenastoletnią dziewczynkę. Szarpnęła za klamkę i wsiadła od strony pasażera.

– Widziałam z naszej przyczepy, że pan tu zajeżdża, więc przybiegłam – oznajmiła zdyszana i spojrzała pewnie na inspektora. – Jestem Jolene Sheridan. Mieszkam na farmie. Słyszałam, o co pan pytał mojego wujka.

– Wiesz coś o weselu?

– E, nie. – Skrzywiła się. – Za mała wtedy byłam, żeby coś pamiętać, ale wiem coś o tym badziewiu. – Wskazała na kartkę na desce rozdzielczej. Dokładnie takie same serduszka robi moja ciotka z Kumbrii i sprzedaje po

festynach – oznajmiła z jeszcze silniejszym niż jej wuj akcentem i przyjrzała się cyrkoniom na swoich czerwonych tipsach.

– Wolno ci z czymś takim chodzić do szkoły? – zapytał Redfern, mając w pamięci surowość szkolnych przepisów, które zabraniały nawet innych niż szkolne kolorów gumek do włosów czy skarpetek.

Dziewczynka uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od paznokci.

– Nie marudzą, bo jak zaczną, to mnie ojciec zabierze ze szkoły i będzie masa papierów do wypełniania. Tak mówi moja mama.

– A jak nazywa się twoja ciotka od biżuterii?

– Anne Marie Sullivan – odparła.

– Tak nazywa się połowa kobiet u was – powątpiewał w te rewelacje Redfern. Zastanawiał się, czy mała nie została wysłana przez swoją rodzinę, by zwieść policję i zyskać na czasie.

– Ale tylko jedna mieszka teraz w Horsell, w najpiękniejszym domu na całej ulicy – odparła dziewczynka, promieniejąc z dumy.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz? – inspektor spytał nieufnie.

– Chcę pomóc. – Skurczyła się nagle. Schowała swoje małe, ubrane w wulgarną dorosłość dłonie i znów stała się uczennicą szóstej klasy, podobną do jej koleżanek, które mieszkają w murowanych domach i w przypiływie dziewczęcych szaleństw malują usta co najwyżej bezbarwnym błyszczkiem z zestawu z *Krainy lodu* czy innej bajki.

– Bo wie pan, ja bym jednak chciała skończyć szkołę – oznajmiła niespodziewanie. – Zostało mi pół roku. Lubię czytać. Nie chcę być jak moja mama i ciotki, które z każdym pismem albo czekają na powrót mężczyzn, albo proszą nas, dzieci, o przeczytanie. Zresztą dziewczynki też zaraz zapomną, jak się czyta, bo po co im to? Wiedzą, że nie jest im to do niczego potrzebne – mają sprzątać po mężach i gotować im obiady. – Wydęła usta w pogardzie. – Ja tak nie chcę. Chcę się szkolić na cukiernika – dodała z dziecięcym uporem i wiarą. –

Moja siostra siedemnastego lipca skończy szesnaście lat, a dzień później wychodzi za mąż. Będę musiała robić wszystkie jej prace.

Redfern słuchał tego z rosnącym niesmakiem. Milczał, nie znajdując żadnych słów, które nie wyrażałyby dezaprobaty. Wiedział, że dyskusja z tym systemem nie ma najmniejszego sensu, nie otwierał więc ust. Dziewczynce zupełnie to nie przeszkadzało i ciągnęła swój wywód.

– Moja siostra została porwana z wesela naszej kuzynki przez brata pana młodego – mówiła, jakby wreszcie po wielu latach znalazła kogoś, kto zechciał jej wysłuchać. – Ukradł jej całusa, a może i coś więcej.

– I ona tego chciała?

– A czy to ważne? – prychnęła Jolene. – Taka tradycja. Jak impreza się rozkręca, zaczyna się polowanie na dziewczyny. Jak któraś spodoba się chłopakowi, to ją zabiera z parkietu, wychodzi na zewnątrz i różnie się kończy.

Redfern słuchał tego w milczeniu, przypominając sobie liczne obrazki z ciekających przepychem travellerskich wesel, na których panna młoda wyglądała jak wielka beza obsypana świecidełkami. Wszystko z disneyowskim rozmachem i kiczem. Kilkudziesięciokilogramowy różowy tort, zastęp skąpanych w samoopalaczu i samozachwycie druhen oraz długa limuzyna, która w założeniu miała zastąpić Kopciuszkowi karocę. I podobnie jak w bajce: o północy czar pryskał, limuzyna zmieniała się w żółtą przyczepę, suknia w dres, a pantofelki w klapki z futerkiem. Natomiast księżę – w potwora. Statystyka, którą Redfern znał, była bowiem bezlitosna – mocno ponad połowa panien młodych doświadczała przemocy ze strony swych księżąt i rycerzy. I tu znów jak w bajkach dla małych dziewczynek, rozwodów nie przewidziano.

– Nie chcę być porwana. Chcę robić torty, a nie dzieci – podsumowała dobitnie Jolene i wysiadła z samochodu. Redfern widział jej ognistą głowę znikającą w zaroślach. Miał ogromną nadzieję, że wuj nie zauważył jej zniknięcia i jutro Jolene Sheridan pojawi się w szkole w Ripley. A za parę lat będzie ozdabiać torty różowym lukrem.

Z tą myślą zawrócił i odjechał w stronę Princess Road.

Dojeżdżając do Pyrford, zastanawiał się, jak dać znać Summer, że chce jej oddać torebkę. Mógłby ją podrzucić na komendę, ale nie chciał się tam pokazywać. Jeszcze nie teraz. Poza tym obawiał się, że jeśli zostawi ją na biurku sierżantki, torebka wpadnie w niepowołane ręce, których ostatnio na Station Approach nie brakowało. Zjechał na parking przy placu zabaw i wybrał numer do Tinneya. Posterunkowy odebrał po pierwszym sygnale.

– Chyba się zmówiliście z Summer – zaczął. W tle słychać było szum komendy. – Właśnie u mnie była z pytaniem, jak cię znaleźć. Nie wyglądała na szczególnie szczęśliwą.

– Widocznie nie potrafisz uszczęśliwiać kobiet – odparł Redfern, sam nie wiedząc, czy ta autoironia była mu potrzebna.

– Ja też nie – zaśmiał się Puszka. – Chciałem nawet dać jej komórkę, by od razu do ciebie zadzwoniła, ale nie chciała. W każdym razie odesłałem ją na Princess Road. Powiedziała, że na ciebie zaczeka.

Redfern podziękował za informację i pożegnał się. Patrzył na młodzież oblegającą huśtawki i zjeżdżalnię. Śmiali się i dokazywali, ciesząc się z czasu wolnego, który dawała im przerwa świąteczna. Część z nich udawała się do

pobliskiego lasu na pierwsze spotkania z nikotyną, inni w parach napawali się oksytocyną. Wiatr niespodziewanie smagnął triumpha, sprawiając, że Redfern oderwał oczy od światłocieni młodości.

Dopiero teraz zauważył, że wraz z komórką wyciągnął żółty paragon, który sfrunął na siedzenie pasażera. Zerknął na datę i stwierdził, że dziś może odebrać ubranie Siwiaszczyka z pralni. Ważył chwilę decyzję o wycieczce do Kingfield, ostatecznie uznając ją za dobrą. Uruchomił silnik i wyjechał z parkingu.

*

Dom był oświetlony jak choinka. Inspektora najbardziej martwiło światło w jego pokoju i odznaczające się w kwadracie okna postaci. Zabrał z siedzenia torebkę i opakowany w worek garnitur. Upewniwszy się, że zamknął samochód, poszedł w dół chodnika prowadzącego do drzwi. Przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka. Już z przedpokoju dotarła do niego mieszanina podniesionych dobrym humorem głosów. Z melodii bardzo londyńskiej angielszczyzny przebijał się brzęczący wschodni akcent. Redfern odwiesił ubranie dziadka na wieszak, po czym wszedł do swojego pokoju. Przy stole siedziała Summer Winter, racząc się piernikami i herbatą. Naprzeciwko Siwiaszczyk kończył właśnie ptasie mleczko.

– Cześć, Dawidku! – zwrócił się po polsku do Redferna z pełnymi ustami. – Dlaczego nie powiedziałaś mi, że pracujesz z taką uroczą młodą damą?

– Bo z żadną uroczą damą nie pracuję. – Wbił spojrzenie w dziadka, którego uśmiech nagle stopniał. Po czym przeniósł wzrok na Summer i spytał już po angielsku: – Nie łatwiej było zapytać Puskę o numer?

– Może – odparła z uśmiechem. – Ale dzięki temu miałam okazję poznać twojego dziadka i pieska.

Bandit nadstawił głowę do głaskania, a Summer nie kazała mu długo czekać na pieszczoty, zatapiając dłoń w czarnej sierści tuż za uchem. Różowy język tylko śmignął, obdarzając nadgarstek czułym liźnięciem.

– No to skoro się już poznaliście, to torebkę mam w samochodzie. Chodź, Bandit, idziemy na spacer.

Summer wyglądała, jakby chciała o coś zapytać, ale z drugiego końca stołu doszło ich chrząknięcie.

– To było niegrzeczne, Dawidzie – skomentował z niesmakiem Siwiaszczyk.

– Nie, Dave ma rację. Powinam już iść. – Summer podniosła się z krzesła, ale dziadek nie dał za wygraną.

– Nic podobnego. – Zastąpił jej drogę. – Proszę zostać. Dorobię jeszcze herbaty i doniosę ciasteczek.

Redfern znał ten manewr. Kiedy tylko pokłócił się z Dominique, dziadek natychmiast wyskakiwał z herbatą niczym angielski lord, zamiast po polsku wystrzelać ich po tyłku i kazać się pogodzić. Dawno temu zrozumiał, czym kierował się Siwiaszczyk. Słyszał, jak kiedyś mówi do Antoniny, że kłótnia wypala nagromadzony ferment, stwarzając przestrzeń, której nie wolno wypełnić kolejnym fermentem. Lepiej spokojną rozmową.

Wychodząc, Bohdan mrugnął do Redferna porozumiewawczo i lekko się uśmiechnął. Po chwili zniknął za drzwiami. Inspektor patrzył przez okno, jak noc ze swoją gwiazdzistą świtą zapowiada czarne, mroźne godziny.

– Przepraszam – szepnęła Summer, przyglądając się swoim sznurowadłom. – To wszystko mnie przerosło.

– Wystarczyło przyjść i pogadać – odpowiedział wciąż niezadowolony Redfern. – Ja naprawdę nie mam siły na bitwę na kolejnym polu. Chociaż z tobą i Puską chcę mieć czystą sytuację.

– Wiem. Nie będę ci więcej dokładać – zapewniła, wciąż nie podnosząc wzroku.

– Doceniam. Doceniam także, że miałaś odwagę tu przyjść.

– Nie miałam. – Podniosła głowę i uśmiechnęła się blado. – Twój dziadek zauważył mnie, kiedy czekałam na ciebie w aucie, i zaciągnął do domu.

– Jemu też należy się bura – westchnął Redfern na myśl o nieostrożności dziadka, który opuścił dom, by porozmawiać z podglądaczem. Poczłł nieprzyjemne mrowienie, wyobrażając sobie, w jaki sposób ten moment mógł wykorzystać Palacz.

– W takim razie doceniam szczerłość – dodał David, strząsając z siebie największe okruchy złości. Patrzając na zawstydzoną twarz Summer Winter, pomyślał, że na kompletne zaufanie sierżantka będzie musiała jeszcze trochę popracować.

W tym samym momencie skrzypnęła klamka i w drzwiach stanął Siwiaszczyk z tacą zastawioną trzema szklankami herbaty i dokładką pierników. Redfern był mu wdzięczny, że nie skomentował zakończenia konfliktu jakimś dziadkowym podsumowaniem, które zmieniłoby znośną atmosferę w żenującą.

– Przyniosłem numer tej siostry, może pani Summer pomoże ci skontaktować się z nią? – powiedział, zmieniając puste naczynia na pełne. Odstawił wszystko na szafkę nocną i usiadł naprzeciwko sierżantki. Podał jej sudoku, na którym miał zapisany numer do Hannah Brown.

– To pana pismo? – policjantka nie kryła zdziwienia, widząc cyfry jak z kalkulatora.

– Widzisz, nie tylko ja mam z tym problem – wtrącił Redfern, ale dziadek pokręcił tylko głową.

– Ostatnio tak słabo widzę, że tylko to mogę robić – odezwał się na swoją obronę.

Policjantka przepisała numer, po czym przesunęła kartkę w stronę Siwiaszczyka, który zaczął dorabiać szóstką krągłości i daszki.

– Chwileczkę. – Sierżantka złapała go za rękę i spojrzała z przerażeniem na Redferna.

– Cholera – zaklął policjant. – Dopiero teraz to zauważyłem.

Redfern wziął kartkę od dziadka i wpatrywał się w odwrócone do góry nogami cyfry 07582766734. Powoli literował:

– „H”, „e”, „l”, dwa odwrócone „p”, a dalej „l” i „s”.

– *Help, please* – rozszyfrowała Summer.

– Linda prosi o pomoc – dopowiedział Siwiaszczyk i zdjął okulary, które zawisły bezwładnie w jego dłoni.

– Tu jest jeszcze coś – mruknął Redfern. – Spójrzcie na numer domu.

– 531/108 – przeczytał dziadek powoli.

– Osiem to „b”, zero – „o”, a jedyńki przedzielone ukośnikiem tworzą „n”, dalej już prosto: „e” i „s”. Razem Bones – podsumowała sierżantka z przejęciem.

– Musisz mi pomóc – oznajmił twardo Redfern. – Nie życzą sobie mnie tam widzieć. Linda coś wie i chce mi o tym powiedzieć. Pomożesz mi skontaktować się z nią – zwrócił się do Summer, która obdarzyła go zaskoczonym spojrzeniem.

– Niby jak? – zapytała.

– Podasz się za jej siostrę – wyjaśnił i wstał. Zaczął przechadzać się po pokoju, kończąc swój obchód przy oknie, które zasunął zdecydowanym ruchem.

– Mowy nie ma.

– Muszę mieć z nią jakiś kontakt – jego głos na chwilę przybrał niemal błagalny ton. – Ona potrzebuje pomocy, a jej mąż się do tego nie kwapi.

– A ty zabawisz się w rycerza na białym koniu? Przy czym ja mam robić za konia.

– Raczej za lśniącą zbroję – wtrącił się Siwiaszczyk ze szczerym uśmiechem, na co Summer zareagowała chichotem, który ku zdziwieniu Redferna bardzo jej pasował. Był pewien, że tym tekstem dziadek ją skruszył.

– Wyrobimy ci jakiś dokument i pojedziesz do The Priory – inspektor nie miał wątpliwości.

– Przecież oni mnie już tam znają – broniła się sierżantka, ale już nie tak zaciekle. – Nikt nie uwierzy, że jestem jej siostrą.

– Z aktorstwem nie będziesz mieć problemu – Redfern wciąż do końca nie mógł jej wybaczyć, choć skała nieufności powoli ulegała erozji. Summer nie odpowiedziała, ale kiwnęła głową, co inspektor wziął za zgodę na przeprowadzenie akcji.

– No dobrze, zrobiło się późno. Wy sobie planujcie skok na klinikę, a ja pójdę z Bambim na spacer, – Siwiaszczyk wstał, zawołał szczeniaka i poszedł do przedpokoju.

– To jak twój pies ma w końcu na imię? – spytała Summer konspiracyjnym tonem.

Redfern posłał jej groźne spojrzenie, na co sierżantka uniosła ręce w obronnym geście.

Kiedy drzwi zamknęły się za Siwiaszczykiem, inspektor odezwał się:

– Nie będę ci dłużny. Czegoś się dowiedziałem o wisiorku. Sprzedawano takie na Jarmarku Appleby. Wiem, kto je wyrabiał. Jeśli dowiemy się, kto go kupił, znajdziemy naszą NN.

– To największy zlot Travellersów i Cyganów w Europie – skonstatowała Summer. – Tam się zjeżdża z pięćdziesiąt tysięcy ludzi, z czego pewnie dwie dychy to główni zainteresowani. Jak twoim zdaniem mamy tam znaleźć informację o tej dziewczynie? Poza tym jarmark odbywa się jakoś latem, nie możemy tyle czekać.

– Odbywa się dopiero w pierwszym tygodniu czerwca – sprecyzował Redfern. – Ale wcale nie musimy tam jechać. Poznałem kogoś, kto pomoże nam dotrzeć do wytwórczyni biżuterii.

– Jakim cudem? Oni są jak skała.

– Dokładnie jak skała. – Uśmiechnął się. – Można ich skruszyć.

21.12.2013 r., sobota

Może Jimbrock House nie był najpiękniejszym domem na High Street, ale nie ulegało wątpliwości, że wyróżniał się w zwartym szeregu brunatnych willi. Redfern nie miał najmniejszego problemu, by do niego trafić. Jego gołębioszara bryła, białe kolumny w porządku toskańskim, które strzegły wejścia, oraz balkon oddzielony klasyczną rzymską balustradą nie pozostawiały marginesu dla interpretacji wskazówek Jolene Sheridan.

Zaparkował na wysypanym białymi kamyczkami podjeździe i wysiadł z samochodu. Masywne białe drzwi, opatrzone ciężką kołatką, nie zachęcały do kontaktów z gospodarzami. Mimo to Redfern ujął metalowe ucho i stuknął nim parokrotnie. Po dłuższej chwili szcęknął zamek i w progu stanęła blondynka z napompowanymi ustami, przez które wychodziły niezrozumiałe dla inspektora słowa. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, że kobieta posługuje się czymś między angielskim a gaelickim. Pożałował, że nie przykładał się bardziej, kiedy ojciec próbował go nauczyć szkockiej odmiany tego języka.

– Nazywam się Redfern i jestem z policji. Chciałem...

– Zarzuty? – wtrąciła natychmiast, nie dając dokończyć mu zdania.

– Żadnych.

– No to żegnam – odparła szybko i pchnęła drzwi, ale Redfern uniemożliwił stopą ich zamknięcie.

– Chciałem panią zapytać o to. – Wyciągnął z kieszeni wydruk z połówką serca i podsunął kobiecie pod nos.

– Nie znam.

– A ja wiem, że pani je wyrabia. Jeden z nich znaleziono przy zwłokach bardzo młodej dziewczyny.

– Zrobiłam ich setki – burknęła. – Zresztą nie ja jedna.

– Bzdura – zagrał *va banque*. – Przypomnę, że chodzi o śmierć dziecka.

– No dobra – Sullivan mruknęła niechętnie, ale nie zaprosiła Redferna do środka. – Takich zrobiłam kilka, ale to było z dziesięć lat temu. Świsnął mi je syn mojej kuzynki. Poprosił mnie o jedno dla jakiejś dziewczyny, a jak odmówiłam, to mi zapieprzył wszystkie.

– Jak się nazywał?

Anne Marie popatrzyła złowrogo na Redferna, który zaszeleścił kartką, po czym odpowiedziała niechętnie:

– Bartley Sullivan. Jak pan chce, to mogę po niego iść, bo mieszka niedaleko.

– Może mi pani pokazać? – zapytał, w obawie, że jeśli pozwoli jej iść po mężczyznę, to ta wepchnie mu do gardła zeznania. Nie mógł też ryzykować, że Anne Marie Sullivan zadzwoni do członka rodziny. Poza tym mając za skrzydłową ciotkę, mógł liczyć na ułatwiony kontakt z Bartleyem.

– Pokazać? – zdziwiła się, ale widząc nieustępliwość inspektora, rzuciła: – No dobra, tylko coś na siebie narzuć.

– Nadal nic nie wiecie o tej dziewczynie? – spytała, ale otrzymawszy w odpowiedzi tylko niemrawe skinienie głową, zaczęła trajkotać: – A wiesz, że do tej szkoły w Ripley chodzą dzieciaki mojego kuzyna? Najstarsza zaraz kończy, a reszta drobiazgu jeszcze trochę tam zabawi. Ale w sumie po co, to ja nie wiem. Może tylko czytanie im się na coś przyda, bo cała reszta to totalne bzdury. W niczym im nie pomoże, że będą wiedzieć, że w Austrii mieszkają kangury, a Leonardo DiCaprio był malarzem.

Redfern milczał, łykając riposty. Wcisnął mocniej ręce do kieszeni i słuchał wywodu kobiety z narastającą z każdym krokiem irytacją.

– No chłopakom to się jeszcze może liczenie przyda, żeby wiedzieć, ile dzieciaków mają. – Zaśmiała się ochryple. – A do interesów to i tak teraz mają telefony – dodała, gdy przestała się śmiać. – No a ten wisiołek, co to niby ja zrobiłam, to znaleźliście przy trupie czy jak?

Zanim zmusiła go do odpowiedzi, stanęli przed domem mężczyzny. Anne Marie zapukała i nie czekając na odpowiedź weszła do środka.

– Bartley, jesteś?

– Spierdalaj, debilu! – usłyszeli.

– Co spierdalaj?! Strzelasz jak ostatnia łajza. Nawet nie umiałeś porządnie sprzątnąć typa. Teraz będzie się mścił, kutasiarz!

– No ale juchy to zostawił konkretnie – zaskrzeczał trzeci głos.

Weszli głębiej, rozglądając się za źródłem rozmowy. Anne Marie Sullivan nie miała odwagi spojrzeć na Redferna, choć w ogóle nie wydała się zaskoczona sytuacją.

– Bartley, jesteś? – powtórzyła głośniej, po czym doszedł ich rumor poprzeplatany pośpiesznymi szeptami, po którym nastąpiła cisza.

– Jestem! – odkrzyknął ktoś z wnętrza domu. – Wchodź, ciotka!

Redfern ruszył za kobietą do salonu na końcu korytarza. Jego uwagę przykuł leżący w kałuży krwi martwy mężczyzna na środku ogromnego ekranu telewizora. Dopiero potem inspektor zobaczył pępowiny kabli prowadzące od konsoli do rąk dwóch mężczyzn. Pozostałych dwóch trzymało bezprzewodowe

kontrolery. Ubrani w jeansy i bluzy z kapturem, pod którymi ukrywali umięśnione torsy, wyglądali niczym klony. Równocześnie oderwali wzrok od gry i patrzyli na Redferna zaskoczeni.

– Co to? Nowy przydupas? – prychnął największy z nich. Blondyn odłożył pada na stół, rozłożył się na kanapie i przyglądał się policjantowi.

– Nie przydupas, tylko gliniarz – wyjaśniła Anne Marie.

– Niech spierdala. Ty też.

Towarzysze zaśmiali się głośno i zbili piątki, jakby usłyszeli najlepszy żart w życiu.

– Ten przydupas może ci poważnie zaszkodzić – rzucił Redfern. – Śmierdzi tu marychą na kilometr, to raz, a dwa, że jeśli nie będziesz współpracował, to zafunduję ci oskarżenie o morderstwo i przejazdkę do aresztu – położył przed nim kartkę z wydrukiem. – Poznajesz?

Bartley Sullivan spojrzał na ciotkę, która odwróciła wzrok.

– Nie poznaję – bąknął i znów wziął kontroler w dłoń.

Redfern poczuł macki wściekłości. Rozpełzły się w jego krwiobiegu z szybkością trucizny. Wyrwał urządzenie z rąk mężczyzny i rzucił nim przez cały pokój. Szare pudełeczko zakończyło swój lot na przeciwległej ścianie, roztrzaskując się na kilka elementów, które hałaśliwie opadły na podłogę. Przez chwilę wszystko zamarło. Początkowe zdziwienie mężczyzn w ułamku sekundy przeszło w szok. Blondyn pierwszy odzyskał przytomność i zerwał się z miejsca.

– Ty skur...

Redfern złapał go za ramię i posadził, zanim tamten zdążył rozprostować kolana.

– Słuchaj no – wycedził. – Może i nie poznajesz, ale jeśli znajdę na tym choćby strzęp twojego odcisku palca, to nie będę zadawał pytań, tylko posadzę cię do pierdła do końca życia. Masz więc ostatnią szansę pogadać w komfortowych warunkach. Znasz ten wisiołek?

– Znam – burknął cały czerwony, unikając wzroku kolegów.

– No to mów wszystko, co o nim wiesz – ponaglił go Redfern, czując, że złość zmienia się w poczucie winy.

– Ciotka je zrobiła. – Wskazał na bladą z przejęcia kobietę, która nagle znalazła się przy wyjściu. – Kiedyś ją poprosiłem, żeby mi jeden dała, ale powiedziała, że nie da.

– Bo jakiejś dziwce chciałeś go dać. A potem i tak ukradłeś! – piała.

– Bredzisz, kobieto! – wrzasnął. – To było z piętnaście lat temu.

– Dziesięć!

– A komu chciałeś go dać? – Redfern zdławił w zarodku rodzinną awanturę.

– Lizzie McPherson – odparł bez zastanowienia. Redfern pomyślał, że Bartley musiał być blisko z dziewczyną, skoro tak szybko odkopał w pamięci jej personalia.

– No mówię, że dziwka – Anne Marie najwyraźniej nie potrafiła trzymać języka za zębami. – Skończyła w ośrodku dla matek w Old Woking.

– Kabel – warknął mężczyzna.

W odpowiedzi ciotka pokazała mu środkowy palec.

Nagle w drzwiach pojawiła się ubrana w krótką spódniczkę dziewczyna. Czarna bluzka odsłaniała lekko wystający brzuch. Mięśnie obu rąk napięły się od trzymania ciężkich reklamówek.

– Słysząc was aż na ulicy – skomentowała cicho, nie zaszczycając nikogo z obecnych spojrzeniem.

– Gdzie byłaś, do cholery?! – wrzasnął wściekle Bartley. – Głodny jestem w chuj, a chłopaki też by coś zjedli.

– W sklepie – wyjaśniła speszona. – Zaraz coś ugotuję, kochanie – dodała i zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

– Pospiesz się! – krzyknął za nią. – A potem sprzątnij tu. Burdel w tym domu taki, że rzygać się chce!

– Czyli mogę się spodziewać twoich odcisków na tym drobiazgu? – Redfern przerwał tyradę.

– Może, ale ja nie zabiłem żadnej dziewczyny i nie ukradłem żadnego medalika – zwrócił się do ciotki. – Sama pewnie gdzieś schowałaś w tym swoim chlewie.

Krzyki dochodziły go jeszcze na ulicy, gdy szedł niespiesznie do samochodu. Sięgnął do kieszeni po komórkę i wybrał numer Summer. Wyjaśnił jej w kilku zdaniach, gdzie był, i poprosił, by sprawdziła, gdzie teraz mieszka Lizzie McPherson, która prawdopodobnie kilka lat temu przebywała w domu młodej matki w Old Woking.

– Myślisz, że to ona ma drugą połówkę? W ogóle czy podążanie za tym naszymi ma jakikolwiek sens?

– Myślę, że to ona sprzedała naszej NN całość – Redfern nie ustępował, puszczając mimo uszu niechęć sierżantki.

– Dobra, poszukam, ale to może być czasochłonne.

– Naszej NN raczej nigdzie się nie spieszy.

– Ale mnie tak. Duża Elsa suszy mi łeb, bo z kolei ją naciskają z góry.

– Stara śpiewka – Redfern nie mógł zdobyć się na współczucie względem prokuratorki. Stracił do niej resztki zaufania podczas przesłuchania. I choć wiedział, że podeszła do sprawy bardzo profesjonalnie, to nie potrafił jej wybaczyć, że wykorzystała to, co usłyszała od niego w prywatnej rozmowie.

- Może i stara, ale ja mam nóż na gardle.
- Znając ciebie, jeszcze będziesz nim wojować – skwitował Redfern.
- Jak zwykle przemawia przez ciebie optymizm – odparła i rozłączyła się.

A co innego mi zostało, pomyślał cierpko i odjechał w stronę pola golfowego, które nadal wzbudzało w nim mieszaninę strachu i wściekłości.

Przejeżdżając Maybury Hill, Redfern postanowił zajrzeć do dziadka. Pomyślał, że zjedzą razem lunch, a potem może uda mu się wyciągnąć staruszka na spacer. Dopiero gdy zwalniał przed Princess Road i włączył kierunkowskaz, zdał sobie sprawę, że Siwiaszczyk mówił mu o dość zajętym dniu i planowanej wizycie w archiwum miejskim, gdzie był wolontariuszem. Inspektor pomyślał, że w sumie kontakt z rówieśnikami dobrze zrobi siwej głowie, która ostatnio zdawała się wypełniona tylko problemami.

*

Klub golfowy Hoebridge pogrążony był w ciszy przerywanej wyłącznie przez otaczającą go naturę. Redfern raczej sceptycznie odnosił się do szkockiej gry z kijami w roli głównej, choć jego ojciec katował go transmisjami rozgrywek w St. Andrews – kolebce golfa. Jedyne, co był w stanie docenić, to otaczającą graczy przestrzeń i płynące z niej ukojenie.

Inspektor zaparkował na jednym z dziesiątek wolnych miejsc i poszedł wąskim chodnikiem w stronę biura, usiłując posklejać w myślach listę pytań, które chciał zadać pracownikom klubu.

Nagle drzwi budynku otworzyły się z hukiem, po którym nastąpił wrzask kilkunastu gardeł znajdujących się mniej więcej na wysokości pasa Redferna. Za dziećmi wybiegli zdesperowani rodzice oraz dwóch pracowników klubu. Cała ósemka próbowała dogonić rozwrzeszczaną hałastę, która biegła w stronę pola do minigolfa. Inspektor spojrzął za nimi i wnet pojął źródło radości. Pole przypominało piracką wyspę z zacumowanym przy niej prawdziwym statkiem. Palmy, liny, pięknie odwzorowane drewniane zwierzątka, a nawet tratwa, którą należało się przedostać na środek placu, zrobiły wrażenie nie tylko na maluchach. Ostatnia w drzwiach pojawiła się młoda kobieta trzymająca za rękę roześmianą dziewczynkę w sukni balowej, przepasaną błyszczącą szarfą z napisem „solenizantka”. Redfern jeszcze raz spojrzął w stronę masztu, na którym powiewała czarna flaga z czaszką, i pomyślał, że to będzie niezapomniana impreza urodzinowa.

Z tym przekonaniem wszedł do biura. Zaczepił jedną z młodych pracownic, która właśnie przecinała hall. Wysoka brunetka w koszulce instruktora wskazała mu drzwi kierownika klubu.

– Właściwie nie jestem pewien, czy mogę z panem rozmawiać – mówił ściszym głosem łysiejący mężczyzna z nalaną twarzą, który zajmował miejsce za biurkiem. – Ale skoro to pana narzeczona, to chyba mogę to uznać za okoliczność łagodzącą.

– Bardzo panu dziękuję – w głosie Redferna dźwięczała szczerza wdzięczność. – Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, kto miał klucz do bunkra.

– Od razu panu powiem, że nikt – odparł szczerze. – A właściwie nikt nie pamięta, kto go ma, bo bunkier jest nieużywany chyba od czasów wojny. Po prostu stoi zapomniany między siódmym a trzynastym dołkiem, czyli w dość ustronnym miejscu. – Wskazał na leżącą przed nim schematyczną mapkę pola. –

Kiedyś włamywały się do niego dzieciaki i łowcy przygód, ale jakoś im przeszło.

– Co robiliście po włamaniu?

– Zakładaliśmy nową kłódkę. Uprzednio sprawdzając, czy nikogo nie ma w środku – zapewnił z łobuzerskim uśmiechem. – Pole jest dostępne dla spacerowiczów. Każdy może tu przyjść, chodzić po wyznaczonych ścieżkach, a nawet rozłożyć się z kocem.

– Ale sam pan przyznał, że bunkier jest dość oddalony od oczu postronnych.

– Tak, chyba niewiele osób go zauważy.

– Mówił pan policji, że widział kogoś w okolicy bunkra.

– Wracałem akurat od naszego sąsiada, pana Macka, którego ziemie graniczą z polem wzdłuż Turnoak Avenue. – Kierownik wodził palcem po mapie wzdłuż kremowych linii ścieżek. – Jakby pan szedł od klubu w stronę oczyszczalni ścieków, o tędy, toby pan z pewnością trafił.

Redfern doskonale znał to miejsce. Mijał je, gdy spieszył na ratunek Marcie, ale wtedy nie zwrócił uwagi na pogrążony w ciemnościach dom. Przeszło mu przez głowę, że właściciel mógł widzieć znacznie więcej niż kierownik.

– No w każdym razie – mówił dalej – na terenie jego posiadłości rozpoczyna się poważny remont, łącznie z czyszczeniem strumienia Hoe, więc ustalaliśmy szczegóły i nasz udział w pracach przy rzeczce. Wracałem jakoś po południu i zauważyłem idącego wzdłuż ścieżki mężczyznę, który prowadził pod rękę kobietę. Miała chyba brązowe włosy, w każdym razie kręcone – podkreślił. –

Moją uwagę przykuł jednak sposób, w jaki się poruszała – kulą albo była pod wpływem alkoholu.

Redfernem wstrząsnął zimny dreszcz. Wyobraził sobie otumanioną Martę prowadzoną przez Palacza.

– Zapamiętał pan coś z wyglądu mężczyzny?

– Już mówiłem policji, że jedyne, co z pewnością mogę stwierdzić, to to, że był wysoki, miał jasne włosy, ale oboje byli za daleko, by rozpoznać twarz. Miał na sobie ciemnoniebieską kurkę i ciemne spodnie, ale widziałem go tylko przez chwilę w świetle lampy, więc kolory mogły mi się pomieszać. Na pewno miał czapeczkę, taką bejsbolówkę. To wszystko.

– Szli od strony pola czy od posiadłości?

– Ani od klubu, ani od Turnoak Avenue. Musieli iść od Pyrford Common, jest tam mało używana droga, biegnie brzegiem pola i wylatuje w Old Woking. Nie mam oczywiście pewności – kierownik lekko się wycofał. – Natomiast jestem pewien daty i godziny. To był wieczór siedemnastego października.

– Doskonała pamięć – pochwalił Redfern, zastanawiając się, co działo się z Martą między chwilą, kiedy pojawiła się na lotnisku piętnastego a dniem, o którym mówił mężczyzna. Z obliczeń inspektora wynikało, że Palacz musiał ją gdzieś przetrzymywać ponad dobę.

– Nie pamięć, ale skrupulatność. – Poklepał leżący przed nim kalendarz książkowy, po czym otworzył go na odpowiedniej stronie i wskazał przy dacie zdanie o spotkaniu.

Redfern podziękował za informacje i poświęcony czas. Wyszedł na parking, ale zamiast wsiąść do samochodu, ruszył w dół pola, w stronę Turnoak Avenue.

Po drodze spotkał tylko parę wiewiórek zawzięcie szukających zakopanych w ziemi żołądzi. Idąc wzdłuż ścieżki zdał sobie sprawę, że światło dnia tylko obnażyło pustkę i martwość tego miejsca. Zastanawiał się, czy zajrzeć do bunkra, ale doszedł do wniosku, że wszystko, co mogłoby wniesć cokolwiek do sprawy, przejęła grupa dochodzeniowa.

Po kilku minutach marszu doszedł do szerszej, wysypanej jasnymi kamykami drogi, skręcił w nią i zobaczył w dole ceglana willę. W miarę zbliżania się do niej zachodził w głowę, jak to się stało, że biegnąc w nocy do bunkra, nie zauważył tak okazałego budynku. Z tą myślą minął linię starych drzew i wyszedł na podmokłą polanę, na której ktoś spacerował z psami.

Redfern przyspieszył kroku i po chwili znalazł się przy prostych drewnianych drzwiach. Zapukał, ale odpowiedziała mu tylko cisza.

– Pan chyba do mnie? – usłyszał za sobą kobiecy głos. Odwrócił się i zobaczył szczupłą kobietę w towarzystwie dwóch chartów, ubranych w kurteczki w szkocką kratkę.

– Pani tu mieszka? – zapytał.

– Tak. Nazywam się Bethany Mack.

Macbeth, Redfern na szybko złożył personalia kobiety i uśmiechnął się w duchu.

– Inspektor David Redfern – przedstawił się krótko. – Chciałbym zapytać panią o...

– O tę biedną dziewczynę, którą znaleziono w bunkrze? – dokończyła i zapięła smycz obu psom.

– Właściwie to ja ją znalazłem.

– Mój mąż już odpowiadał na państwa pytania – odparła bez emocji.

– Wiem, ale każdy szczegół może być decydujący – powiedział. – Dowiedziałem się, że tego popołudnia, w którym spotkali się państwo z kierownikiem pola, widział on mężczyznę i kobietę idących wzdłuż drogi. Przebiega ona na granicy państwa ziemi.

– Tak, i w tej części to nasza droga, zamknięta od strony Pyrford Common bramą.

– Możliwe, żeby ktoś miał do niej dostęp? Ktoś z państwa znajomych?

– Obawiam się, że nie. – Pokręciła bezradnie głową i pogłaskała jednego z chartów. – Ale coś panu powiem. Aston i Martin uwielbiają spacerować, więc właściwie więcej czasu spędzam na dworze niż w domu – wyznała. – Wiem, że mąż mówił policji, że widział wysokiego blondyna albo rudego w okolicach bunkra, ale mnie przypomniało się jeszcze coś innego.

Redfern napiął się w oczekiwaniu.

– Mam wrażenie, że kręcił się tam jeszcze ktoś – oznajmiła głosem wysyconym tajemnicą. – Na drugi dzień po spotkaniu z kierownikiem zauważyłam na ścieżce mężczyznę w kapturze. Z pewnością nie był to ten sam człowiek, który przyprowadził kobietę do bunkra. Ten, którego widziałam, był dość niski, korpulentny i zakapturzony. Pomyślałam nawet, że to ktoś z tych urbexów, czy jak to się nazywa, bo miał plecak i chyba latarkę. Skręcił w stronę bunkra. Pewnie nie zwróciłabym uwagi na tego człowieka, ale Aston niespodziewanie szarpnął za smycz i warknął, co zdarza mu się tylko w obecności palacza – oświadczyła i spojrzała na szarego psa. – A my nienawidzimy palaczy, prawda, Astusiu?

My też, pomyślał Redfern i pożegnał się.

Wsiadając do samochodu, myślał o tym, co usłyszał od Siwiaszczyka, a co wreszcie dobrało się w parę z rzeczywistością – napastników było dwóch. Dwóch mężczyzn pracowało na to, by wywrócić życie Redferna. Dwóch, których połączyła nienawiść na tyle silna, by wspólnie zaplanować zemstę i zamachnąć się nie tylko na życie inspektora angielskiej policji, ale i na jego

bliskich. Jeśli znajdzie moment, w którym przecięły się ścieżki jego i tej dwójki, uzyska odpowiedź na wszystkie pytania.

*

Nie był przekonany, czy ma siłę na kolejny sparing z towarzystwem, które mundur policyjny najchętniej widziałoby w ognisku. Ostatecznie uległ prośbie sierżantki Winter i obiecał przepytac Lizzie McPherson, tym bardziej że właśnie był w Old Woking. Prześledził uważnie instrukcje dojazdu do domu samotnej matki i ruszył z parkingu klubu golfowego. Po kilku minutach jazdy wąską Palace Way jego oczom ukazał się rozległy plac zabaw, na którym szalało kilkoro dzieci w różnym wieku. Z ławeczek wokół wąskimi strużkami sączył się w powietrze niebieskawy dym, na początku którego zauważył kilka młodych osób. Minął je i skierował się w stronę domu samotnej matki wskazanego przez Summer jako miejsce pobytu kobiety, która zabrała wisiorzki z domu Anne Marie Sullivan. Ku jego zaskoczeniu drzwi były otwarte, chociaż zamknięcie ich raczej niewiele by zmieniło w natężeniu hałasu, jaki płynął z domu. Z kakofonii na szybko wydestylował płacz dziecka, krzyk kilku osób i muzykę w stylu rap, chociaż nie był pewien, czy dwa ostatnie nie stanowiły jakiejś spontanicznie aranżowanej całości. Uznając pukanie za daremne, wszedł do środka i zawołał. Z pomieszczenia z prawej strony wychynęła ciemnowłosa dziewczyna.

– Co tam, kolego? – rzuciła zaczepnie. – Zgubiłeś się?

– Szukam Lizzie McPherson.

– A pewnie na placu zabaw siedzi z dzieciakami – zaskrzeczała i schowała się.

Redfern wyszedł na dwór i spojrzał w stronę ławeczki. W ramach wewnętrznego hazardu obstawiał, że szukana kobieta będzie drugą od lewej, w grubej różowej kurtce, odsłaniającej nerki i kolorowy tatuaż. Nie pomylił się.

– Bywała pani w domu Anne Marie Sullivan – powiedział, kiedy przebrnęli przez wszystkie przepychanki, a przyjaciółki uznały, że powinny się oddalić, zostawiając tylko jedną przyzwoitkę.

– Bartley Sullivan był pani chłopakiem.

– Chciałby! – prychnęła i wypuściła chmurę dymu.

– Nieważne. Wiem, że to pani zabrała biżuterię z domu Sullivanów – mówił z naciskiem.

– Stare dzieje. – Machnęła ręką, a z trzymanego przez nią papierosa posypał się popiół, który osiadł na jej ciężowym brzuchu. – Myślałam, że to jest coś warte, a to zwykłe blaszki z kamyczkami były. W sumie szmelc totalny.

– Ale co się z tym stało?

- A bo ja wiem? Wyrzuciłam w cholerę.
 - Panie, ona to wszystko zniosła do *charity shopu* i tyle – odezwała się koleżanka. – A prosiłam, żeby nam zostawiła, jak się wyprowadzała.
 - Zamknij się – jazgotała. – Wszystko musisz wypaplać. Zniosłam, bo nie było co z tym całym gównem zrobić, a musiałam się stąd wynieść. – Pokazała brodą budynek za nimi.
 - Ale wróciła pani?
 - Kątem pomieszkuje – wtrąciła w ciszę blondynka. – Jaka to z niej młoda matka – wybuchnęła niewybrednym śmiechem.
- Przyjrzał się twarzy Lizzie, która pod grubą warstwą makijażu próbowała ukryć, że właściwie dopiero rozpoczyna dorosłe życie. Sądząc po gładkiej skórze, Redfern pomyślał, że może zbliżać się do pierwszej ćwiartki. Wzdrygnął się, że dziewczyna musiała tu trafić, mając nie więcej niż czternaście lub piętnaście lat.
- Mówiłam ci, żebyś zamknęła jadaczkę – warknęła i wymierzyła koleżance kuksańca.
 - Który to był *charity shop*? – dopytał inspektor, czując, że coraz bardziej męczy go towarzystwo wulgarnych ludzi.
 - Najbliższy – bąknęła Lizzie.
- Więcej nie potrzebował wiedzieć. Rzucił krótkie pożegnanie i pobiegł w stronę samochodu.

Dzięki niedawnej wizycie w dzielnicy Kingfield i poszukiwaniom pralni Redfern doskonale wiedział, gdzie jechać. Tym razem nie musiał staczać bitwy o miejsca parkingowe ani z matkami, ani z uczniami i zostawił auto pod samym sklepem Sainsbury.

Wnętrze *charity shopu* wypełniały dwie podobnie irytujące rzeczy – stara muzyka i zapach stęchlizny wymieszany z aromatem czegoś, co mogło być równie dobrze środkiem piorącym, co środkiem do dezynfekcji. Wieszaki sklepu stanowiły miks stylów i kolorów, a półki ugięły się pod ciężarem zabawek, książek i wszelkiej porcelany. W głębi niewielkiej sali, po lewej stronie Redfern zauważył siedzącą za przeszkloną ladą staruszkę skupioną na układaniu biżuterii w witrynie. Zerknął na wystawkę w złudnej nadziei zobaczenia znajomych wisiorów.

- W czym mogę pomóc? – zapytała kobieta, podnosząc wzrok.
- Właściwie to trudno powiedzieć.
- Tutaj można znaleźć nawet to, czego się nie szukało. – Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Chodzi mi o coś takiego. Możliwe, że trafiło do państwa około dekadę temu. – Położył przed staruszką wydruk, który od ciągłego rozkładania i składania zaczął przypominać stary bilet autobusowy. Kobieta założyła okulary i przyjrzała się obrazkowi. Przez chwilę wyglądało na to, że coś sobie przypomina. Pokręciła jednak przecząco głową.

– Niestety. Nawet gdyby coś takiego pojawiło się w naszym sklepie, to nie sposób zapamiętać każdy drobiazg, choć ten nawet wydaje mi się znajomy. W moim wieku wiele rzeczy się zaciera w jedność i albo wydaje się znajome, albo zupełnie obce.

Redfern postanowił skorzystać z okazji i zrobić zakupy w spożywczym. Rano zauważył, że Siwiaszczyk rozbija ostatnie jajko, a w lodówce zaczyna brakować warzyw. Wszedł do sklepu, wziął koszyk i krążył alejkami, zastanawiając się, co jeszcze mogłoby wzbogacić dzisiejsze menu. Rozczarowany kolejnym martwym punktem, nie mógł się skupić na zakupach. Z krótkiej lady chłodniczej machinalnie wybrał kurczaka i przeszedł na dział z zieleniną. Stał między skrzynkami z papryką i ziemniakami, gdy doszedł go znajomy głos.

– Czy wchodził tu taki wysoki kawaler w czarnej kurtce? Widzę jego samochód, więc pomyślałam, że go tu znajdę – kobieta mówiła z przejęciem.

– Chyba tak – odparł jakiś mężczyzna. – Pani wejdzie i poszuka.

Redfern wychylił się z alejki, stając niemal twarzą w twarz z kobietą z *charity shopu*. Jej policzki nawiedził silny rumieniec, a oczy błyszczały z radości.

– Panie komisarzu, przypomniałam sobie, gdzie widziałam ten wisiołek albo raczej jego połówkę.

*

Inspektor siedział na zapleczu sklepu i przysłuchiwał się rozmowie Summer Winter z Mildred Wardil. Staruszka najwyraźniej ucieszona tym, że znalazła się w centrum uwagi, chętnie odpowiadała na pytania.

– Nie poznałam go od razu, ale sama pani rozumie, że upłynęło tyle lat, że stary umysł może już zamykać pewne szufladki – z wyczuciem dobierała słowa.

– Ale jest pani pewna nazwiska dziewczyny? – upewniała się Summer, nie mogąc ukryć podniecenia.

– Oczywiście, moja droga. Poza tym można to sprawdzić, bo Woking Hospice ma rejestr wolontariuszy. Choć w sumie wcale nie trzeba ich pytać, bo sama prowadzę taki dziennik. – Wstała z taboretu i lekko utykając, podeszła do starego regału, z którego wyciągnęła brulion. Usiadła i rozłożyła go na kolanach.

Przekładała kartkę po kartce, raz po raz zwilżając palec językiem. Wreszcie zatrzymała się na jednej ze stron.

– O, tu! – Wskazała na zapisaną równym pismem datę i odnośnik i przeczytała powoli. – Ellie Maxwell. Od września dwa tysiące trzeciego do sierpnia dwa tysiące czwartego. To ona nosiła taki wisiołek na rzemyczku – zapewniła. – Przemiłe dziecko, naprawdę. Myślę, że wszystko wam opowie o tej błyskotce.

Redfern nie miał sumienia mówić kobiecie ani o tym, że przemiłe dziecko przywłaszczyło sobie podarowaną sklepowi biżuterię, ani tym bardziej o tym, że Ellie Maxwell nie żyje.

– A właściwie dlaczego tak bardzo interesuje was ten wisiołek? – kobieta zaciekawiała się nagle, sprawiając, że inspektor napiął się jak struna.

– Rozpracowaliśmy szajkę złodziei i między innymi znaleźliśmy to serduszko w ich dziupli – Summer zdawała się mieć skrojone kłamstwo, jeszcze zanim przyjechała do Kingfield. – Teraz staramy się odnaleźć właścicieli łupów.

– Ale jak pan trafił do mojego sklepu? – przyszpiliła Redferna pytaniem.

– To już tajemnica śledztwa, proszę pani – odparł formalnie.

Stali na ulicy, nie zważając na kapiący im na głowy deszcz. Summer promieniała zadowoleniem.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować – westchnęła. – Ja bym dawno odpuściła ten szmelc. Tym bardziej, że Ted znalazł jakieś stare złamanie nogi czy coś. Poza tym ten brak zębów. Chciałam się tego ucześcić.

– Jeszcze nie mamy pewności, że to naprawdę twoja NN. Potrzebny ci będzie materiał porównawczy od rodziny – poinstruował ją i spojrzał tęsknie w stronę auta. Zimno i deszcz zaczynały mu przeszkadzać.

– Pojedziesz ze mną do nich? – poprosiła, wykorzystując pauzę w rozmowie.

– Przeginasz.

– To ostatnia rzecz, o jaką cię proszę, obiecuję.

– Akurat – zaśmiał się i odszedł, zostawiając Summer bez odpowiedzi, która wydała się obojgu oczywista.

Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i odjechał w stronę szpitala.

Zmęczony całym dniem, zaparkował pod samym wejściem, rezygnując ze spaceru. Musiał oszczędzać siły na przechadzkę z Banditem, a czuł, że zostało mu ich bardzo niewiele. Ukłonił się lekko recepcjonistce i ruszył do windy, która ku jego uldze nie kazała na siebie długo czekać.

Błękit jarzeniówek drażnił zmęczone oczy, kiedy David mijał kolejne prostokąty drzwi. Doszedł do końca korytarza, pchnął skrzydło tych prowadzących do sali, w której leżała Marta. Zatrzymał się w progu, czując, że coś jest nie tak. W pierwszej chwili nie dotarło do niego, co konkretnie nie pasuje do obrazka, a kiedy się zorientował, dopadł do łóżka i nacisnął przycisk wzywający pielęgniarkę.

*

Pielęgniarka wodziła wzrokiem za Redfernem, gdy ten chodził nerwowo po sali. Wiedział, że wyładowanie złości na tej kobiecie nie przyniesie odpowiedzi na żadne z jego pytań. Wciąż zadawał następne. Nie mógł uwierzyć, że Palacz zaryzykował przyjscie do szpitala i zostawienie kolejnego śladu.

– Muszę wiedzieć, kto je przyniósł. – Trzymał w rękach niewielki bukiet kwiatów. Wstrząsnął nimi tak, że kilka płatków opadło kolorowym deszczem na podłogę.

– Nie wiem. Znalazłam je po południu i myślałam, że przyniósł ktoś z rodziny. Wstawiłam je do wazonu – mówiła nerwowo.

– Ona tu nie ma nikogo poza mną – wyznał. – Możliwe, że odwiedził ją człowiek, który jej to zrobił. – Wskazał na opuchniętą, pokrytą żółtofioletowymi plamami twarz Marty.

Pielęgniarka zagryzła wargi i patrzyła przerażonymi oczami na pacjentkę.

– Ma pan przypuszczenie, że on naprawdę tu był? – spytała cicho.

– Nie przypuszczam, tylko mam pewność. Nikt poza mną nie wie, że pani Sokolińska przebywa w tym szpitalu – mówił z naciskiem. – Chciałbym zobaczyć monitoring.

– Mamy tylko w głównym hallu i w windach.

– Przejrzę wszystko.

– Obawiam się, że bez nakazu nie będzie to możliwe – oznajmił lekarz, który właśnie wszedł do pokoju. – Czy mogę wiedzieć, co tu się wydarzyło?

– Prawdopodobnie sprawca przyniósł kwiaty pani Sokolińskiej – pielęgniarka wyprzedziła Redferna.

Mięśnie na twarzy starszego mężczyzny zarysowały się mocnymi pręgami pod cienką skórą. Spojrzał na Redferna, który zaprezentował mu bukiet.

– To nie mógł być nikt inny – inspektor powiedział na granicy wybuchu.

– Rozumiem pana zdenerwowanie – lekarz odchrząknął. – Ale musi pan też zrozumieć, że obowiązują nas procedury. Wie pan, co by się stało, gdybyśmy ot tak każdemu pozwalali przeglądać monitoring? Tu są chorzy ludzie, a my musimy dbać o ich prywatność ze szczególną troską.

– Postaram się o nakaz – Redfern spasował.

Nawet nie zamierzał dyskutować z racją lekarza ani też uciekać się do sztuczek. Mógł to załatwić tylko drogą oficjalną, choć ta wydawała się zarośnięta cierniami nieufności.

Wrócił do domu skołowany i wściekły. Bez słowa zapiął Banditowi szelki i ruszył w noc, która dziś wyjątkowo nie miała w pakiecie ataków lodowatej furii. Korzystając ze sprzyjającej aury, postanowił rozchodzić złość inną dłuższą trasą i iść na niewielki zieleńiec okolony Windsor Way.

Wiedział, że nie może rozcieńczyć swojego strachu rozmową z Siwiaszczykiem. Po chwili rozważań stwierdził rozżalony, że w zasadzie nikomu nie może powiedzieć o tym, co zdarzyło się w szpitalu.

Powinien zadzwonić do Bente Hansen i zdobyć nakaz, ale nie znajdował słów, w które miałby ubrać prośbę. Mógł też zgłosić się do prowadzącego dochodzenie w sprawie uprowadzenia Marty. Tyle tylko, że od pewnego czasu nie mógł patrzeć na Zhenga i podejrzewał, że z wzajemnością. U komendanta Knighta miał wilczy bilet, a McMahon tylko czekał, by Redfern poprosił o pomoc. Nie mógł dać mu tej satysfakcji.

Jedyna osoba, której – jak mu się wydawało – może w tej sytuacji zaufać, stała na skraju załamania nerwowego, a on nie miał do niej dostępu. Zganił się w myślach, zdając sobie sprawę, że powinien się skupić na pomocy Lindzie, a nie obciążać kolejnym stresem.

Pogrążony w rozważaniach nie zauważył, że doszli do parku. Grzeczny dotąd Bandit wyrwał do przodu na widok wolnej przestrzeni. Redfern nie miał sumienia dłużej prowadzić go na smyczy, zwolnił więc zaczep i puścił psiaka wolno.

Kiedy chował smycz do kieszeni, zadzwoniła komórka.

– Wiem, że jest późno – rozpoczęła tajemniczo Summer. – Ale mam dobre wieści.

– Chociaż ty jedna – mruknął.

– Trafiłam na kiepski moment?

– Nie, na idealny moment na dobre wiadomości – usiłował bagatelizować swój zły nastrój. Gwizdnął na Bandita, którego mimo lampki przypiętej do szelek stracił z pola widzenia.

– No więc umówiłam się na widzenie w The Priory – ciągnęła sierżantka. – Przedstawiłam się jako siostra Lindy i mam się z nią spotkać jutro w południe.

– A zatem doskonale wstrzeliłaś się w chwilę – podsumował podbudowany Redfern. – Zaczniemy dzień od wizyty u Maxwellów, a potem skoczymy do kliniki.

– Nie u Maxwellów, ale u Hollandów – poprawiła go Winter. – Pani Maxwell po śmierci męża wyszła za mąż za hrabiego Essex.

– Widzę, że nie próżnujesz – przyznał z uznaniem i spojrzął na zegarek, którego wskazówki prawie opuściły zachodnią flankę.

– Nie mogę być gorsza od ciebie – odparła.

– Nie możesz być gorsza od kogokolwiek – dogryzł jej, na co roześmiała się szczerze. – Przygotuj się na naprawdę niezłą akcję – dorzuciła, po czym umówili się na niedzielny poranek i życzyli sobie dobrej nocy.

Redfern rozejrzał się nerwowo za Banditem, zawołał go kilka razy, ale pies nie wracał. Inspektor wbiegł między zatopione w czerni drzewa, czując, jak krew zaczyna mu szumieć w uszach. Chodził od jednego końca skweru do drugiego, aż pod jednym z krzaków zobaczył mrugającą lampkę. Z nadzieją przyspieszył kroku, jednak w miarę jak zbliżał się do źródła światła, zdał sobie sprawę, że na mokrej trawie leżą już tylko szelki. Podniósł je i wszystko podeszło mu do gardła.

Nagle usłyszał za sobą szelest liści. Odwrócił się i w ciemności zobaczył leżący na ziemi znajomy kształt, na widok którego szepnął:

– To niemożliwe...

22.12.2013 r., niedziela

Obudził się na lekowym kacu, który drażnił żołądek i osadzał się na skórze drapiącą powłoką. Była to cena za nocne szorowanie Bandita w wannie. Do teraz zdawało mu się, że czuje na sobie woń zdechłego ptaka, w którym wytarzał się szczeniak.

– Całe szczęście, że miałeś na tyle przyzwoitości, by się rozebrać przed tą małą higieniczną kąpielą – perorował Redfern, podnosząc się z łóżka. – Opowiem wszystko Marcie, zobaczysz, zbóju.

Bandit położył uszy po sobie i łykał na niego, podnosząc raz jedną, raz drugą rudą brew. Biała końcówka ogona ubijała niewidzialnego kotleta na podłodze, ale szczeniak nie miał odwagi podejść do Davida. Oblizywał się tylko, jakby łykał kwaśny smak wstydu.

A było się czego wstydzić. Kąpiel przebiegała z niezwykle dynamiką. Zaczęło się od kompletnego braku współpracy ośmiu kończyn. I tak przednie łapy postawione na brzegu wanny nie chciały poczekać, aż Redfern wsadzi pozostałe dwie do środka, z kolei gdy tylne łapy znajdowały się już w wannie, to zaraz przednie okupowały brzeg, a te drugie odbijały się od dna, celem dezercji i udania się na z góry upatrzone pozycje. W pewnym momencie Redfern miał wrażenie, że jest bardziej mokry niż przedmiot kąpieli, a z całą pewnością bardziej mokra była podłoga. Cały ten spektakl został oprawiony muzycznie czymś pomiędzy jodłowaniem, murmurando a partią *Vissi d'arte*, co obudziło Siwiaszczyka, a także zapewne kilku rezydentów muzułmańskiego cmentarza Piece Garden.

Redfern musiał teraz wysłuchiwać niewybrednych komentarzy i zupełnie niecelnych instrukcji stojącego w progu dziadka, który zanosił się od śmiechu, widząc wnuka i psa w pozamienianych rolach.

W końcu grubo po północy wszyscy panowie wylądowali w swoich łóżkach, przy czym tylko jeden zasnął snem sprawiedliwego, rozdzierając noc przeraźliwym chrapaniem. W tym czasie Bandit postanowił zadośćuczynić swojej zbezczeszczonej sierści i całą noc przemierzał językiem każdziutki jej kędzior. Natomiast Redfern wsłuchiwał się w każde mlaśnięcie, modląc się, by ten koncert wreszcie dobiegł końca.

Wstał i pogłaskał pieska po głowie, po czym razem poszli do kuchni zrobić śniadanie – jajka na boczku, fasola, smażone pieczarki oraz tosty. Zapach wyciągnął z łóżka Siwiaszczyka, który dziś wyjątkowo nie wstał z kurami. Przywitał się, ziewając przeciągle i usiadł przy stole. Redfern ustawiał już talerze i szklanki z herbatą.

– A kto tu jest taki elegancki? – Bohdan zwrócił się do pieska, który już czekał w pogotowiu, by wysprzątać podłogę po śniadaniu. – Należała ci się ta kąpiel jak psu micha.

– Ale nie o północy – skomentował kwaśno Redfern.

– Bambiemu to akurat nie zrobiło różnicy.

David chciał się oburzyć, że jemu owszem, zrobiło, ale znajdując się niżej w hierarchii ulubionych wnuków, dał sobie spokój i słuchał dalej peanów pod adresem kudłatego łobuza.

– No zobacz, jak mu pięknie lśni sierść – zachwycił się Siwiaszczyk. – Dobrze, że ta Marta pomyślała i w wyprawce dała też szampon, bo byśmy musieli go wymyć w paście BHP.

– W czym? – zdziwił się Redfern.

– No taka pasta do czyszczenia wszystkiego – smaru na rękach, plam na ubraniach roboczych.

– Ale skąd to BHP?

– Bezpieczeństwo i Higiena Pracy – dziadek rozwinął skrót.

Redfern patrzył na dziadka zdezorientowany, analizując słuszność nazwy środka piorącego.

– No dobra, niech będzie Biały Jeleń. To powinieneś znać. Zresztą jeden pies, to znaczy detergent – machnął ręką z irytacją.

– Biały Jeleń – David powtórzył z wolna. – Jeleń to ja byłem, że się zgodziłem na tego tutaj. – Wskazał palcem na mokry nochal.

– Ale nie biały – Siwiaszczyk wybuchnął śmiechem, a Redfern prawie spadł z krzesła, kiedy zdał sobie sprawę z dwuznaczności żartu. Dziękował niebiosom, że pośród całego syfu, jaki go otaczał, miał wyspę, na której zawsze mógł odpocząć i poobcować z rewelacyjnym sarkazmem.

*

Redfern nie wiedział, czy to świadomość niedzieli, czy też zadowolenie z dobrego humoru dziadka sprawiły, że zwolnił, pokonując drogę do Ripley. Miał czas, by przyjrzeć się śpiącym na łąkach strzępom mgły, których grzywy cesały grzebienie promieni słonecznych. Ich złote zęby wczepiały się w białe kołtuny, budząc drzemiące pod nimi ptactwo.

– Udało ci się cokolwiek ustalić? – zwrócił się do Summer, która podobnie jak on obserwowała poranny spektakl.

– Ted się spisał – pochwaliła patologa. – Sprawdził w szpitalu Ellie Maxwell i faktycznie dziewczyna miała złamanie kości piszczelowej, które odpowiada temu znalezionemu na szkielecie. Wszystko wskazuje na to, że trafiliśmy.

Niespodziewanie nawigacja oznajmiła, że są na miejscu.

Wjechali więc przez bramę, którą stanowiły połączone łukiem dwie ceglaste wieże, z których każda mogła robić za całkiem niezły jak na Surrey dom. Sunęli jasną drogą, która odbiła ciasnym łukiem w prawo, by przejść w wijący się pod szpalerem nagich drzew tunel. Jechali powoli, chłonąc krajobraz. Po kilkuset metrach zamiast willi, wyłonił się uroczy kamienny mostek przepasający strumień.

– A myślałam, że posiadłość Stanleyów to był wypas – odezwała się Summer, gdy mijali kolejną idealnie przyciętą rzeźbę z krzaków tui, a za nią basen, kort i park, w którym spacerowały jelenie.

– Surrey potrafi zaskoczyć – przyznał Redfern, również nie mogąc wyjść z podziwu dla Dunsborough Park. Hrabia Essex miał nie tylko pieniądze i rozmach, ale też wyczucie stylu. Nic w tym krajobrazie nie uwierało, przechodząc z jednej gładkiej, doskonale zielonej płaszczyzny w drugą. Wyważona elegancja, która miała robić skromne, ale niezatarte wrażenie. Jednak kiedy dojechali do ogrodu, Summer westchnęła z zachwytem. Centralną część stanowił niski labirynt wycięty z żywopłotu, którego przerwy wypełniały kwitnące zimą ciemierniki, fioletowe powojniki i cyklameny. Redfern ucieszył się, że widok pomógł koleżance zrelaksować się przed najtrudniejszym w życiu policjanta egzaminem. Takim, którego przecież nikt nigdy nie zdał. Wiedział, że nie może jej towarzyszyć, a tym bardziej pomóc.

Zaparkowali w rogu podjazdu, a właściwie wielkiego, okolonego drzewami parkingu. Winter wysiadła i ruszyła w stronę willi. Redfern został przy samochodzie z zamiarem rozejrzenia się po posiadłości i nacieszenia oczu.

Patrząc na pasące się w oddali zwierzęta, kątem oka zauważył, że sierżantka zatrzymała się w połowie chodnika, zamierając niczym posąg. Nagle odwróciła się i spojrzała na inspektora. Jej usta zmieniły się w wąską kreskę, a oczy wypełnił niepokój.

– Nie dam rady tam wejść. – Pokręciła głową zrezygnowana. – Nie po tym, co się stało u Wolańskiej.

– To z pewnością nie będzie wyglądało tak samo – zapewnił ją. – Myślę, że Camilla Maxwell przygotowywała się na tę wizytę od lat – starał się tak gęsto układać słowa, by ze szczelin nie wyciekło kłamstwo.

Wiedział, że w takich momentach nie byli policjantami, ale katami, którzy jednym słowem ścinali nadzieję, a im starszą, tym twardszą. Zdawał sobie sprawę, że ostrze prawdy natrafi na opór. Bowiem Camilla Maxwell wcale nie poukladała sobie życia po stracie córki, nie ukoła serca. Każdego wieczora kładła się spać z modlitwą na ustach, by jej dziecko miało dach nad głową, który nie będzie czarną ziemią gdzieś w lesie.

Mimo początkowego postanowienia, Redfern zdecydował, że jednak pójdzie z Summer do dotkniętej tragedią rodziny.

W progu stanęła kobieta, którą Redfern spotkał w świetlicy miasteczka. Surowość jej rysów podkreślały upięte wysoko siwe włosy i uwieszony na długiej, pomarszczonej szyi naszyjnik z czarnych pereł oraz prosta garsonka w tym samym kolorze. Redfern z goryczą musiał przyznać, że wyglądała jakby uczestniczyła w uroczystości pogrzebowej. W ułamku sekundy zdał sobie sprawę, że załamana zniknięciem syna matkę będą musieli dodatkowo obciążyć makabrycznymi informacjami o córce.

– Camilla Maxwell? – upewniła się Summer.

– Tak, w czym mogę pomóc?

– Sierżantka Winter i inspektor Redfern z policji Woking. Czy możemy zająć pani chwilę?

Hrabina otworzyła szerzej drzwi i wpuściła ich do przestronnego hallu, wyłożonego ciężką kwiecistą tapetą i marmurem.

– Chodzi o mojego Deana? – zaatakowała, gdy tylko przekroczyli próg domu. – Znaleźliście mojego synka? Wiecie, że on ma ostrą astmę? Jeśli nie będzie brał...

– Nie, proszę pani – przerwał jej matowym głosem. – Znaleźliśmy pani córkę.

– Ellie? Dotarliście do Ellie? – Rozpromieniła się nagle. – Boże, co za szczęście! Gdzie ona jest? – Wspięła się na palce i wyjrzała za ramię Redferna. – W samochodzie?

– Proszę pani – przerwała jej Summer. – Przyjechaliśmy poinformować panią, że Ellie najprawdopodobniej nie żyje.

Kobieta spojrzała na nią przerażonymi oczami i złapała się za usta obiema dłońmi, przez które przenikał cichutki pisk. Zupełnie jak gdyby nic więcej nie było się w stanie wydostać ze zranionego wnętrza matki. Camilla Maxwell usiadła na stojącym pod ścianą szeszlunku i rytmicznie kręciła głową. Początkowy wysoki dźwięk przeszedł w szloch. Summer wyciągnęła dłoń, by pogłaskać kobietę po ramieniu, ale Redfern dał jej znać, by tego nie robiła. Przedłużająca się chwila nappełniała ich przeświadczeniem, że były to najcięższe momenty w ich pracy.

Nagle Camilla podniosła głowę.

– Jak? – Wbiła w inspektora zimne spojrzenie. – Jak to się stało? Niech pan, do cholery, coś powie! – jej głos odbił się od ścian i wrócił lodowatym echem.

– Jeszcze nie wiemy – odparł Redfern.

– Nie wiecie, ale ot tak przychodźcie mi powiedzieć, że moje dziecko nie żyje? A może to wcale nie jest ona, co? Może tutaj też jeszcze nic nie wiecie? – cedziła każde słowo. – Może to wcale nie jest moja Ellie? – Znow zatopiła twarz w ozdobionych dużymi pierścieniami dłoniach.

– Wszystko wskazuje na to, że to ona – odezwał się Redfern. – Będziemy oczywiście potrzebowali materiału porównawczego – nieudolnie starał się utopić zakłopotanie w sztywnych, policyjnych formułkach.

Nagle kobieta odsunęła dłonie od twarzy, która lśniła od łez, i spojrzała na nich zupełnie przytomnie. Jakby to, co przed chwilą usłyszała, było kiepskim żartem.

– Coś musiało się wam pomylić. Moja córka żyje i zaraz wam to udowodnię – oznajmiła, zerwała się z miejsca i pobiegła po schodach na górę. Przystanęła na przedostatnim stopniu i krzyknęła do policjantów. – Przysłała mi listy. Pokażę wam.

Redfern opuścił głowę i przyglądał się łączeniom marmurowych płyt. Słyszał ciche westchnienie stojącej obok Summer, ale nie chciał kłać żałoby pani Maxwell rozmową.

Znał ten schemat doskonale i wiedział, że zaraz po zaprzeczeniu strasznej prawdzie nastąpi wybuch gniewu, którego oni będą głównymi beneficjentami. Depresja swym czarnym płaszczem obejmie rodzinę zaraz po nim.

Z góry dochodziły ich szybkie kroki oraz trzask otwieranych szaf i szuflad. Chwila ciszy, a po niej tupanie, które z każdą sekundą narastało. Pani Maxwell zbiegła po schodach, trzymając w dłoniach kilka przesyłek.

– Proszę. – Podała je sierżantce.

Summer odwróciła koperty i przyjrzała się stemplom, ale nie mogąc się doczytać miejscowości, zapytała:

– Skąd są te listy?

– Z Glasgow. – Odebrała policjantce przesyłki i wyciągnęła z jednej z nich parę kartek. – Widzicie? Tutaj Ellie pisze, że wszystko jest w porządku, że dobrze jej się mieszka.

Redfern i Winter wymienili spojrzenia. Inspektor pochwalił w myślach Summer za skojarzenie targu koni z miejscem pobytu Ellie. Do Glasgow można było jechać właśnie przez Appleby. Coraz więcej klocków zaczęło wskakiwać na miejsce.

Przeglądali listy w milczeniu. Wynikało z nich, że dziewczyna dobrze się bawi na wyjeździe, gromadzi przyjaciół i wspomnienia. Redfern zastanawiał się, w którym momencie fascynacja nowym miastem przerodziła się w coś, co pchnęło Ellie w łapy śmierci.

Nagle usłyszeli szcęk klucza w zamku i do środka wszedł starszy mężczyzna w typie Kirka Douglasa. Sobowtór aktora zatrzymał się i spojrzał na nich zaskoczony. Raptem odzyskał rezon i zapytał beznamiętnie:

– Dean się znalazł?

– Nie, kochanie, Ellie – wyrwała się z odpowiedzią. – Ci policjanci twierdzą, że dziecko znalezione w szkole to nasza córka, ale to przecież niemożliwe, prawda? – desperacko szukała potwierdzenia w ustach męża. Łagodnie ujął ją pod łokieć.

– Kochanie, już to przerabialiśmy – oznajmił mąż Camilli. – Idź, proszę, na górę i odpocznij, a ja porozmawiam z państwem.

Błada niczym marmur kobieta skinęła głową i pożegnała się z policjantami. Kiedy zniknęła na piętrze, mężczyzna zwrócił się do Redferna.

– Przepraszam za żonę. Nazywam się Charles Holland, hrabia Essex. Czy mogą mi państwo wyjaśnić, co się właściwie stało?

– Obawiam się, że ciało znalezione w szkole w Ripley należy do Ellie Maxwell.

– Skąd to przypuszczenie? – Mężczyzna podszedł do wiszącego za Redfernem lustra i dotknął włącznik. Wielki kryształowy żyrandol rozproszył światło na mnóstwo srebrnych smug, które podkreśliły bladość i przygnębienie gospodarza.

– Po pierwsze, wskazuje na to znaleziona przy niej biżuteria – oznajmiła Winter. – A po drugie, Ellie złamała w dzieciństwie prawą nogę, co odpowiada uszkodzeniom znalezionym w szczątkach.

– W porządku. – Holland podniósł rękę, by przestała. – Czy znają państwo przyczynę śmierci? Kto za tym stoi?

– Jeszcze nie dysponujemy takimi informacjami – Redfern powstrzymał zbliżającą się serię podobnych pytań. – Potrzebujemy materiału porównawczego dla laboratorium – włosy ze szczotki, może ząb z dzieciństwa.

– Przygotuję. A co pan będzie robił w tym czasie?

W Redfernie zawrzało, ale ze względu na okoliczności wykrzesał z siebie resztki dyplomacji.

– Mogę pana zapewnić, że ta sprawa jest naszym priorytetem.

– Nawet jeśli nie, to uruchomię wszystkie koneksje, by tak właśnie się stało i mojego syna też znajdziecie – dokończył ostro. – A teraz państwo wybaczą, muszę jechać do kościoła. Moja żona raczej nie będzie w stanie mi towarzyszyć.

Otworzył drzwi i puścił policjantów przodem. Sam przekręcił klucz w zamku i zaczął schodzić po stopniach. Redfern czuł jego wzrok na plecach. Kiedy wszyscy stanęli na wybrukowanym podjeździe, inspektor nie wytrzymał i odwrócił się.

– Jak to się stało, że Ellie wylądowała nagle czterysta mil od domu?

– Lepiej niech mi pan powie, jak to się stało, że nagle wylądowała czterysta mil od miejsca, w którym ją ostatnio widziano.

Redfern poczuł, że napływający gniew podsuwa mu zestaw słów, których potem mógł co nieco żałować. Zdławił je w sobie i powiedział możliwie spokojnie:

– Musi mi pan coś dać, żeby sprawa ruszyła z miejsca. Dlaczego nie powiedzieliście policji, że wasze dziecko zaginęło? Dlaczego nie ma tego w raportach policji w Woking?

– Ponieważ zgłosiłem zaginięcie pasierbicy policji w Glasgow, ale oni rozłożyli ręce, twierdząc, że Ellie prawdopodobnie nie życzy sobie kontaktów z nami. Przeczą temu listy, które otrzymaliśmy od córki. Ostatecznie uznaliśmy, że policja może mieć rację, ponieważ ostatni list brzmiał jak pożegnanie. Ellie poprosiła w nim o paszport, a jak przyjechaliśmy, to mieszkanie było puste.

– Kiedy zatem ostatni raz widział pan pasierbicę?

Charles Holland zamyślił się.

– W maju, na chrzcinach Eve. Pamiętam, że spóźniła się do kościoła, ale z całą pewnością była już na skromnym przyjęciu w domu.

– A na pogrzebie pana Maxwella? – zdziwiła się Summer.

– Nie i proszę mnie nie pytać, dlaczego – odparł ostro. – Przyjaźniłem się z Haroldem i zupełnie nie rozumiem, dlaczego jego własna córka nie zdobyła się na ostatni gest wobec ojca.

Redfern pomyślał, że jako przyjaciel rodziny Charles Holland za szybko zajął miejsce zmarłego. Nie zamierzał jednak nic na ten temat mówić. Miał wiele okazji, by się przekonać, że wyższe sfery poruszają się po nieznanym mu gruncie, a zasad rządzących tymi ruchami zwykły policjant nie był w stanie pojąć.

– Przepraszam, ale ja naprawdę muszę już iść – oznajmił grzecznym tonem Holland. – Dziś moja córka gra w jasełkach w kościele św. Pawła i Piotra. Eve mi nie wybaczy, jeśli się spóźnię. Czy możemy się spotkać po południu i na spokojnie wszystko omówić?

– Myślę, że tak będzie najlepiej – zgodziła się Summer, choć Redfern nie był przekonany do propozycji hrabiego. Wolałby zaczekać na niego tutaj, co mogłoby przyspieszyć bieg sprawy. Mimo to pożegnali się i wsiedli do swoich samochodów – policjanci do triumpha, a Charles do bentleya.

– Powalona ta rodzina, nie sądzisz? – spytała Summer, gdy tylko zatrzasnęła za sobą drzwi auta, po czym wgrzyła się w pączka, którego wyciągnęła z torby. Jego zapach przypomniawszy Redfernowi, jak bardzo jest głodny.

– Nic mnie już nie zdziwi – odpowiedział i odjechał z parkingu. Ani most, ani szpaler drzew już nie wydawały mu się tak urocze jak godzinę temu.

– Ale sam popatrz. Harold Maxwell żeni się z Camillą, mając małe dziecko ze swoją niedawno zmarłą żoną. Po kilku latach rodzi im się wspólny syn, Dean, a potem znów mała Eve, po czym Harold popełnia samobójstwo, zostawiając Camilli na głowie całą trójkę. I nagle ni stąd, ni zowąd pojawia się podstarzały książe, znaczy hrabia, który ich przygarnia, daje tytuł i w ogóle bajka.

– A w międzyczasie znika najstarsze z dzieci i jakoś nikt się nie przejmuje – wyraził swoje wątpliwości Redfern.

– Może nie chcieli skandalu? – rzuciła w przestrzeń sierżantka, kończąc pączka. – Wiesz, jak to u nich działa.

– Wiem. Tak jak nigdy by nie zadziało w realnym świecie – podsumował Redfern i wyjechał na gminną drogę, której szarość przywróciła go do rzeczywistości, zupełnie jakby przeszedł przez króliczą norę.

*

Na Princess Road przywitała ich cisza, za co Redfern podziękował w duchu. Nie mieli zbyt wiele czasu, by przygotować Summer Winter na wizytę w klinice uzależnień, a udział dziadka wszystko by przedłużył. Zastanawiał się tylko, dlaczego Siwiaszczyk zostawił otwartą wodę kolońską i dlaczego nie zabrał ze sobą Bandita, który teraz bacznie obserwował oboje policjantów ze swojego legowiska.

– Jakby się tak przyjrzeć, to jesteś nawet do niej podobna – Redfern skomentował wygląd Summer, która przed lustrem siłowała się z rudą peruką, próbując upchnąć pod nią każdy z własnych niesfornych kosmyków.

– Akurat – prychnęła. – Wisisz mi duże piwo i kebab.

– Znalazłem ci twoją NN – bronił się David. Widząc, że przygotowania dobiegają końca, zaczął zakładać buty.

– Dobra, niech ci będzie. To tylko kebab. – Zbliżyła twarz do lustra i pociągnęła rzęsy tuszem, po czym upudrowała mocniej policzki i szyję.

– Denerwujesz się?

– A co takiego może się stać? – Sierżantka poprawiła włosy i odwróciła się w stronę mężczyzny. – Wezwą policję, przyjedzie jakiś patrol, pokażę im blachę i po sprawie.

– Dobrze podejście – skwitował Redfern i założył kurtkę.

Drogę do kliniki uzależnień pokonali w milczeniu. David zaparkował zaraz przy zjeździe z Chobham Road, wykorzystując kawałek rozjeżdżonej zieleni. Mógł wjechać głębiej, ale nie chciał ryzykować zauważenia jego auta przez pracowników kliniki.

– No to idę – rzuciła Summer i wysiadła.

Inspektor patrzył, jak po chwili znika za pierwszym zakrętem drogi prowadzącej do The Priory. Miał ogromną nadzieję, że fortel się uda i niedługo David otrzyma odpowiedzi, które przybliżą go do prawdy, a przede wszystkim upewnią, że Lindzie nic nie jest.

Wciąż wracały do niego ważne pytania. Co sprawiło, że Wall zaszyfrowała wiadomość dla niego? Czy wpadła na jakiś trop w sprawie Adriana Bonesa, a może była świadkiem czegoś w ośrodku i potrzebowała pomocy? Coraz częściej żałował, że uległ impulsowi i zostawił tam Lindę. W sumienie drapała go myśl, że celowo wybrał The Priory, by mieć dostęp do wnętrza, w których jego przyjaciel spędził ostatnie dni życia. A w momentach zwątpienia poważnie rozważał, by się ze wszystkiego wycofać, i tylko ściana rozsądku odgradzała go od zabrania stamtąd Lindy.

Spojrzał na zegarek, by sprawdzić, jak długo Summer Winter jest w klinice, ale to nie godzina, ale data wprawiała go w konsternację. Zostały dwa dni do Wigilii, a on nawet nie postarał się o prezent dla Siwiaszczyka, nie mówiąc już o choince, pierogach, barszczu i innych świątecznych artefaktach. Zewsząd napierały bożonarodzeniowe dekoracje, a w radiu jak co roku można było usłyszeć tylko George’a Michaela na zmianę z Mariah Carrey, przy czym jedno zniszczyło sobie święta miłością, a drugie dopiero zamierzało to zrobić. Mimo to Redfern nie czuł świątecznej atmosfery. Czerwień bombek i blask choinkowych lampek blakły przy dojmującym uczuciu, że w obliczu ostatnich wydarzeń nie jest w stanie cieszyć się z czegokolwiek. Zdawał sobie jednak sprawę, że dla Siwiaszczyka, dla którego święta były najważniejszym czasem w roku, musi się postarać o pozory normalności. A pierwszym krokiem ku temu będzie zakup prezentu.

Nagle przed maską stanęła Summer Winter. Pogrążony w myślach nie zauważył jej nadejścia. Rozpięła kurtkę i wsiadła do samochodu. Jej twarz pokrywał rumieniec, ale Redfern nie był pewny, czy spowodowany panującym na zewnątrz zimnem czy zdenerwowaniem. Domyślał się, że skoro sierżantka spędziła w ośrodku ponad pół godziny, to musiało się jej udać porozmawiać z Lindą.

– Widziałam się z nią – potwierdziła jego przypuszczenia.

– Jak ona się czuje?

– Jest trochę nieobecna, wygląda na bardzo zmęczoną, ale zdaje się mówić przytomnie – referowała Summer.

– Może powinienem ją stamtąd zabrać? – próbował rozwiać wątpliwości.

– Ona tego nie chce – Summer kategorycznie zaprzeczyła. – Powiedziała mi. Chce wykorzystać szansę, którą jej dałeś, i stanąć na nogi. Ona naprawdę znalazła się tam dzięki tobie?

Przytaknął, choć wiedział, że Winter oczekuje od niego rozwinięcia tej odpowiedzi. Uznał jednak, że jeśli komuś jest winny bezgraniczną lojalność, to Lindzie, a ona nie życzyłaby sobie, by komukolwiek opowiadała o okolicznościach, które doprowadziły ją do kliniki uzależnień.

– Mówiła coś jeszcze?

– Głównie o Bonesie i Woodzie. Powiedziała, że udało jej się dostać do biura dyrektorki, ale dokumentacja obu mężczyzn zniknęła.

Redfern westchnął zawiedziony, ale nie zaskoczony. Czuł, że właśnie tak się stanie, że ktoś skutecznie zaciera ślady, które mogłyby policję doprowadzić do mordercy obu mężczyzn. Bo nie miał wątpliwości, że Nathan Wood nie żyje.

– Nie przejmuj się – mówiła Summer. – Linda nie jest w ciemię bita. Wyobraź sobie, że włamała się do dawnego pokoju Bonesa i natrafiła na to. –

Winter wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni kurtki małą karteczkę zapisaną ciągiem znaków. – Linda powiedziała, że znalazła to wyryte w deskach od spodu łóżka Adriana. Myślisz, że to jakaś wiadomość?

Redfern wpatrywał się w symbol ATM, kiwając głową. Widział go już w dokumentach w komputerze Ronalda Rudda, ale tym razem obok nich pojawiło się coś jeszcze – 5W oraz niezrozumiały, przypominający płótek wzór. Inspektor usiłował sobie przypomnieć, czy cokolwiek podobnego przemknęło mu przed oczami w plikach porywacza Izy Wolańskiej.

– Linda dowiedziała się od pielęgniarek, że w pogłębionych stanach Bones rysował wyłącznie ten ostatni wzór. – Wskazała na tajemniczy kanciasty wężyk. – Nie wiem tylko, czy ma on jakiegokolwiek znaczenie.

– Nie mam pojęcia – przyznał szczerze. Zaczął się jednak zastanawiać, czy numer do osoby, która może coś na ten temat wiedzieć, ma zapisany w komórce czy też będzie musiał wrócić do domu i poszukać wizytówki. – A jak ogólne wrażenia? – przerwał ciszę.

– Poza tym, że Linda to silna babka, mogę powiedzieć, że bardzo się o ciebie martwi. Kazała mi przekazać, że masz na siebie cholernie uważać. Podkreśliła parę razy, że sprawa śmierdzi i że masz absolutnie nikomu nie ufać.

– Coś jeszcze?

– Udało mi się złapać tę Michelle Partner. Strasznie sucha baba – skomentowała wyniosłe zachowanie dyrektorki ośrodka. – Powiedziała, że jeśli

Linda będzie nadal robić postępy, to po świętach przywróci jej otwarte widzenia. Na razie zaleca odpoczynek i odcięcie od bodźców. Podziękowała mi, że przyjechałam, i poprosiła o kontakt z mężem Lindy. Może spróbujesz na niego wpłynąć?

– Nie wiem, czy jestem odpowiednią osobą do tego zadania – odparł niemrawo.

– Jesteś, jesteś. Na wszelki wypadek wzięłam numer do Marcusa Walla – powiedziała i wydobyła z kieszeni drugą karteczkę z zapisanymi cyframi.

– Dzięki, Summer. Spisałaś się.

– Nic wielkiego. – Uśmiechnęła się blado. – Jakie plany na dziś?

– Muszę zrobić świąteczne zakupy.

– Trochę późno – zauważyła.

– Gdyby ktoś nie zagonił mnie do roboty, to miałbym więcej czasu – odciął się. – A ty gdzie się dzisiaj bawisz?

– Obiecałam, że pomogę Tinneyowi w sprawie rzekomego zaginięcia Deana Maxwella, a skoro nie ma go mniej więcej od czasu znalezienia jego siostry, spróbujemy znaleźć wspólny mianownik. A potem powrót do posiadłości Hollanda.

– Też o tym myślałem, ale nie nastawiajcie się na proste rozwiązania.

– Dlaczego w twoich ustach brzmi to jak obietnica przygody?

Redfern nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że ani rutyna, ani upływ lat, ani tony przerzuconych papierów nie pozbawią go radości z pracy. Popatrzył na iskry w oczach sierżantki, które zapaliły w nim chęć do skorzystania z furtki uchylonej przed nią przez Knighta.

– Jak chcesz, po południu możemy razem zajrzeć do Maxwellów. Może mi się coś rzuci w oczy.

– Byłoby super – nie kryła radości. – A teraz co?

– Eso. – Uśmiechnął się i stuknął w zegar wskazujący, że triumph pilnie potrzebuje wizyty na stacji benzynowej.

Świąteczna zawierucha pogrążyła także West Byfleet, zmieniając ulice w jeden wielki korek. Redfern pożałował wycieczki, wyrzucając sobie, że mógł pojechać przez Old Woking i uniknąć drogowej katastrofy.

Ku jego zadowoleniu ogarnięci szalem zakupowym ludzie omijali dystrybutory i mógł szybko zatankować.

– Jakie plany na święta? – zagadnął, gdy wrócił do auta.

– Miałam jechać do mamy, ale zdecydowała, że poleci do siostry, do Francji. Może polecę z nią. A ty?

– Ja mam poznać dziewczynę dziadka.

– Dziewczyna dziadka brzmi fajnie. Uważaj tylko, żebyś jeszcze nie dorobił się nowego wujka – zażartowała.

– Weź przestań! – obruszył się Redfern.

– No co, Clint Eastwood został ojcem jak miał chyba siedemdziesiąt lat. – Poklepała go po ramieniu, szczerząc się.

– Jesteś niemożliwa – skwitował z udawanym niesmakiem i odjechał w stronę Woking.

Obawiając się kolejnego korka na East Hill, postanowił, że wróci przez Sheerwater. Redfern odruchowo zwolnił przed spaloną fabryką PCV i obserwował ogrodzone biało-niebieską taśmą pogorzelnisko, wzdłuż którego przechadzała się para policjantów. Najwyraźniej Knight zadbał, by nikt nie dostał się do miejsca makabrycznego odkrycia. Inspektor miał nadzieję, że uda mu się utrzymać tę tajemnicę jak najdłużej. Jeśli media zwietrzą, co działo się w Woking, śledztwo będzie jeśli nie stracone, to bardzo utrudnione. Summer wymownie milczała, obserwując poczerniałe ruiny.

Zbliżali się do końca pogrążonego w czerni terenu, gdy zauważył znajomą postać.

– Zaczekaj – rzucił szybko do sierżantki.

Zatrzymał auto wzdłuż chodnika, wysiadł i pobiegł w stronę fabryki, gorączkowo zastanawiając się, jakie zadać pytania.

– Proszę pani! – krzyknął, gdy postać skręciła między budynki fabryki, które ocalały z pożogi. – Niech pani zaczeka!

Kobieta, nie odrywając rąk od wózka sklepowego, w którym Redfern zauważył głównie koce, spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem.

– To pan – odezwała się bez zaskoczenia. – Widzę, że wreszcie zajęliście się swoją robotą.

– Chciałem panią o coś zapytać. Chodzi o te dzieci.

– Ja nic nie wiem o żadnych dzieciach – odparła niechętnie i pchnęła swój dobytek przed siebie. Redfern poszedł za nią.

– Ale zna pani faceta, który wie – nie dał się zbyć.

Kobieta przystanęła i przyjrzała mu się z uwagą. Z długiego płaszcza wyciągnęła paczkę papierosów i wydobyla z niej jeden z zebranych z ulicy niedopałków, po czym odpaliła i zaciągnęła się łapczywie.

– Jak nazywał się golfista, który opowiadał o handlu maluchami? – zapytał inspektor.

Wypuściła szarawą chmurę, w której dym mieszał się z parą, i patrzyła na wykrzywione stalowe konstrukcje, jak gdyby mogła wyczytać z nich odpowiedź.

– Eddie go wołali – odezwała się w końcu. – Znaczy chyba Edward mu było, ale może tylko tak się przedstawiał. Bieda nie ma tożsamości, a bez domu

nazwisko ci niepotrzebne.

Redfern musiał jej przyznać rację, co wyraził niemym kiwnięciem głową.

– Kiedy pojawił się w magazynach?

– Z pięć lat temu – odparła i rzuciła dopalonego peta na chodnik, po czym sięgnęła po następnego. – Gaduła straszny, ale z biegiem czasu zamilknęła. Wszyscy w końcu przestają gadać – albo zacierają się wspomnienia, albo są tak chujowo kolorowe, że chcemy je wymazać, by jeszcze bardziej nie wkurwiać się na szarą rzeczywistość.

Redfern pomyślał, że kobieta posługuje się zbyt kwiecistym językiem jak na osobę od urodzenia skazaną na patologię. Przekleństwa pełniły tylko rolę siatki maskującej. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie powinien podejść do niej jakoś inaczej, ale uznał, że demaskowanie jedyne go kontaktu, jaki miał z tymi ludźmi, będzie błędem.

– A co mówił Eddie?

– Że grywał w golfa z najważniejszymi ludźmi w hrabstwie i poznał takich, którzy płacili duże pieniądze za... – słowa ugrzęzły jej w gardle, ale nie musiała kończyć. – To podobno przez nich znalazł się na ulicy. Tylko ja tak sobie myślę, że on nie przez brak forsy wylądował w magazynach.

– A przez co? Prochy?

– E, nie. – Wykrzywiła twarz. – Moim zdaniem on się ukrywał. Starał się być przezroczysty, aż w końcu zniknął na dobre.

– Mówiła pani, że był połowie z was winny pieniądze, może to dlatego?

– A co miałam powiedzieć tej biednej kobiecie? Nie chciałam, żeby traciła czas na szukanie jakiegoś palanta. Musiała skupić się na córeczce. Eddie zawsze był przy forsie.

– Skąd ją brał?

– Mówił, że ma dobrą miejscówkę w Guildford, ale ile razy bym tamtędy nie przechodziła, to Eddiego tam nie było. Leżał śpiwór, jakieś szmaty i stał kubek na drobniaki, ale nie Eddie.

– Co to za miejscówka?

– Kojarzysz, gdzie jest szewc na North Street w Guildford? – zapytała, a gdy Redfern potwierdził, kontynuowała: – Koło niego jest stary, nieczynny biurowiec z szerokim, osłoniętym od wiatru wejściem. Teraz to tam taki młody Zach okupuje, ale wcześniej była to miejscówka Eddiego.

– Dziękuję.

– Znajdź pan lepiej tych bydlaków. – Wysunęła rękę przed siebie i wskazała na zniszczone budynki, po czym znów pchnęła swój wózek i zniknęła za rogiem.

Redfern wrócił do samochodu nabuzowany emocjami. Jeśli kobieta mówiła prawdę, miał kolejną nić, za którą mógł podążyć. Martwił się tylko, że może się

ona okazać zbyt cienka i łatwa do zerwania.

– Kto to był? – zapytała Summer, gdy Redfern zapinał pasy.

– Pomogła przy śledztwie Wolańskiej – wyjaśnił i zjechał z chodnika, włączając się do ruchu.

– To ona wskazała Carla Straussa jako podejrzanego?

– Nie, naprowadziła na trop dzieci z fabryki. Myślę, że wie znacznie więcej, niż mówi.

– To dlaczego jej nie przycisnąć, nie wziąć do nas? – rzucała pytaniami, na które nie miał ochoty odpowiadać.

– Bo idąc po muchę, pajak nie rwie sieci – odparł enigmatycznie.

– Możesz mnie podrzucić na Approach? – zniechęcona zmieniła temat. – Muszę się rozmówić z Puską.

Redfern zgodził się bez wahania. Komendę miał po drodze do centrum, gdzie zamierzał zrobić świąteczne zakupy, więc zmienił pas i pojechali w stronę Victoria Arch. Wizja przeciskania się w tłumie gnany konsumpcjonizmem w czerwonym kubraku nieco go przerażała, ale nie zamierzał odpuścić.

*

Mieszkanie wypełniała kwaskowata woń wsparta aromatem grzybów, ziela angielskiego i liści laurowych, w której Redfern rozpoznał nadzienie do krokietów. Na samą myśl ślina wypełniła mu usta. Zanim zdążył wyrazić zachwyt, w progu pojawił się Siwiaszczyk. Ubrany w dżinsy i jasną koszulę z podwiniętymi rękawami wyglądał, jakby walczył o gwiazdkę Michelina, a przynajmniej takie malowało się na jego twarzy przejęcie.

– Dobrze, że jesteś – ucieszył się oszczędnie. – Trzeba pokroić cebulkę do śledzi i warzywa na rybę po grecku. No i musisz lecieć po majonez do sałatki, bo mi wyszedł, a zapomniałem kupić – komenderował.

– Mam. – Redfern uniósł pełne siatki. – Zdobyłem też opłatek i rybę.

– Zuch chłopak – pochwalił dziadek i zniknął w kuchni.

Redfern pogratulował sobie, że zostawił prezenty w samochodzie. Miał nadzieję, że uda mu się przemycić je wieczorem, gdy będzie wracał od Maxwellów. Cały czas gniotła go myśl, że nic nie kupił Marcie, choć zdawał sobie sprawę, że jedyne, czego potrzebuje, to siła i zdrowie.

Wszedł do kuchni i oniemiał. Miał wrażenie, że projekt Wigilia obejmuje nie tylko najbliższą kolację, ale i wyżywienie pułku wojska do końca roku. Na każdym palniku stał gar, w którym coś bulgotało, a blaty były szczelnie zastawione chyba wszystkimi naczyniami, jakimi dysponowali.

– Jutro ubierzemy choinkę – Siwiaszczyk przedstawiał ambitny plan niczym generał przed bitwą. – Upiekę też karkówkę na pierwszy dzień, no i jakieś ciasto czy dwa się przydadzą.

– A po co nam tyle jedzenia? – David postawił na stole siatki i zaczął je rozpakowywać. Na szczęście zaopatrzył się w polskim sklepie w makowiec, bo jeszcze dziadek gotów był go zagonić do mielenia maku. Do dziś odczuwał skutki ubiegłorocznej walki z maszynką, którą Siwiaszczyk jakimś cudem przemycił podczas przeprowadzki do Anglii. Bohdan zaręczał, że przypominające broń żelazne ustrojstwo należało jeszcze do jego matki. I faktycznie wydawało się niezniszczalne. W przeciwieństwie do stołu, któremu wyłamało kawałek blatu, i do dłoni Redferna, na której następnego dnia pojawił się pęcherz.

– A nie mówiłem ci, że będziemy mieli niespodziewanego gościa?

Redfern zdębiał. Odnosił wrażenie, że owa „niespodziewaność” była zarezerwowana wyłącznie dla niego. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że dom należy do dziadka i ten może sobie zaprosić kogo tylko chce, ale mógł się określić wcześniej. David miał tylko nadzieję, że zaraz nie spadnie na niego wieść, że jutro ma jechać po ciotkę Jaśkę na lotnisko, albo inny armagedon.

– Zaprosiłem panią Wandę z Surrey History Centre – powiedział nieśmiało Siwiaszczyk.

– I to ona ma taki apetyt?

– Nie wygłupiaj się, Dawidek – zachnął się Siwiaszczyk.

– Nie mogłeś mi wcześniej powiedzieć? – zapytał Redfern z lekkim wyrzutem. – Może bym się lepiej przygotował? Fryzjera zaliczył czy coś. – Przeczesał przydługie afro.

– Jakoś nie było okazji. – Dziadek zmarkotniał, po czym z wyjątkową pasją zaczął mieszać kapustę.

Redfern miał już otworzyć usta, by zakomunikować, że rozmawiają praktycznie co wieczór, ale odpuścił. Już wiedział, po co Siwiaszczykowi tak nagle potrzebny był garnitur, skąd zapach wody kolońskiej, a wcześniej niezapowiadana wycieczka do Polski, by sprawdzić stan zdrowia. Uśmiechnął się w duchu do siebie i bez słowa wznowił wyciąganie zakupów.

Niektóre sprawy same się układają, pomyślał w ciepłej zadumie.

*

Cień dwóch śmierci, który osiadł na tej rodzinie, sprawił, że posiadłość hrabiego Essex straciła na swoim uroku. W miarę jak Summer Winter referowała, co ustaliła w sprawie zniknięcia Deana Maxwella, Redfern dochodził do wniosku,

że kolejny raz tajemnica usiłuje udawać zbieg okoliczności. Według raportu pokoj chłopaka nosił znamiona bójki, a na kawałkach zbitej szyby w oknie znaleziono ślady krwi należącej do siedemnastolatka. Ostatnimi osobami, które z nim rozmawiały, był jego ojczym Charles Holland oraz siostra Eva.

– Ponieważ minęły cztery doby, a porywacze się nie zgłosili, odrzuciliśmy przypuszczenia hrabiego o porwaniu – mówiła beznamiętnie Summer. – Dziwne tylko, że dokumenty, telefon i kluczyki od auta zostały w pokoju chłopaka, a sam samochód – w garażu. Przejrzenie ostatnich maili i wiadomości nic nie wniosło do sprawy. Chłopak albo się umawiał z dziewczynami, albo z kolegami ze szkoły na granie na kompie. W ostatnich dniach – właściwie z nikim.

– Czyli nie wiemy jak ani w jakim celu opuścił posiadłość?

– Dean Maxwell po prostu zapadł się pod ziemię – oświadczyła, kiedy parkowali pod willą hrabiego.

Redfern miał wrażenie, że już kiedyś odwiedzał tę jadalnię, a może wszystkie jadalnie w Surrey wypełniał wielki dębowy stół, ciężkie krzesła i ociekające złotem tapety. Oprócz nich na ścianach królowały kandelabry, głowy zwierząt i obowiązkowy kominek ze zdjęciami członków rodziny. Inspektor wychwycił na nich migdałowe, wysycone zielenią oczy. Osadzone nad szczupłymi policzkami, między którymi matka natura dała Ellie Maxwell wąski nos i pełne, kształtne usta. Te przywodziły na myśl podróże do dalekiego orientu. Podobnie jak hebanowa barwa włosów okalających twarz pofalowaną ramą.

Państwo Holland siedzieli u szczytu stołu, a Summer z Redfernem zajęli miejsca w połowie długości przepastnego blatu.

– Przygotowałem... – zawiesił głos hrabia. – Materiał porównawczy. – Przesunął woreczki w stronę policjantki, która podziękowała i schowała je do torby. W jednym z nich Redfern zauważył ząb.

– Bardzo zależy nam na dokładnym ustaleniu, co działo się z Ellie w ostatnich miesiącach życia – rozpoczęła Summer. – Czy możemy zacząć od roku, w którym zniknęła?

– To był dwa tysiące czwarty – mówiła bardzo przytomnie pani Maxwell, choć jej oczy wskazywały na przyjęcie dużej dawki środków uspokajających. –

Ellie otrzymała wyniki egzaminów GCSE i nie była z nich zadowolona. Poprosiła o możliwość zrobienia sobie przerwy, by podejść do nich ponownie w następnym roku. Oczywiście razem z moim świętej pamięci Haroldem przystaliśmy na tę propozycję, ale pod jednym warunkiem.

– Ellie miała wyjechać – odpowiedział Redfern.

– Tak. Mieliśmy dość towarzystwa, w którym się obracała. Myślę, że to zaważyło na jej kiepskich ocenach. Wspólnie zdecydowaliśmy, że Ellie pojedzie

do Glasgow, tam pójdzie na kursy przygotowawcze i spróbuje ponownie zdać, a potem dostać się na uniwersytet.

– Ellie chciała tego wyjazdu?

– Pan raczej nie ma dzieci, a już na pewno nie nastoletnich – zawyrokowała.

– Oczywiście, że odcięcie od znajomych jej się nie podobało, ale ostatecznie uległa i we wrześnie wprowadziła się do mieszkania, które jej wynajęliśmy.

– Czy może mi pani zapisać adres mieszkania? – Summer podsunęła pani Maxwell kartkę i długopis.

– Po co? – zdziwiła się kobieta.

– Musimy sprawdzić każdą możliwość.

– Wiem – odparła szybko. – Chodziło mi o to, że adres macie na kopertach z listami.

– Co było później?

– Ellie rozpoczęła naukę, poznała tam jakichś ludzi, odwiedzaliśmy ją, dzwoniłiśmy do siebie. Wszystko w zasadzie zaczęło się układać.

– Często ją państwo odwiedzali?

– Niestety niezbyt – wyznała smutno. – Byłam wtedy w ciąży z Evą i bardzo źle znosiłam podróże. Ostatni raz byłam u córki w październiku, podczas ferii jesiennych. Zabrałam Deana i pojechaliśmy. Spędziliśmy we trójkę bardzo miły tydzień. Ellie obiecała, że przyjedzie na święta, ale ostatecznie odmówiła, zasłaniając się koleżankami i nauką. Czasem mam wrażenie, że to złamało serce Haroldowi – dodała ze ściśniętym gardłem.

– Czy pani mąż i córka pokłócili się? Wiemy już, że Ellie nie przyjechała na święta, a potem nawet na pogrzeb ojca. Co ich poróżniło?

– Harold nic mi nie mówił. Był dość skrytym człowiekiem. Któregoś dnia po prostu wyszedł z domu i nie wrócił. – Pani Maxwell opuściła głowę i tylko odbijające się od błyszczącego blatu krople wskazywały na to, że żyje. Redfern zdawał sobie sprawę, że przy takiej liczbie nieszczęść, we wnętrzu kobiety życie tylko się tliło.

– Kiedy zatem widzieliście się po raz ostatni?

– To był kwiecień. Chrzcziny Evy – podsunął Charles Holland, który, odkąd zasiedli do stołu, starał się być niewidoczny.

– Zgadza się. – Camilla podniosła głowę i wytarła chusteczką mokre oczy. – Ellie spóźniła się na pociąg i nie było jej w kościele, ale dojechała na obiad. Wyjechała następnego dnia.

– Jak się zachowywała?

– Obco – wtrącił hrabia. – Unikala nas, jakby się wstydziała.

– Czy rozmawiała pani z nią na temat ojca? Czy wytłumaczyła się z nieobecności?

– Nie chciała na ten temat rozmawiać. Ucinała każde pytanie.
– Zapomniałaś dodać, że nie wyjechała, tylko uciekła z samego rana, kiedy wszyscy spali.

Camilla spojrzała na męża wzrokiem, który mógł oznaczać zarówno rozpacz, jak i naganę.

– Przysłała potem jeszcze parę listów. W ostatnim prosiła o podesłanie paszportu, potem już się nie odezwała.

– I nie zastanowiło to państwa? Nie szukaliście jej?

– Oczywiście, że szukaliśmy! – oburzył się hrabia. – Mówiłem państwu, że zgłosiliśmy zaginięcie w Glasgow, ale państwa koledzy zignorowali nasze obawy. List z prośbą o paszport był dla nich decydujący. Bezдушność policji jest porażająca.

Redfern musiał przyznać mu rację – system był w swej schematyczności bezwzględny, ale prawda była taka, że z kilku tysięcy zgłoszeń o zaginięciu trudno odsiać te, które są faktycznie uzasadnione. Prośba o paszport była dla szkockich policjantów jasnym sygnałem, że dziewczyna wymiksowała się z życia swojej rodziny.

– A zatem co stało się w kwietniu, że po pierwsze, Ellie opuściła dom, nie pożegnawszy się, a po drugie, dlaczego chciała się od państwa odciąć? –

Summer przysunęła się do stołu, szurając głośno krzesłem. Splotła palce w oczekiwaniu na odpowiedź, która napłynęła po dłuższej chwili wymiany spojrzeń.

– Ellie źle zniosła informację, że wychodzę za Charlesa – wyznała Camilla. – Pokłóciłyśmy się o to. Dlatego wyjechała tak nagle.

– Rozumiem. A jak zniósł to pani syn?

– Dean był wtedy mały, miał może siedem lat – wyjaśniła Camilla. – Oczywiście bardzo przeżył śmierć taty i wyjazd siostry, ale jakoś sobie z tym radziliśmy. Cieszyła go mała siostrzyczka i nowa szkoła, więc na tym skupiałam całą jego uwagę.

– Dlaczego zatem po dziesięciu latach nagle znika? – wyrwała się Summer.

– To chyba pytanie do państwa – zachnął się hrabia.

– Ale w was może leżeć odpowiedź – odgryzła się, a Redfern miał ochotę ją zganić. – Co wydarzyło się w ostatnich dniach w życiu Deana?

– Chodzi o to, że mało ze sobą ostatnio rozmawialiśmy.

Inspektor nie był zaskoczony. Od dłuższej chwili nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w tej patchworkowej rodzinie szwy są poprowadzone grubą nicią, która wrzyna się boleśnie w każdy element.

– Dean zaczął we wrześniu naukę w Woking College i właściwie całe jego życie toczy się wokół tej szkoły – pośpieszył z wyjaśnieniem hrabia. – To

w sumie dorosły chłopak.

– Miał jakichś bliskich kolegów, których zapraszał do domu, albo dziewczynę? – Summer usiłowała naprowadzić gospodarzy na odpowiedź, która dałaby choć strzęp informacji o Deanie.

Małżeństwo wymieniło puste spojrzenia. Redfern nie wierzył, że można wylądować aż tak daleko od siebie, by nie móc powiedzieć czegokolwiek o porządku dnia członka rodziny.

– Czy możemy zobaczyć jego pokój?

– Poprzedni policjanci już go widzieli – Camilla wypowiedziała te słowa z dziwną melancholią, ale wstała od stołu i poprowadziła wszystkich na koniec korytarza.

– Niczego nie ruszaliśmy – zastrzegł idący z tyłu Charles. – Kazaliśmy tylko wstawić szybę w oknie tarasowym, by deszcz nie zalał parkietu.

Policjanci pokiwali głowami ze zrozumieniem i weszli do pokoju pogrążonego w totalnym chaosie. Gospodarze zatrzymali się w progu, bacznie obserwując ich oboje. Pani Maxwell uczepliła się ramienia męża, sprawiając wrażenie, że każdy krok policjantów sprawia jej ból. Uwagę przykuwały cztery sterczące srebrne nogi, które połączone do niedawna szklanym blatem stanowiły nowoczesny stół. Dalej Redfern dostrzegł przewrócony fotel gamingowy, urwane drzwi od szafki nocnej i pozostawione w nieładzie łóżko. Szafa wypluła całą swoją zawartość na pokrytą drewnem podłogę, na której skrzyły się kawałki szkła.

– To wygląda jakby doszło do bójki – zawyrokował hrabia. – Tyle zniszczeń, niech pan spojrzy, – Wskazał na zrzucone z parapetu kwiaty, pęknięty monitor.

Albo na atak furii, pomyślał Redfern, ale zachował tę hipotezę dla siebie.

Podszedł do okna i przyjrzał się widokowi za domem, do którego przylegał taras. Niski parter pozwalał na skok z okna bez ryzyka kontuzji. A jednak porywacze, jeśli tacy byli, wyprowadzili Deana Maxwella głównym wyjściem, ryzykując dłuższą drogę. Policjant schylił się i przyjrzał leżącym koło butów odłamkom. Podniósł największy, uważając, by się nie skaleczyć, i spojrzął na niego pod światło.

– Coś pan znalazł? – zainteresował się Charles.

– To się okaże – odparł Redfern, zawijając kawałek w chusteczkę i chowając do kieszeni.

Obejrzeni rzeczy chłopaka, ale nie natrafili na nic, co przyniosłoby odpowiedź na pytanie, co wydarzyło się w tym pokoju. Żegnając się, zapewnili o pełnym zaangażowaniu w obie sprawy. Camilla sprawiała wrażenie, że kończy się czas działania leków, a Charles, że kończy mu się cierpliwość.

*

Redfern podrzucił Summer do zatoczki przy Approach Station. Pouczył koleżankę, żeby w miarę możliwości podjechała do Teda i dała mu próbki zabrane z domu Charlesa Hollanda, na co sierżantka skrzywiła się. Nie zamierzał wchodzić z nią w dyskusję. Spojrzał na nową siedzibę komendy i widok ten wywołał u niego mieszaninę złości i tęsknoty za starymi murami.

– Przedstawię ci jeszcze moją hipotezę – odezwała się Summer, choć całą drogę walczyli temat Maxwellów. – Ellie przyjeżdża na chrzciny Evy. Siedzi na obiadku, dodaje sobie dwa do dwóch i wychodzi jej, że malutka siostrzyczka ma innego niż ona i Dean tatusia, który lada moment stanie na ślubnym kobiercu z jej matką. Wścieka się, bo podejrzewa, że przez to jej ojciec odebrał sobie życie. Postanawia zerwać kontakty i zacząć życie na nowo.

– Tylko dlaczego skończyło się ono tak nagle, i to jeszcze tutaj?

– To musi mieć związek z serduszkami. Ktoś celowo je przy niej zostawił jako pamiątkę albo wizytówkę.

– Wiemy, że najprawdopodobniej kręciła się wokół Travellersów.

– Tam będziemy szukać. Trzeba tylko przeanalizować, co wiemy, i odwiedzić kilka miejsc.

– Appleby?

– Może nawet Glasgow – zgodził się Redfern, choć zupełnie nie uśmiechało mu się jechać do Kumbrii ani tym bardziej Szkocji.

– A ten pokój? Coś mi w nim nie leżało.

– Jakiś ten bałagan za elegancki – wyraził wątpliwość Redfern. – Za bardzo poukładany.

– Więc może to Dean ma coś wspólnego ze śmiercią siostry?

– Miał wtedy siedem lat. – Skrzywił się z powątpiewaniem. – W tym wieku myślisz raczej, czy ekipa Boba Budowniczego da radę, a nie o mordowaniu siostry.

– A jednak zniknął, kiedy pojawiły się zwłoki – Summer szerokim gestem siała ziarna niepewności.

– Nie dlatego, że pojawiły się zwłoki, ale pojawił się morderca.

*

Jeśli chodzi o mnogość aromatów, to Redfern musiał przyznać, że bungalow przy Princess Road zmienił się w bożonarodzeniowy jarmark, choć pod względem wizualnym wciąż znajdowali się bliżej halloweenowej krypty.

Postanowił zmienić ten stan zaraz z rana i pójść na strych po ozdoby, a potem zdobyć choinkę gdzieś w mieście.

Wszedł do swojego pokoju, usiadł przy biurku i przejrzał komórkę w poszukiwaniu numeru do pielęgniarki z kliniki uzależnień, po czym wysłał wiadomość do Adekunle Fowory wraz ze zdjęciem kartki, którą dostał od Summer.

Czy pan to rozpoznaje? – napisał.

Po ułamku sekundy zadzwonił telefon. Redfern odebrał, ale zamiast standardowego przywitania usłyszał:

– Tak, panie Redfern. Adrian zaczął to rysować, kiedy wrócił ze szkockiego szpitala. Wtedy, po wypadku.

– Powiedział, co to oznacza?

– W owym czasie Adrian Bones niewiele mówił – odparł pielęgniarkę. – Wciąż utrudniały mu to rany po operacji, a gdy już wszystko się zagoiło, nie wykazywał zainteresowania rozmową. To był złamany człowiek, panie inspektorze. Czy te szlaczki miały znaczenie? Naprawdę nie wiem. Dla niego na pewno. Uspokajał się, mogąc je rysować, tyle mogę powiedzieć.

– A czy kiedykolwiek wspominał o ATM albo 5W?

Fowora milczał przez chwilę.

– ATM brzmi znajomo, możliwe, że kiedyś wypowiedział ten skrót, ale poza bankomatem z niczym mi się nie kojarzy. Będę się jednak zastanawiał, może być pan pewien.

David odłożył komórkę i wpatrywał się w gasnący ekran. Wiedział, że powinien wykonać jeszcze jeden telefon, możliwe, że najważniejszy tego roku. Wyciągnął drugą kartkę od Summer i uważnie wstukał widniejący na niej numer.

Miał nadzieję, że osoba po drugiej stronie Atlantyku odbierze i będzie skora go wysłuchać.

23.12.2013 r., poniedziałek

Przyłożył do obolałego brzucha ściereczkę nasączoną sodą, jedynym lekarstwem, które przynosiło ulgę przy zrostach po zastrzykach. Miał nadzieję, że methotrexat pozwoli mu przetrwać zimę, która w tym roku zaserwowała nie tylko ból stawów, ale i wyjątkowe zmęczenie. Owinął się w pasie bandażem elastycznym i spojrzął na resztkę rzadkiego ciasta w misce i stos naleśników. Ten od rana zdążył zwiększyć swoją wysokość o połowę. Miał tylko nadzieję, że rozmiar i konsystencja placków będą odpowiadały dziadkowi, który zobowiązał się zwijać krokiety.

Redfern zgasił płomień pod patelnią i podszedł do stołu, gdzie czekały ugotowane wcześniej warzywa na sałatkę. Kiedy szukał odpowiedniego nożyka, do kuchni wszedł zaspany Siwiaszczyk i najbardziej zapracowany mieszkaniec Princess Road – Bandit.

– Postanowiłeś jednak uratować te święta? – skomentował ustawiony na blacie słoik ze śledziami i talerz naleśników.

– To się jeszcze okaże, jak zaczniesz walczyć z krokietami.

– W sumie został nam tylko barszcz i uszka – ucieszył się staruszek, usiadł naprzeciwko Redferna i zaczął obierać jajka.

– Uszka kupiłem – bąknął ostrożnie, spodziewając się reprimendy. – Szkoda czasu na lepienie, a te ze sklepu wcale nie są złe.

– Masz rację – odparł Siwiaszczyk. – Lepiej wykorzystajmy ten czas na cmentarz.

Redfern przerwał obieranie marchewki i rzucił Siwiaszczykowi niepewne spojrzenie.

– Zapomniałeś? – zapytał z wyrzutem starszy człowiek.

– Nie. Po prostu nie wiem, po co mam tam jechać. – Wrócił do skrobania i miał wrażenie, że robi to z większą zaciętością.

– To twoja matka, Dawidzie. Chociaż w święta należy jej się pamiętać.

– A czy ona pamiętała o moich świętach? O mnie? – ból sprawił, że Redfern nie potrafił zapanować nad rozgorzyczeniem, które co roku jak w zegarku wracało gorzkimi obrazami. – Mama wiedziała, że ojciec mnie nie chce, ty mieszkasz

w Polsce, a mimo to uznała, że najlepszym wyjściem jest się powiesić na oczach dziesięciolatka. Więc jeżeli tam pojedę, to tylko ze względu na ciebie.

– Dobrze chociaż tyle – mruknął defensywnie dziadek i wstał od stołu, odkładając jajko pozbawione skorupki.

Redfern wiedział, że niepotrzebnie się uniósł. Mógł od razu ugodowo stwierdzić, że pojedzie do Hammersmith, by następnie zgrabić liście z lastrиковego nagrobka i postawić na nim znicz bez dawania starszemu człowiekowi wykładu na temat jego ukochanej córki. Po raz drugi w ciągu tygodnia zranił jedyną przychylną mu osobę.

Zły na siebie odłożył z trzaskiem nóż i poszedł do pokoju dziadka.

– Czy możemy to odłożyć na drugi dzień świąt? – zapytał, wchodząc bez pukania. – Chciałbym odwiedzić Martę i trochę odpocząć.

Siwiaszczyk pokiwał głową, a następnie spojrzał na Dawida łagodnie.

– Boli? – Wskazał brodą przemoczoną na brzuchu koszulkę.

– Nie bardziej niż zwykle – skłamał. – Ale będziesz musiał mi pomóc ze świecidełkami, bo sam nie dam rady – ominął prawdę ponownie, by po męsku zakończyć spór.

Dokończyli przygotowania gastronomiczne i ściągnęli ze strychu ozdoby. Redfern miał ochotę podpytać o panią Wandę, która już jutro miała zjawić się w ich domu, ale nie chciał wprawiać dziadka w zakłopotanie.

Pożegnali się przed południem i Redfern z gorącym postanowieniem zorganizowania choinki ruszył po Summer Winter.

*

Zastali panią dyrektor w stanie kompletnego załamania. Przekładała nerwowo papiery z jednego stosu na drugi. Chyba walczyła nie tylko z czasem, ale i morderczym zmęczeniem. Redfern był zdziwiony, że mimo przerwy świątecznej kobieta wciąż jest w pracy.

– Czy państwo są absolutnie pewni, że to nasza uczennica? – zapytała, gdy odłożyła ostatnią kartkę.

Policjanci siedzieli przed jej biurkiem i przytaknęli smutno.

– Niestety.

– Straszna tragedia – skomentowała z autentycznym przejęciem. – Nawet nie chcę myśleć, co czują jej rodzice. To znaczy mama, bo tata chyba nie żyje.

Summer potwierdziła.

– Czy ma pani może listę dyrektorów, o której rozmawialiśmy parę dni temu? – zapytał Redfern.

– Tak, oczywiście. – Przejrzała stojący na biurku organizery i podała Redfernowi zadrukowaną kartkę. – Na zielono zaznaczyłam dyrektorów, którzy kierowali szkołą za czasów, kiedy była u nas Ellie.

– Pani Phillips i pan Lavery – przeczytał inspektor i podał kartkę sierżantce. – A tak z ciekawości, dlaczego państwo jeszcze pracują?

– To przez tę... śmierć – dokończyła. – Do końca roku mieliśmy się rozliczyć z odwodnienia, ale prace się przedłużyły i wszystko spadło na moją głowę.

– Zastanawia mnie jedna rzecz. Skoro szkoła idzie pod młotek, to po co jej nowe odwodnienie? Złożyła pani wniosek, wiedząc, że to się zupełnie nie przyda.

– Na prośbę pani wójt, która uznała, że to poprawi komfort dzieci – wyjaśniła zmęczonym głosem. – Bez odwodnienia boisko przez większość roku stało nieużywane, a tak pojawiła się szansa na uratowanie szkoły, bo jednym z argumentów za zamknięciem był brak odpowiedniej infrastruktury. No więc wypełniam tabelki, by nie zabrano nam środków na ten cel.

Wyszli ze szkoły wprost w szalejącą ulewę. Redfern w pośpiechu otworzył auto.

– Dasz radę ustalić adresy dyrektorów?

– Phi. – Summer spojrzała na niego kpiącym wzrokiem i po chwili wybierała kolejne numery telefonów. Samochód wypełniły rozmowy, po zakończeniu których sierżantka oznajmiła:

– Pani Phillips faktycznie nie żyje, a pan dyrektor mieszka całkiem niedaleko. Mam wbite w nawigację, więc cię pokieruję.

– Kierowanie wychodzi ci najlepiej – skomentował Redfern i odbierając porządny cios w ramię odpalił silnik i odjechał.

– A przy okazji – zapytał, gdy mijali kolejne skrzyżowanie. – Zawiozłaś próbki Tedowi?

– Spuścił mnie na drzewo – wyrzuciła z siebie ze złością. – Zachowuje się jak jakiś król komendy. Przecież pracuje dla nas.

– Tak, ale od lat wyznacza standardy tej pracy – oznajmił i wrzucił kierunkowskaz. – Zadzwoń do niego, jak się obrobimy.

– No właśnie, dlaczego tak cię interesuje ta podstawówka? – dociekała Summer. – Moglibyśmy ją odpuścić. Przecież Ellie chodziła do niej cztery lata przed śmiercią.

– Ale ktoś uznał, że powinna do niej wrócić – upierał się Redfern. – Musiało się wydarzyć coś, co spowodowało, że morderca zaryzykował ukrycie zwłok właśnie tu. W tym jest jakaś symbolika, ale nie wiem jeszcze jaka. Może dawny

dyrektor nam podpowie – powiedział z nadzieją i zaparkował pod maleńkim bungalowem.

Pan Lavery okazał się uroczym i żywo zainteresowanym pomocą starszym panem. Słuchając jego londyńskiego akcentu i patrząc na dobrotliwą twarz, Redfern pomyślał, że dziadek mógłby prowadzić program dla dzieci w BBC.

– Państwo sobie usiądą w salonie, a ja przygotuję herbatę. – Wskazał im serdecznym gestem właściwe drzwi.

Policjanci weszli do przestronnego pomieszczenia. Redfern miał wrażenie, że odwiedził legendarny londyński Winter Wonderland. Każda możliwa do zapełnienia przestrzeń kipiała od świecidełek, świec i figurek reniferów, nadając salonowi prawdziwie jarmarkowy wygląd. Zewsząd zerkały na nich tradycyjne *Elves On The Shelves*. Pan domu najwyraźniej postanowił zakupić skrzatom nowe ubrania, które albo się nie dopinały, albo przykrywały drewniane rączki zbyt długimi rękawami. Summer sięgnęła po jednego z nich.

– Nie, nie – powstrzymał ją Redfern. – Znasz zasady.

– Tak – westchnęła i cofnęła dłoń. – Nie dotykać elfa, bo straci magię. Mówić do elfa i odesłać elfa na biegun w Wigilię. Swoją drogą fajnie, że książka dla dzieciaków przeniknęła do tradycji. Miło jest układać skrzaty w tajemnicy przed dziećmi i udawać, że elfy żyją i przyglądają się grzeczności latorośli.

– Wycofano się z tej tradycji, uznając ją za szkodliwą. – W progu stanął były dyrektor szkoły z tacą pełną smakołyków. – Uznano, że książeczka o skrzacie, którego Mikołaj wysyła w podróż do dzieci, by zraportował ich grzeczność, jest szatańskim narzędziem wychowawczym i wpisuje się w ideologię tak zwanych mikołajowych kłamstw.

Redfern spojrzał na zdziwioną Summer, a ona odwdzieczyła się tym samym. Staruszek postawił kościstymi dłońmi tacę na stole i kontynuował:

– No wiedzą państwo, że dobre zachowanie oznacza prezenty, a złe – ich brak. To traumatyzujące. Ponadto *Elf na półce* uczy bierności wobec inwigilacji przez władze i sugeruje brak prawa do prywatności.

– I to wszystko znaleziono w tej małej książeczce? – zdziwił się Redfern, ukradkiem zerkając do filiżanek, z których parowała herbata z mlekiem. Policjant wzdrygnął się, ale przyjęty rano zastrzyk miał w szeregu skutków ubocznych niewyobrażalne pragnienie.

– Chyba pojawiły się jeszcze jakieś zarzuty, ale nie pamiętam. – Mężczyzna rozsiadł się w fotelu.

– Ale pan, widzę, oparł się tej krytyce? – inspektor zadał pytanie i upił herbaty, starając się ukryć fakt, że wielce mu nie smakowała. Ogromnie jednak chciało mu się pić, a nie miał sumienia wysyłać połamanego gościem staruszka do kuchni po wodę.

– Wnuczki je kochają. – Wskazał na skrzaty wspinające się po choince. – I zakładają im co roku przygotowane wspólnie ubranka. Jakoś nie czują się inwigilowane, a grzeczne są nie dzięki prezentom, bo u nas to głównie książki i gry, ale dlatego, że otoczyliśmy je miłością – dokończył nostalgicznie. – No ale my sobie tu gadamy o elfach, a państwo pewnie w konkretnej sprawie.

– Zgadza się – potwierdził Redfern. – Chodzi nam o pewną uczennicę, która uczęszczała do szkoły Church of England, kiedy był pan tam dyrektorem.

– Chodzi o to biedne dziecko pochowane na boisku?

Redfern przytaknął.

– Nie wiem, czy będę mógł pomóc – wyraźnie się zmartwił. – Jako dyrektor miałem mnóstwo pracy pozapedagogicznej, głównie siedzenie w biurze i koordynowanie działań nauczycieli, spotkania z rodzicami i urzędnikami.

– Może będzie pan jednak pamiętał Ellie Maxwell? – podpowiedziała Winter.

– Chyba był u nas taki nauczyciel, ale u mnie już naprawdę słabo z pamięcią. Dziecka niestety nie kojarzę, więc musiało być wybitnie grzeczne – zaśmiał się cicho.

– Może zerkają na nie elfy? – Redfern wciąż nie mógł się nadziwić interpretacji książki. Spojrzał na Summer, która zawiesiwszy sobie pustą już filiżankę na palcu, delektowała się przyjemną atmosferą tego miejsca.

– Albo kochający rodzice – dopowiedział dyrektor Lavery. – Natomiast w szkole wciąż pracuje Christopher Lawson od hiszpańskiego. To w sumie mój sąsiad, więc mógłbym po niego zadzwonić. Niech państwo zaczekają – poprosił i zniknął za drzwiami.

– Zapomnieliśmy o Lawsonie – szepnął z naganą Redfern, na co Summer wyciągnęła kciuk w górę i wróciła do oglądania dekoracji.

– Zaraz przyjdzie. – Staruszek wszedł ucieszony. – To mój młodszy kolega, będzie więcej wiedzieć ode mnie.

– Jak się pracowało w tej szkole? – podtrzymywał rozmowę Redfern.

– Jak w każdej pracy były lepsze i gorsze dni, ale miałem wrażenie, że z roku na rok coraz trudniej.

– Zacierał się autorytet nauczyciela?

– Dobrze pan wie, że nigdy nie był specjalnie mocny. Już same pensje wyznaczają trend, nieprawdaż? – rzucił pytanie, nie oczekując odpowiedzi. –

Raczej chodzi mi o konsumenckie i niezwykle jednostronne podejście, wywodzące się chyba z „płacę i wymagam”. Zupełnie bez refleksji.

– A Travellersi? – zatopiona w podziw Summer niespodziewanie zabrała głos.

– No to już inna para kaloszy, ale czy gorsza? – zawiesił pytanie w powietrzu. – Dzieci jak dzieci, ze swoimi uniwersalnymi problemami i marzeniami, może

tylko te cygańskie wtłoczone w inny, niezrozumiały dla nas schemat. Musi pani wiedzieć, że w całej swojej karierze widziałem tyle samo złamanych nosów angielskich, co travellerskich i tyle samo uśmiechów oraz łez na jednych i drugich buziach. Żał mi tylko, że się nie uczą, że nikt nie pokazuje im innego świata poza przyczepą. Zwłaszcza dziewczynkom.

– A czy słyszał pan może o weselu, które miało się odbyć w Ripley w dwa tysiące czwartym, ale wybuchła jakaś afera, która ostatecznie zakończyła się wielką bójką między miejscowymi a przyjezdnymi? – Winter zdawała się odzyskiwać rytm i zadawała pytanie za pytaniem. Redfern w tym czasie dokończył herbatę.

– Faktycznie było coś takiego, ale podłoża sprawy nie znam. Podobno kilku miejscowym nie spodobało się, że przez tamtych nie odbył się Bonfire Night. Mówiło się, że na całym tym zamieszaniu zyskała obecna pani wójt, hrabina Holland.

Redfern zmarszczył brwi, a Summer odstawiła z trzaskiem filiżankę.

– Zaraz, zaraz. Przypomniałem sobie. Czy ta Ellie nie była aby córką Camilli Maxwell?

– Była – doszło ich od progu, w którym stał wysoki mężczyzna przed pięćdziesiątką. Ciemne, półdługie włosy przeplatały cieniutkie pasma siwizny. Na haczykowatym nosie zawiesił okulary, przez które spoglądał z uprzejmą ciekawością na zebranych. To, co niewątpliwie burzyło jego nobliwy wygląd, to ciągnący się od kołnierzyka czarnej koszuli żółty krawat w żonglujące słonie.

– Pukałem, ale nie odpowiadałeś, więc pozwoliłem sobie wejść – oznajmił i zrobił krok do przodu.

– Jasne, siadaj, mój drogi, może ty państwu więcej opowiesz. – Dyrektor wskazał fotel naprzeciwko siebie. – Jako nauczyciel byłeś bliżej z uczniami.

Policjanci przywitali się z mężczyzną, po czym patrzyli, jak pan Lawson niespiesznie zajmuje miejsce, wyciągając uprzednio z tylnej kieszeni komórkę. Położył ją równolegle do tacy z ciastkami.

– Byłem wychowawcą Ellie Maxwell w ostatniej klasie, przygotowywałem ją do egzaminów końcowych – oznajmił, częstując się markizą.

– Jaką była uczennicą?

– Świetną – odparł i strzepnął okruchy z krawata. – Naprawdę dobrą, do tego bystrą i bardzo lubianą, nie tylko przez nauczycieli. Co prawda trochę stygmatyzował ją fakt, że jej ojciec był u nas matematykiem, a matka zastępczynią dyrektorki, ale łykała tę żabę całkiem dzielnie. Zawsze była otoczona wianuszkiem koleżanek. Potem zniknęła mi z radaru, ale gdzieś obito mi się o uszy, że porzuciła marzenia o wielkiej nauce.

– Wspomniał pan, że była córką nauczycieli. Jakie były relacje tej trójki?

– Powiedziałbym, że poprawne, choć też specyficzne. – Przez jego usta przebiegł ledwo uchwytany uśmiech. – Oboje z pewnością byli bardzo opiekuńczy wobec Ellie, ale zdecydowanie nie wobec siebie. Camilla zawsze zdawała się mieć ostatnie zdanie w tej rodzinie, choć moje obserwacje mogą być skrzywione przez pracowniczą optykę. Ostatecznie pani Maxwell była moją i Harolda przełożoną i tylko w tej roli ją widziałem na co dzień. A Ellie w szóstej klasie została wchłonięta przez pewną paczkę, która nieco dała się we znaki gronu pedagogicznemu. – Uśmiech podkreślił mrugnięciem oka w stronę dyrektora, na co tamten zaśmiał się perliście.

– Z tego co wiem, udało im się utrzymać *status quo ante* – kontynuował nauczyciel. – I najczęściej można ich spotkać w tym nowym pubie w Ripley.

Pożegnali się z oboma mężczyznami i wyszli w chłodne popołudnie.

– Aniołek – rzuciła smętnie Summer, gdy podchodzili do auta. – Normalna, lubiana nastolatka z nastoletnimi problemami. Jak dotąd żadnych wyróżników – dodała, moszcząc się na siedzeniu triumpha.

– Żadnych znaków szczególnych – rzucił Redfern i wsiadł do samochodu, zastanawiając się, w którą stronę do pubu.

*

Pub nosił znamiona młodzieńczej interwencji. Do ścian przybito stare deskorolki, oplatając je setkami ledów, które rozświetlały namalowane na nich graffiti. Na szklanych półkach za barmanką prężyło się dużo więcej kolorowych trunków niż tylko whiskey i piwa, a sam kontuar wyłożono mozaiką kasków i ochraniaczy. Usiedli w łoży do złudzenia przypominającej rampy do robienia ewolucji. Fenomenowi jazdy na desce Redfern nigdy nie rozumiał.

– Zamówić ci coś? – spytała Summer, odchodząc w stronę baru.

– Weź mi colę.

Sierżantka otaksowała jego lekko wystający brzuch.

– Oczywiście zero – odpowiedział szybko, na co kobieta przewróciła oczami i poszła. Wróciła po dłuższej chwili ze szklankami. Redfern nie był w stanie zidentyfikować, czym będzie się raczyć sierżantka. Postawiła napoje, po czym rzuciła:

– Nie rozsiadaj się za bardzo. Nasze towarzystwo okupuje dalekie rubieże baru. – Wskazała brodą w stronę lady, na rogu której siedziały dwie dziewczyny i dwóch chłopaków. Jedna z młodych kobiet miała dość spory kolczyk w przegrodzie nosa, a druga krótkie, ufarbowane w szachownicę włosy. Ich towarzyszy również odznaczało raczej luźne podejście do kwestii mody – blondyn legitymował się wielkim orłem na szyi, a brunet tunelami w uszach.

Obaj ubrani byli w coś, co Redfern zakwalifikował jako wyjściowe dresy. Inspektor musiał przyznać, że ich ostatni odcinek drogi do trzydziestki wiódł dość kolorowym szlakiem.

– Właściwie możemy się przysiąc od razu – zakomenderował, zabierając swoją colę. Summer zrobiła to samo i podążyła za nim.

Redfern postawił z brzękiem szklankę na barze, wywołując zaskoczenie siedzących obok ludzi.

– Słyszałem, że przyjaźniliście się z Ellie Maxwell – rozpoczął bezceremonialnie. Grupka popatrzyła na niego z mieszaniną zdziwienia i obojętności.

– To chyba za dużo powiedziane – odezwała się krótkowłosa dziewczyna. Dopiero z bliska Redfern zauważył, że ma różowe soczewki nadające jej demoniczny wygląd, choć długa kwiecista sukienka mocno broniła jej dziewczęcości.

– No – mruknął blondyn. – Jakbyś nie zauważył, to raczej nie należymy do tych grzecznych i uładowanych – zarechotał, a reszta mu zawtórowała.

– A ona wcale nie była taka święta – prychnęła ta z kolczykiem w nosie. – Córeczka dyrektorki szkoły, akurat!

– Pani wójt – poprawił ją chłopak z tatuażem.

– Teraz pani wójt, ale wcześniej była dyrektorką w Church of England.

– No i jeszcze hrabiną – wtrącił drugi, podnosząc palec, jakby dowodził jakiejś ważnej teorii.

– I hrabiną – westchnęła pokonana.

– Ale trzeba przyznać, że Ellie była ładna. – Brunet w połówce i różowawym kreszu poprawił się na wysokim krześle, po czym spojrzał w swoje odbicie w barowym lustrze, jakby przekonywał sam siebie.

Redfern nie przeszkadzał im w snuciu rozmowy. Miał nadzieję, że jeśli pozwoli im na luz, to pośród tych wiader wody błysnie jakaś drobina złota, która naprowadzi go na ślad mordercy.

– Zjawiskowa – dodał blondyn, zanurzając się we wspomnieniach.

– Jezu, przestańcie! Ileż można? – zachnęła się ta w fioletowej marynarce.

– No właśnie – rzucił ten z tunelami. – To nie była twoja liga, bracie.

– A czyja? – dociekała Summer.

– Niczyja – wtrąciła krótkowłosa i pociągnęła przez słomkę różowego drinka.

– Ona lubowała się w starszych facetach. Że niby taka dorosła.

– To mi się nie zgadza z tym, że podobno spotykała się z chłopakiem od Travellersów. Byli przecież w podobnym wieku – powątpiewał Redfern.

– A to akurat tylko na złość szurniętej matce – odparła szybko. – Mogę się tylko domyślać, że dyra dostawała wścieku dupy na samą myśl, że jej cudowną

córeczkę dotyka ktoś taki.

Reszta towarzystwa zaśmiała się pusto i każdy jak na komendę uraczył się swoim napojem. Bar pograżył się w wymownej ciszy.

– A z kim niby się spotykała? – dopytała Summer i pociągnęła łyk przez słomkę.

– Z właścicielem pubu – odparła ruda, zarzucając długie włosy do tyłu.

– Tego? – Policjantka spojrzała w stronę zaplecza, z którego właśnie wychodziła barmanka.

– A gdzie tam! U Toby’ego. Dziewczyna złamała mu serce chyba na milion kawałków.

– A komu nie? – wtrącił brunet.

– No ale Arthur Austin przeżył to najbardziej.

– Ale jeszcze możesz zapytać Ruby Webbs – poradziła szachownica. – Swego czasu nawet się kolegowały, bo o przyjaźni z Ellie Maxwell raczej trudno mówić.

– Mam wrażenie, że Ellie Maxwell wszystkich trzymała na dystans.

– Taka rodzinka. – Wzruszył ramionami wytatuowany. – Matka nosem strąca awionetki nad Fair Oaks. Wielka dama, która wychowała córkę na swoje podobieństwo, ot i cała tajemnica.

– A ojciec to lepszy? Wielki konstruktor z McLarena.

– I matematyk – wciął się znów blondyn.

– I matematyk – westchnęła ponownie ruda, kręcąc głową z dezaprobatą.

Redfern poczuł się nieswojo, jakby coś drapało go w umysł. Już drugi raz w tym tygodniu pada nazwa firmy motoryzacyjnej.

– Wszystko upraszczacie – prychnęła ruda.

– Bo życie jest proste, droga pani! – Zaśmiał się brunet i uniósł szklanekę jak do toastu. Nie wygłosił jednak żadnego głębszego przesłania, tylko wychylił wszystko, co mu zostało.

Wsiadli do samochodu zamyśleni. Summer opatulila się szalikiem i naciągnęła czapkę na głowę, dając do zrozumienia, że temperatura w triumfie jest poniżej jej oczekiwań.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – spytała, zakładając do kompletu rękawiczki niczym pielęgniarka przed przystąpieniem do badania prostaty.

– Że coś nam umyka – odparł, włączył silnik, a zaraz po nim dmuchawę, która wtłoczyła do wnętrza lodowate powietrze.

– Nie gadaj jak glina z tandetnego serialu – obruszyła się i zapięła pasy.

– Bo w sumie śledztwo idzie jak po sznurku, nie uważasz? Ellie Maxwell została ukarana za złamane serce. Nie wiemy tylko, czyje.

– Za mało masz w życiu komplikacji – sierżantka ni to stwierdziła, ni zapytała. – Zawsze musi być pod górkę, bo inaczej inspektor Redfern odczuwa niepokój?

– Może – odparł tym samym tonem, po czym wrzucił bieg i włączył się do ruchu, który płynął niespiesznie w stronę Woking.

– Myślisz, że damy radę skoczyć do tej Ruby Webbs? – zapytała, gdy dojechali do granic miasteczka.

– Nigdy nie jest za późno, by zadać świadkowi kilka niewygodnych pytań – rzucił, nie odrywając wzroku od drogi, która zaczęła zwijać się w ciasne zakręty niczym dotknięta patykiem dżdżownica.

– Mam na myśli twoje sprawy – Summer poraziła go powagą, ale nie dał po sobie poznać, że sprawa Ellie Maxwell pochłonięła go tak bardzo, że przez chwilę zapomniał o Palaczu, Siwiaszczyku, a co najgorsze, o Marcie.

– Jeśli się będziemy uwijać, to zdążę do szpitala – oznajmił i skręcił w drogę prowadzącą do domu kobiety, której adres zapisali mu ludzie z pubu.

*

Zaparkował przy Milestone Close i wysiadł z samochodu. Summer rozmawiała z kimś przez komórkę, więc dał jej znak, żeby dołączyła, jak skończy. Potwierdziła nerwowym skinieniem głowy.

Dąb w ogrodzie Ruby Webbs zdążył pozbyć się każdej łuski ze swej złotej, jesiennej zbroi. Redfern zauważył w głębi ogrodu kobietę, która grabiła rozmoknięte liście wypełniające nozdrza zapachem zgnilizny. Domyślił się, że patrzy na przyjaciółkę Ellie. Przedstawił się i korzystając z serdecznego zaproszenia dwudziestokilkulatki, wszedł do ogrodu. Gdy usłyszała pytanie o dziewczynę, nagle przygasła.

– Nie mogę uwierzyć, że ona nie żyje – oznajmiła smutno i oparła się o grabie.

– Dobrze ją pani znała?

Kobieta nie odpowiedziała, rozproszona skrzypnięciem furtki, przez którą właśnie przechodziła Summer. Kiedy sierżantka przeprosiła za spóźnienie i przywitała się, Ruby kontynuowała opowieść.

– Poznałyśmy się w pierwszej klasie podstawówki. Przeprowadziłam się tu z rodzicami jakoś w dziewięćdziesiątym czwartym na Milestone Close. Pamiętam, że Ellie pierwsza do mnie podeszła, kiedy wypakowywaliśmy kartony z samochodu, i jakoś tak wyszło, że się zaprzyjaźniłyśmy. Siedziałyśmy

razem w klasie, odrabialiśmy lekcje, bawiliśmy się po szkole. Ellie dobrze się uczyła, w końcu była córką nauczycieli.

– Czyli mocno się przyjaźniłyście – podsumował Redfern.

– Można tak powiedzieć, choć z perspektywy lat sama nie wiem, czy to była przyjaźń. – Kobieta zamyśliła się. – Ellie raz była bardzo blisko, a po chwili zniknęła z mojego życia. Ale zawsze wracała. Aż do tamtego wyjazdu.

– Jakiego? – Redfern chciał się upewnić, że Ruby ma na myśli to samo, co on.

– Wyjechała w dwa tysiące czwartym roku – potwierdziła zeznania matki dziewczyny.

– To był nagły wyjazd? – dociekała Summer.

– U Ellie wszystko było nagłe, spontaniczne, czy nawet chaotyczne – odparła nieco zagadkowo i oparła łokieć o pień dębu. – W każdym razie nie zaskoczyła mnie tym pomysłem. Pamiętam, że przyszła się pożegnać. Powiedziała wtedy, że nie może się pogodzić ze sprzedażą domu i musi wyjechać, bo w nowym nie będzie dla niej miejsca. Tylko to było w tym wszystkim zaskakujące.

Redfern otworzył usta, by zadać kolejne pytanie, ale Ruby wyprzedziła go, zapraszając ich do środka. Inspektor, czując, jak zimno przeszywa mu obolałe palce, nie dał się długo namawiać. Po kilku minutach cała trójka siedziała w salonie ogrzewanym kominkiem elektrycznym. Trzymali w dłoniach kubki z ciepłą herbatą, a Ruby Webbs ciągnęła swoją opowieść.

– Zadzwoiła potem kilka razy, ale była bardzo tajemnicza. To były raczej dziwne rozmowy i w sumie nie trwały zbyt długo. Miałam wrażenie, że Ellie jest pod wpływem jakichś środków – mówiła trochę od rzeczy, bełkotała. Później wysłała mi nawet parę listów, dość sympatycznych. Wynikało z nich, że ma się dobrze.

– Mogła przecież wysłać mail. Nie zdziwiło to pani? – zapytał Redfern. – Wyjazd, telefony, a potem listy – wymieniał.

– W ogóle – zaprzeczyła trochę za mocno Ruby. – Dziesięć lat temu nawet nie miałam komputera. A Ellie żyła po swojemu, zawsze obok głównej ścieżki, zupełnie jakby bunt miała w DNA.

– Przecież mówiła pani, że była dobrą uczennicą – powątpiewał inspektor.

– W podstawówce tak – wyjaśniła kobieta. – Ale w gimnazjum Ellie zmieniła się totalnie. Nauka średnio ją interesowała, za to uwielbiała wszelkie przypały, im większe, tym lepsze. Parę razy namówiła mnie nawet na drobną kradzież w galerii handlowej. Wie pan, takie nastoletnie wygłupy.

Wygłupy, które kosztują właścicieli sklepów osiemset milionów rocznie, pomyślał Redfern.

Ruby Webbs, nie zważając na mocno ściągnięte brwi inspektora, beztrudno kontynuowała:

– Czasem wymalowałyśmy coś sprejem na śmietniku, wypiliśmy piwo w parku – mówiła z nostalgicznym uśmiechem. – Ale wie pan co? – zmieniła nagle ton na bardzo poważny. – Przypomniało mi się, że kiedyś Ellie powiedziała mi, że ukradła coś wartościowego, ale nie bardzo wiedziała, co z tym zrobić.

– Co to było?

– Nie wiem, ale wyglądała na dość przestraszona. Zaniepokoiłam się, bo Ellie była osobą, która nie bała się niczego. Pierwszy raz ją taką widziałam. Zwykle śmiała się w twarz kłopotom – powtórzyła przepełniona emocjami.

Redfern ukradkiem zerknął za okno, za którym wiatr niweczył pracę kobiety, na nowo rozściełając brązowe, pachnące rozkładem prześcieradło na trawniku. Zastanawiał się, czy nastolatka mogła ukraść coś naprawdę cennego. Jedyne, co przyszło mu na myśl, to biżuteria, ale wątpił, czy przywłaszczenie złotego pierścionka lub kolczyków mogło wywołać przerażenie.

– Naprawdę nie domyśla się pani, co to mogło być? – Summer niespokojnie wierciła się w fotelu. Jak pies, którego mimo złapania tropu właściciel wciąż trzyma na smyczy.

– Przykro mi. Ellie nie chciała nic powiedzieć.

– Spróbujemy zapytać jej matkę – Redfern ubiegł kolejne pytanie sierżantki.

– Czy Ellie miała chłopaka?

– Pewnie. Ellie była prześliczna, więc nie miała problemów z powodzeniem, ale tylko za jednym tak naprawdę szalała. Kawał bałwana, ale imponował jej kasą, stylem życia. No i był dużo starszy, a ona takich wprost uwielbiała.

– Maxwellowie chyba nie narzekali na brak pieniędzy – wtrąciła Summer.

– Nie, ale kasę dzierżyła pani Maxwell, bo jako dyrektorka, a potem także wójt, zarabiała najwięcej i najsurowiej rozporządzała majątkiem.

– No dobrze, a jak nazywał się ten chłopak? – spytał Redfern coraz bardziej zaintrygowany rodziną Maxwellów.

– Arthur Austin – Ruby odparła bez żadnych wątpliwości.

– Właściciel pubu?

– Ten sam.

– Dała nawet temu pacanowi połówkę takiego ładnego serduszka.

Policjanci wymienili spojrzenia.

– Wbrew temu, co wszyscy sądzą, to była dobra dziewczyna – ciągnęła nostalgicznie Ruby. – Pracowała w *charity shopie* w Kingfield, opiekowała się bratem, kiedy pani Maxwell spełniała się zawodowo. Myślę, że jej bunt wynikał z tego, że na jej barki wsadzono zbyt wiele. I wiecie co? Jak na to teraz patrzę, to

chyba nikt jej tak do końca nie kochał. Choć ona nade wszystko pragnęła miłości – powiedziała smutno dziewczyna.

– A matka? – zapytała niespodziewanie Summer.

– Ja nie wiem, czy to była zaborcza miłość czy szaleńcza, a może w ogóle brak miłości?

– Mamy zwykle kochają swoje dzieci – zauważyła przytomnie Summer.

– Ale przecież Camilla nie była jej rodzoną matką – obruszyła się Ruby. – Państwo wydają się zdziwieni, ale prawdziwa mama Ellie zmarła przy porodzie, a pani Maxwell była... – kobieta zawiesiła głos, szukając właściwego określenia. – Była tylko żoną pana Maxwella.

– Czy Ellie o tym wiedziała?

– O tym, że jest pasierbicą? Tak, ale chyba poinformowali ją dość późno, jakoś po narodzinach Deana, który był wspólnym dzieckiem Maxwellów. Niestety, nie pamiętam dokładnie, kiedy.

– Jak Camilla Maxwell traktowała Ellie?

– Pewnie bardzo się starała być dobra dla pasierbicy, ale chyba słabo jej to wychodziło. Zwłaszcza od momentu, gdy na świat przyszedł Dean. Ellie trochę poszła w odstawkę, ale wcześniej Camilla była naprawdę dobrą mamą. Chyba nawet trochę zazdrościłam im relacji – nagle jej twarz zmieniło zaniepokojenie. – Wiedzą państwo, jak się czuje pani Maxwell? Chyba powinnam do niej zajrzeć – powiedziała bardziej do siebie niż do nich.

– Myślę, że przyda jej się wsparcie – podsunęła Summer, nie zdradzając zbyt wiele na temat samopoczucia Camilli. – Nieważne czy przysposobione, czy nie, ale to było jej dziecko.

– Ma pani rację. To musiał być dla niej wstrząs – mówiła z przejęciem Webbs.

Redfern przysłuchiwał się rozmowie wycofany we własne myśli. Przypomniał sobie Kingę Wolańską i jej reakcję na śmierć dziecka, znajdując wiele wspólnych mianowników ze stanem pani Maxwell. Ten ból i rozpacz, które oplatały drutem kolczastym ciała kobiet, niemal doprowadziły obie do szaleństwa. David znał to uczucie. W otchłani bezsilności dryfowały miliony bolesnych pytań bez odpowiedzi, ale też dwa rodzaje wysp – skaliste, porośnięte wiarą i te poczerniałe od łez archipelagi zwątpienia. Redfern wiedział, że krzyk wydobywający się z zaciśniętego niemocą gardła zostanie w nim na zawsze, a widok oczu odartych z blasku nadziei, będzie wracał powidokami.

Nagle poczuł czyjąś dłoń na kolanie.

– David, wszystko OK? – Summer była wyraźnie przestraszona.

– Żle pan wygląda, panie inspektorze – zaniepokoiła się Ruby Webbs.

– Przepraszam, to tylko zmęczenie – wyjaśnił zakłopotany. – Na nas już czas. Dziękujemy pani za pomoc.

Kobieta skinęła głową na znak zrozumienia, a następnie odprowadziła ich do przedpokoju, którego ściany tonęły w zdjęciach dzieci. Podeszli do drzwi i Summer chwyciła za klamkę, ale zamiast nacisnąć, odwróciła się.

– Czy ma pani może te listy? – zapytała.

– Nie, już dawno je wyrzuciłam – odparła z dziwną nostalgią.

Pozegnali się, prosząc o kontakt, gdyby kobieta coś sobie przypomniała. Ruszyli chodnikiem, patrząc na bałagan, jaki swą zabawą uczynił wiatr.

– W porządku? – zapytała Summer, gdy znaleźli się we wnętrzu samochodu.

– Tak, ale chyba naprawdę kończy mi się bateria – wyznał.

Zbliżający się wieczór zwiastował Redfernowi kolejną nieprzespaną noc i nie sprzyjał kolejnym odwiedzinom. Dziś David mógł zrobić już tylko jedno.

*

Weszli do domu i od razu rozłożyli się w pokoju Redferna. Położył komórkę na biurku i wybrał numer do Teda w trybie głośnomówiącym. Chwilę trwało zanim patolog odebrał i przywitał się swoim marudnym głosem. Po standardowej wymianie uprzejmości, obejmującej narzekanie na pogodę, na pensję i na pogodę, mężczyzna przeszedł do sedna, które ku zaskoczeniu Redferna nie dotyczyło sprawy Ellie Maxwell.

– Słyszałem, że wypoczywasz? – zagaił Ted, spuszczać nieco z tonu, jakby wstydził się pytania, a jednak potrzeba zadania go była silniejsza od konwenansu.

– Tak jakoś wyszło, że nagle potrzebowałem urlopu – Redfern zrobił unik.

– A w katalogu nie było ładniejszych miejsc od naszego aresztu?

– W tym roku oferta była wyjątkowo uboga – przyznał inspektor.

– Racja, sam spędziłem swoje wakacje w domku, który ktoś uznał za świetny cel rozboju. Chociaż z drugiej strony lepsze porządkowanie hacjendy po kradzieży niż randka z wewnętrznymi.

Redfern chciał podjąć temat włamania, ale widok twarzy zniecierpliwionej Summer kazał mu odłożyć to na inną rozmowę, na inny czas.

– Będziemy mieli materiał porównawczy do naszej NN – oznajmił.

– Jak tylko się obrobię z tym, co mam na stole, to dam to do laboratorium – w głosie patologa zgrzytało niezadowolenie.

– Odkąd to hrabia Meiklejohn zajmuje się takimi pierdołami jak dźwiganie próbek? – zapytał Redfern.

– Odkąd mojego asystenta gdzieś wciągnęło – odparł coraz bardziej zirytowany.

– Jak to wcięło?

– Nie pokazuje się w pracy, nie zadzwonił, nie dostarczył zwolnienia. Słowem: wcięło go. A lubiliśmy sobie wychodzić na dymka.

– Może zapił? – podpowiedziała Summer.

– Dwa tygodnie?! – krzyknął Ted. – Nawet za moich czasów nie było takich imprez.

– Bzdura! – obruszyła się Summer. – A Glastonbury?

– Jak Glastonbury startowało, to ja już byłem szanowanym obywatelem, a nie taplającym się w błocie małpiszonem – zrzędził Ted. – A ty, moja droga, na błoto mówiłaś papu.

Summer zatkała sobie usta dłonią, by nie parsknąć śmiechem. Redfern puścił do niej oko na znak, że rozumie, o co jej chodzi.

– Chyba się obrażę! – policjantka oburzyła się sztucznie, szczerząc do inspektora. – W latach siedemdziesiątych to moja mama mówiła na błoto papu.

– Jakbym siedział w piaskownicy – Ted nie wychodził z roli. – Zapamiętajcie więc sobie dzieci raz na zawsze, że jestem Szkotem i moim sportem narodowym jest golf, a nie małpie podrygi w kałużach piwa.

– No więc skąd wiesz, jakie były imprezy za twoich czasów? – zripostowała Winter.

– Radzę ci, moja młoda damo, przestać zadawać się z tym podrabianym Szkotem, bo twoje poczucie humoru traci na wysublimowaniu – perorował patolog. – Podwieźcie mi te próbki. Zobaczę, co da się zrobić – wymruczał i rozłączył się.

Summer promieniała, jakby dostąpiła zaszczytu porozmawiania z samą królową. Dogryzane gadki były jak homologacja na gliniarską przyjaźń i sierżantka właśnie zdobyła pierwsze szlify.

– Pojedziesz do Teda i dasz mu te próbki – wydał polecenie David. – Aha, wyciągnij też kartę dentystyczną z przychodni w Ripley i ze wszystkim leć jutro do Guildford.

– A ty?

– Zamierzam się zregenerować. – Redfern oparł się wygodnie, założył ręce na piersi, po czym wyciągnął nogi na łóżku.

– Ale jak to? – Summer śmiesznie zmarszczyła nos.

– Nie zapominaj, że ja w tej sprawie tylko pomagam.

– Też ci tak powiem, zobaczysz. – Pogroziła mu palcem, po czym ściągnęła z krzesła sweter i założyła.

– Ted miał co do ciebie rację – mlasnął z niezadowoleniem. – Tępi ci się humor.

Summer obdarzyła go rozbawionym spojrzeniem i zniknęła za drzwiami. Słyszał, jak zakłada kurtkę i buty, a potem żegna się z Banditem i wychodzi.

Siedział przed białą tablicą, na której rozrysował wszystkich uczestników tego wielkiego kłamstwa. Tylko ono wydawało mu się znakiem szczególnym tej zbrodni. Tkało fałszywy gobelin, a on musiał złapać za odpowiednią nitkę, by jednym pociągnięciem go spruć. Nie miał jednak pojęcia, gdzie szukać tego jednego jedyne włókna, niepasującego do idealnego splotu.

Patrząc na swój diagram, miał wrażenie, że w centralnej części, od której odchodziły linie podpisane imionami bliskich ofiary, nie powinna znajdować się szesnastoletnia dziewczyna, ale ktoś z jej otoczenia. Ktoś, kto dał początek wszystkim wydarzeniom, które doprowadziły do śmierci Ellie. Redfern najbardziej obawiał się, że ta osoba jeszcze nie pojawiła się na tablicy i bardzo stara się, by się na niej nigdy nie pojawić.

Tak jak ktoś z drugiego diagramu, który Redfern stale uzupełniał, a którego środek stanowił Adrian Bones. Inspektor odłożył notatki ze śledztwa Ellie Maxwell i wyciągnął z szuflady te dotyczące śmierci przyjaciela, na co spoczywający u jego stóp Bandit podniósł głowę. David schylił się, by pogłaskać go za uchem. Piesek z błagalną miną oparł łapki grubości kijów bejsbolowych o kolana Redferna.

– Nie da rady, stary. Nie ta kategoria wagowa.

Szczeniak przekreślił głowę i rozdziawił zadowolony pysk.

– Niech ci będzie, ale tylko na chwilę. – Redfern uległ wydyszanej prośbie, ujął psiaka za zad i wsadził sobie na kolana. Krzesło skrzypnęło złowrogo. Po paru karkołomnych kółkach Bandit wtulił pysk w szyję przyjaciela i westchnął.

– Żebyś wiedział, kolego, żebyś wiedział. – Pogłaskał berneńczyka po całym grzbiecie.

W dość niewygodnej pozycji wpatrywał się w kopie dokumentów stworzonych przez byłego agenta. Co jakiś czas zauważał napisane ołówkiem słowo „siostra”. Pytał już Patricję, czy coś wie o sprawach prowadzonych przez Adriana, ale ona wciąż się zapierała. Teraz, kiedy udało jej się wyciągnąć Davida z aresztu, zamieniła się w milczącą skałę. Redfern wiedział, że bez jej pomocy nie ruszy z miejsca i nie będzie w stanie znaleźć Palacza, który za wszelką cenę chciał mu przeszkodzić w rozwikłaniu tajemnicy śmierci Bonesa.

– Wciąż nad tym siedzisz, Dawidku? – Redfern nie zauważył, kiedy dziadek wsunął głowę przez szparę w drzwiach. – Przydam się na coś?

– Wejdz – zachęcił go wnuk. – Dostaję już świra od patrzenia na to. – Wskazał obie tablice.

– Nie wiem, czy mogę, skoro masz już pomocnika – skomentował dumną minę Bandita, który rozsiadł się na dobre i za nic nie dawał się zgonić z kolan.

Po paru sekundach negocjacji z każdą z czterech zapartych łap, Redfernowi udało się postawić cielaka na podłodze. Bandit wyszedł z pokoju obrażony.

– Nic nie wymyśliłeś? – zapytał staruszek, siadając na łóżku.

– Sprawa Ellie Maxwell jest bardziej złożona, niż myślałem – przyznał. – Cały czas zataczamy koła – od Travellersów, przez szkołę, rodzinę dziewczyny, aż po jej wyjazd i zniknięcie brata. Szukam jakichś zbieżności, ale im więcej pytam, tym więcej powstaje niewiadomych. Zupełnie jakbym szukał dwóch różnych osób.

– Myślę, że musisz się zastanowić nad tym, co łączyło je obie.

– Powiedziałbym filozoficznie, że potrzeba miłości.

– A ja bym ci odpowiedział, że ta potrzeba doprowadziła ją do grobu – odparł w sztucznej zadumie Siwiaszczyk. – A co z tym? – Wskazał na tablicę, gdzie przewijały się nazwiska Bones, Wood i Redfern.

– Potwierdziło się twoje przypuszczenie – mruknął Dawid. – Że Palacz ma pomocnika, a pobyt Adriana Bonesa w ośrodku uzależnień ma drugie, a może nawet i trzecie dno. Mały krok w stronę prawdy.

– Rozmiar nie ma znaczenia. – Mrugnął Siwiaszczyk.

– Pani Wanda ci to powiedziała? – wymuskiło się Redfernowi, za co dziadek spiorunował go wzrokiem, marnie powstrzymując śmiech.

– Oj, bo nic ci Gwiazdka jutro nie przyniesie! – Pogroził mu palcem dziadek.

Redfern zdał sobie sprawę, że jutro Wigilia, oni nadal w proszku, a on miał przed sobą jeszcze jedno ważne zadanie. Jeśli nie liczyć choinki.

24.12.2013 r., wtorek

Zaskoczyło go zderzenie znakomitej nowoczesności wnętrza z niechlujstwem właściciela. Wiszący nad industrialną szafką telewizor zajmował niemal całą ścianę, ale wystawa puszek, szklanek i ogryzków na jej tle przywodziła na myśl strzelnicę w wesołym miasteczku. Podobne wrażenie robiły oba kąty, gdzie Redfern zauważył wysokie kolumny zwieńczone wystawą talerzy. Na środku pokoju wznosiła się zwałista góra ubrań i dopiero gdy gospodarz zepchnął ją na podłogę, okazało się, że pod nią ukryto prostą, pokrytą czarnym welurem kanapę.

– Proszę siadać – zachęcił Arthur Austin, jednak na widok licznych dowodów spożywania na meblu posiłków, Redfern odmówił. Summer skorzystała z zaproszenia i usiadła.

Ku zaskoczeniu obojga, gospodarz skrzyżował nogi i spoczął na pokrytej turkusowym dywanem podłodze tuż obok stosu ubrań. Nie wyglądał przy tym na zażenowanego, zupełnie jakby kolorowy pagórek był normalnym elementem dekoracyjnym.

– Chciałbym pomówić o Ellie Maxwell – rozpoczął inspektor i ostatecznie zdecydował się zająć miejsce koło sierżantki.

– Nie słyszałem o niej od... – Arthur zamyślił się.

– Blisko dziesięciu lat – dokończyła Winter.

– Zgadza się. Chyba ostatni raz widziałem się z nią w dwa tysiące czwartym.

– To wtedy złamała panu serce? – zapytała trochę za ostro.

– Co? Nie! – zaprzeczył gwałtownie.

– Ale to przez nią zamknął pan pub w Ripley i rozpoczął pracę w McLarenie?

– Redfern zabrał głos.

– Nie wiem, kto wam nagadał takich bzdur. W McLarenie pracowałem zanim poznałem Ellie, a właścicielem pubu był mój ojciec. Ja tam tylko czasem stałem za barem, ale oczywiście chwaliłem się, że niby pub jest mój, bo leciały na to panienki. Potem faktycznie ojciec przepisał go na mnie, ale ostatecznie nie pracuję ani dla McLarena, ani w pubie.

– Czym pan się zajmował w korporacji?

– Byłem asystentem menedżera projektu.

– Duża rzecz – powiedziała z uznaniem.

– Jak na gościa zaraz po studiach, to faktycznie. Ale wiecie, dziesięć lat temu to trochę inaczej wyglądało. W tej chwili jest więcej wykształconych emigrantów i magister na nikim już nie robi wrażenia.

– Ale już pan tam nie pracuje? – usiłował doprecyzować Redfern.

– Nie, znalazłem dla siebie inną ścieżkę kariery – odparł, ale rzut oka na policjantów sprawił, że dokończył. – Jestem marketingowcem w Watersones.

– Wróćmy do Ellie – zaproponowała Summer. – Jaki był wasz związek? Między wami była spora różnica wieku – zauważyła.

– Czy ja wiem? Kiedy się spotykaliśmy, ja miałem dwadzieścia trzy lata, a ona prawie siedemnaście i wierzcie lub nie, ale była dużo dojrzała ode mnie, chociaż lubiła się zabawić.

– Zabawić?

– Jeździliśmy po dyskotekach, imprezowaliśmy z moimi znajomymi, włączyliśmy się w moim wolnym czasie.

– Stał pan za barem, pracował na etacie, więc chyba nie było go zbyt wiele – podsumował Redfern, coraz mocniej ulegając niechęci do Arthura Austina.

– Faktycznie niekiedy go brakowało – przyznał. – Ale jak jest się młodym, to doba wydaje się z gumy. Teraz jak zarwę noc, to odsypiam cały tydzień, ale wtedy mogłem sobie pozwolić na szaleńcze tempo. Trzydziecha to parszywa dziwka – dokończył filozoficznie.

Redfern musiał przyznać mu rację. Trójka z przodu zmieniała reguły gry, zabierając człowiekowi supermoce. Pięć lat wcześniej można było szaleć całą noc, wlewając w siebie dowolne rodzaje i ilości alkoholu, a rano iść do pracy czy na uczelnię, zupełnie jakby stanowiły jakiś nic nieznaczący przerywnik w zabawie. Teraz spożycie kieliszka wina po północy groziło śmiercią kliniczną przez następne dwie doby. Nigdy nie był specjalnie imprezowy, ale z rozrzewnieniem wspominał czas, kiedy mógł uczyć się czy składać auta do bladego świtu bez konsekwencji, których teraz nawet przy w miarę higienicznym trybie życia nie był w stanie uniknąć.

– Czy wiedział pan, że Ellie planowała wyjazd? – z zamyślenia wyrwało go pytanie Summer.

Twarz Arthura poraził krótki impuls zdziwienia, ale szybko odparł:

– To był wolny związek, nie spowiadaliśmy się sobie – zaśmiał się brzydtko i przeczesał włosy.

– No więc raczej nie mieliście długofalowych planów? – zapytał Redfern.

– Fajnie było nam razem, ale o przyszłości wtedy nie myśleliśmy.

– Dlaczego się rozstaliście?

– To było jakoś na początku wakacji. – Zmrużył oczy, usiłując przypomnieć sobie szczegóły. – Ellie wróciła z ferii jakaś odmieniona. Byli na wycieczce w Newquay, czy gdzieś w Kornwalii. W każdym razie od tamtego czasu ciągle się kłóciliśmy, ostatecznie zerwaliśmy jakoś z końcem sierpnia. Słyszałem, że zaraz po tym wyjechała.

– Czyli to pan złamał jej serce?

– Co pani non stop wyjeżdża z tym sercem? – zirytował się. – Byliśmy młodzi, imprezowaliśmy i bzykaliśmy się jak króliki. Koniec tematu.

– Może grzeczniej? – zasugerował zimno Redfern.

– Ludzie, nachodźcie mnie dzień przed świętami, wypytujecie o jakąś laskę sprzed dziesięciu lat, którą w zasadzie ledwo pamiętam. Wiem, że nie żyje, ale ja naprawdę nie mam z tym nic wspólnego.

– Czy ma pan wciąż połówkę wisiora? – inspektor zadał pytanie, patrząc Austinowi prosto w oczy. Miał wrażenie, że przekłuł balon, który od dłuższej chwili rósł w mężczyźnie. Trzydziestolatek zamarł na ułamek sekundy, a jego źrenice rozszerzyły się.

– Gdzieś się tu poniewiera – rzucił, udając obojętność.

– Może pan ją odnaleźć?

Gospodarz podniósł się z podłogi i przeszedł do sypialni. Szybkość, z jaką znalazł serduszko, sugerowała, że przedmiot może jako jedyny w tym mieszkaniu zasługiwać na szczególne traktowanie i własne miejsce. Policjanci usłyszeli tylko jeden dźwięk odsuwanej szuflady. Arthur Austin wiedział dokładnie, gdzie szukać, i po chwili pojawił się w drzwiach z wisiora w dłoni. Podsunął go Redfernowi pod twarz.

– O to chodziło? – burknął z niechęcią.

Inspektor rzucił okiem na błyskotkę, po czym pokręcił głową.

– Nie o to.

*

– Rozumiesz coś z tego? – zapytała Summer, gdy usadowiła się na siedzeniu triumpha.

– Tylko tyle, że był ktoś ważniejszy od Arthura Austina. – Redfern przyglądał się wisiorowi, który zabrał od mężczyzny.

– Wszyscy twierdzą, że była zakochana po uszy.

Inspektor złapał za rzemyk i machał delikatnie zawieszka, patrząc jak obraca się i odbija mdłe światło sufitowej lampki.

– Widać nie w nim, skoro nie dała mu pasującej połówki, tylko tę samą, prawą – oznajmił po chwili.

– Ciekawe, kto ma tę z pasującymi literami? – zastanawiała się sierżantka, zapinając pasy.

– I czy w ogóle jest mordercą.

– Jeśli w ogóle jest jakiś morderca. – Summer wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Przestań – syknął z udawanym gniewem Redfern, po czym oddał policjantce wisiołek.

Sięgnęła do torebki i włożyła go do niej, następnie zaczęła czegoś szukać. Dopiero gdy zabrzączała i zaszeleściła każda rzecz w środku, kobieta wydobyła gumy do żucia. zaproponowała jedną Redfernowi, a ten wyciągnął dłoń. Żuli w milczeniu. Inspektor pierwszy raz od wielu lat pomyślał, że najzwyczajniej w świecie fajnie mieć partnera, wspólnie zastanawiać się nad przebiegiem zdarzeń, by po chwili mleć miętową gumę, siedzieć w aucie i nie mówić nic.

– I co teraz? – zapytała Summer. – Zmarnowaliśmy masę czasu, by znów trafić w ślepy zaułek.

– Nie lubię tego określenia – wyznał Redfern. – Wcale nie są ślepe, bo prowadzą do kolejnych wniosków, a tym samym do rozwiązania. Po prostu trzeba je traktować jak środek do celu, a nie przeszkodę – powtórzył za Siwiaszczykiem.

– No dobrze. To jaki środek teraz wybierzemy?

Gdyby nie nawigacja, która zwykle się nie myli, Redfern nigdy by nie podejrzewał, że wśród płataniny dróg, starych drzew i domków jednorodzinnych znajduje się gimnazjum. Woking High miało do zaoferowania swoim uczniom kilka okazałych budynków, boisko do nogi, kort tenisowy, a mimo to, wchodząc na teren, inspektor odnosił wrażenie ciasnoty. Podobnie jak w podstawówce, tutaj również jeszcze nie świętowano, choć zadbano o atmosferę licznymi dekoracjami.

Przechodząc przez bramę, Summer Winter wyjaśniła stojącemu przy niej nauczycielowi, z czym przychodzą. Łysiejący mężczyzna zrobił zaniepokojoną minę, ale wskazał policjantom drogę do gabinetu dyrektorki, którą okazała się wyjątkowo uśmiechnięta pani Walters. Kobieta wyjaśniła, że dekadę temu pracowała w innej szkole, ale sprawdziła, że opiekunem klasy Ellie był pan Spanton.

Pani Walters wyszła, a wywołany z klasy mężczyzna zjawił się w gabinecie po kilku minutach. Skinął głową na powitanie, a następnie usiadł na wskazanym przez dyrektorkę miejscu. W srebrnej grzywce mężczyzny buszowały uwolnione z chmurnego więzienia promienie słońca. Stojąc w rogu pokoju, Redfern

przyjrzał się szczupłej twarzy, którą zdobiła dopiero powstająca siatka zmarszczek. Twarz była tak pospolita, że nie potrafił sobie wyrobić o niej zdania. Styl ubioru dodatkowo czynił matematyka przezroczyście. Mężczyzna nerwowo poprawił wystający spod szarego swetra kołnierzyk w drobną kratkę.

– Byłem opiekunem jej klasy – odparł na pytanie o Ellie Maxwell. – Bardzo dobra uczennica. Przede wszystkim pracowita i systematyczna – recytował z lekkim zadęciem, którego proweniencji Redfern upatrywał w ścieżce wydeptanej wzdłuż tablicy.

– Przez całe gimnazjum? – upewnił się inspektor, mając w pamięci zmianę w zachowaniu dziewczyny.

– W zasadzie tak, ale im bliżej egzaminów, tym Ellie zdawała się oddalać od wyznaczonego celu.

– Ma pan przypuszczenia, co się stało? – Summer zajęła miejsce naprzeciwko i poprawiła leżącą na stoliku serwetkę.

– To co zawsze. – Wzruszył ramionami.

– Stres?

– Miłość, panie inspektorze – odparł na granicy oburzenia i zdziwienia. – Ellie się zakochała w trochę starszym chłopaku. Podwoził ją czasem pod szkołę głośnym samochodem, ale mówiąc szczerze, najczęściej tylko słyszeliśmy mijający naszą ulicę ryk silnika.

– Pamięta pan markę samochodu?

– Niestety, motoryzacja jakoś zawsze krążyła po obwodzie moich zainteresowań – oznajmił i spojrział przez okno, za którym niebo na błękitną koszulę znów założyło szary smoking chmur.

– A może chociaż kolor?

– Czerwony, z całą pewnością był czerwony.

– Stary czy nowy?

– Raczej stary, jakaś brytyjska marka.

– A cokolwiek na temat chłopaka? – nie wytrzymała ping-ponga Summer.

– Nie wiem, czy wolno mi powiedzieć – oznajmił ostrożnie nauczyciel, wprawiając w konsternację oboje policjantów.

– Proszę mówić, to może być kluczowe – nalegał Redfern, choć spodziewał się odpowiedzi o właścicielu pubu. Zdanie, które padło chwilę potem, zaskoczyło oboje policjantów.

– Z całą pewnością był to ktoś z Travellersów.

Wyszli kompletnie skołowani. Szli do samochodu w minorowych nastrojach, każde w gąszczu własnych myśli.

– Chciałbym, żebyś sprawdziła dla mnie wóz Deana Maxwella.

- Brata Ellie? Przecież nie mógł jej wozić w wieku siedmiu czy ośmiu lat – powątpiewała Summer. – Co mam sprawdzić?
- Całą historię auta. Mam pewne przypuszczenie.
- Ale oczywiście się nie podzielisz?
- Nie, bo jeśli to nie mężczyzna z pubu był miłością Ellie, to nasza podróż dopiero się rozpoczyna.

*

Podjeżdżając pod komendę, Redfern wiedział, że zamiast ozdób on i Summer porozstawiają w swoich domach myśli o Ellie Maxwell. Jej tajemnice przypominały niekończące się fraktale. Usłyszał słowa sierżantki, która jakby ocknęła się z gończego amoku.

– Mogłaby być moją koleżanką – powiedziała gorzko, gdy mijali galerię sztuki. – Ellie pewnie szykowałaby dziś święta z rodziną, upychała prezenty pod choinką i nuciła jakąś bzdurną kolędę. Powiedz mi, jakim trzeba być bydlakiem, żeby pozabawić kogoś życia, zanim na dobre się ono rozpoczęło? Jaka kara jest dla takiego człowieka odpowiednia?

– Mnie nie pytaj, bo mogę ci podać tylko niepoprawną politycznie odpowiedź – oznajmił niechętnie Redfern i zjechał pod wiadukt na Victoria Way, by po chwili wypaść pod murami komendy i wysadzić dziewczynę przy głównym wejściu. Rozstali się, blado życząc sobie wesołych świąt.

W miarę zbliżania się do ronda, zdawał sobie sprawę, że zakup choinki w Wigilię Bożego Narodzenia to najboleśniej strzał w stopę, jaki wykonał w tym roku. Każdy z prowadzących do ronda pasów stanowił stalowy wąż, który rozciągał się aż do samego centrum sprzedaży drzewek. W kolorowym korowodzie każdy szanujący się mieszkaniec Surrey obowiązkowo marznął w kabriolecie, który w przeciwieństwie do wszystkich mini czy fiatów 500, idealnie nadawał się do transportu świeżej jodły. Tym bardziej nie dziwiły dane, że po Wielkiej Brytanii jeździ stosunkowo najwięcej kabrioletów w całej Europie, choć najrzadziej ściąga się z nich dach. Redfern pomyślał, że na tę statystykę składają się wyłącznie okresy świąt i cztery ciepłe dni lata.

Stojąc zakleszczony w korku, z zazdrością patrzył na zieloną, iglastą ślicznotkę siedzącą na siedzeniu pasażera audi, które właśnie go minęło.

Sznurek przesuwiał się w miarę szybko, co – jak się przekonał – zawdzięczał sprawnej obsłudze centrum. Oczywiście oprawa sprzedaży stanowiła osobny show, na który składały się świąteczna muzyka, domek Mikołaja z gospodarzem rozdającym słodczyce, sklepik bożonarodzeniowy i spacerujące w zagrodzie renifery.

Po godzinie miał na pokładzie spakowaną w ciasną siatkę niewielką jodłę o trudnej do zapamiętania nazwie oraz idealny prezent dla Marty.

*

Pierwsze uczucie, które zaraz obok zadowolenia naszło Redferna, to wdzięczność. Co prawda karp zdążył ostrzelać całą kuchnię tłuszczem, uszka postanowiły się porozklejać, a serwetki pognieść, ale i tak cieszyło go to świąteczne zamieszanie, które sobie z Siwiaszczykiem mimo kłopotów zafundowali. Wszystkie Wigilie spędzali razem, ale ta wydawała mu się naprawdę ich. David pamiętał poprzednie lata, kiedy wpadali z Patricią przelotem, pośpiesznie dzielili się opłatkiem, siorbnęli barszczu, skubnęli krokietu i wracali do Guildford przy akompaniamencie jej utyskiwania. Zaraz po tyradzie na temat okropności jedzenia napływała fala sztucznego strachu, że teraz ona nie zdąży się przygotować na przyjęcie bożonarodzeniowe w Silver Manor. Rodzina byłej narzeczonej wymagała bowiem precyzji nie tylko manier, ale i stroju.

Dziś stał w pokoju Siwiaszczyka w jeansach i świeżo wyprasowanej koszuli, wieszał koślawe pajacyki i aniołki na choince. Takiej normalnej. A nie na trzymetrowym kolosie w posiadłości, w której miesiąc wcześniej ustalało się kolor świecidełek i długo dyskutowano, czy lepiej pasuje ochra czy jednak szampańskie złoto. Polskie Radio Londyn wlewało do domu *Cichą noc*, poprzecinaną brzękiem talerzy dochodzącym z kuchni.

– Na tył tyle nie dawaj – ostrzegł go dziadek, który właśnie wniósł do pokoju szopkę. Ustawił ją pod drzewkiem, robiąc miejsce między kolorowymi paczkami. Ręcznie wykonany domek nosił ślady poczynione zębem czasu, przy czym najbardziej rzucał się w oczy osiołek bez kopytka i Józef z przyklejoną krzywo głową i miną, która wskazywała, że wciąż próbuje rozpracować to całe niepokalane poczęcie.

– Ozdoby powinny być rozwieszane po równo – bronił się Redfern.

– Z przodu najwięcej. Taka tradycja – zawyrokował Siwiaszczyk i wyszedł, zamieniając się miejscami z Banditem, który krokiem defiladowym przeszedł pod stołem i ułożył się pod choinką, wybierając szopkę za legowisko.

– Nie mamy Jezuska! – krzyknął z kuchni dziadek. – Gdzieś się zawieruszył.

Już mamy, pomyślał Redfern, patrząc na leżącego pośród świętych postaci szczeniaka, i powiesił z tyłu srebrny sopelek tuż obok wściekle różowej bombki.

Zaraz po obsypaniu choinki anielskim włosem, ułożył na stole obrus i porozkładał talerze.

– Tylko koniecznie pamiętaj o nakryciu dla zbłąkanego wędrowca – poinstruował go dziadek ze stanowiska dowodzenia. – Jeszcze sianko pod obrus włóż i opłatek na tacce na sam środek daj.

– Ciebie to musieli się na tej komendzie bać – podsumował rozkazy Redfern.

– Tak, jak mysz słoniny – zaśmiał się Siwiaszczyk i znów wrócił do swojej kuchennej perkusji, a David wykonał wszystkie polecenia, po czym poszedł do staruszka po kolejne. Miał przecucie, że za całym tym przejęciem nie stoi wierność tradycji i radość z nadejścia dzieciątka, ale kogoś znacznie starszego i odmiennej płci.

Sześć uderzeń zegara, które zbiegło się z pukaniem do drzwi, tylko potwierdziło te przypuszczenia.

– To pani Wanda – szepnął Siwiaszczyk, poprawił krawat i włożył marynarkę. – Pilnuj barszczu, żeby się nie zagotował, bo straci barwę.

Redfern potwierdził przyjęcie rozkazu, ale starszy mężczyzna już tego nie widział. Poszedł do przedpokoju, który po chwili zalały dźwięki eleganckiego powitania i subtelnych komplementów. Kiedy szelest płaszcza zmienił się w nieśmiałe kroki, w progu stanęła szczupła kobieta o włoskich rysach. Weszła sprężystym krokiem do kuchni i przedstawiła się z uśmiechem. Była tak naturalna i świeża, jakby od młodości oddzielała ją tylko siatka zmarszczek.

– Wiele o panu słyszałam – wygłosiła uprzejmą formułkę.

– Mam nadzieję, że dobrego.

– Też. – Mrugnęła okiem, a Siwiaszczyk zaśmiał się z zakłopotaniem.

Redfern wiedział, że w tym krótkim słowie pani Wanda zawarła wszystkie powody, dla których dziadek odświeżył garnitur i przeprosił się z perfumami. Starszy człowiek nade wszystko cenił w ludziach szczerą i poczucie humoru, a kobieta najwyraźniej dysponowała obiema tymi cechami.

– Oczywiście same dobre rzeczy – poprawiła się. Mówiła z akcentem typowym dla człowieka, który z ojczystym językiem pożegnał się dziesiątki lat temu. – Wiem, że jest pan policjantem.

– Proszę mi mówić... – Redfern zawiesił głos. – Dawid.

– Dobrze, Dawidzie, ale ty też mów mi Wanda – zastrzegła. – Nigdy nie lubiłam tego polskiego „panowania”.

– Jasne – odparł. – To co, chyba możemy siadać?

Siwiaszczyk, do tej pory rozpromieniony, poruszył się niespokojnie, jakby wizja wspólnej kolacji nagle przestała go cieszyć. Spojrzał przez ramię do pokoju Davida, ale na słowa Wandy znów wrócił mu rezon.

– Jeszcze chwilkę. Przyniosłam pierniki i kutię – oznajmiła, poprawiając bordowy zakiet, który świetnie podkreślał jej sylwetkę. – Boguś, przynieś rzeczy z przedpokoju, prędziutko.

– Już, Wandziu, przynoszę – zapewnił i wyszedł.

Patrząc, jak dziadek rozpakowuje miski przyniesione przez Wandę, Redfern musiał zauważyć, że na mostku tego statku stanął nowy admirał.

Nawleczone na nitki pierniki wylądowały na choince, nadając jej prawdziwie świątecznego uroku. Ku zaskoczeniu obojga, Siwiaszczyk nie przyłączył się do wieszania łąkoci, stając się coraz bardziej niespokojnym, co starał się ukryć za bladym uśmiechem.

Dzwonek do drzwi sprawił, że wszyscy na ułamek sekundy zamarli. Nawet Bandit nie drgnął ze swojego stanowiska. Pierwszy odzyskał fason dziadek.

– Otworzę – rzucił z dziwnym wyrazem twarzy.

– Zostań – rozkazał ostro Redfern i ruszył do przedpokoju, mając pod skórą cały zapas złych przeczuć. O tej porze można było się spodziewać tylko fatalnych wieści. Wszedł do ciemnego korytarza, próbując zgadnąć, do kogo należy rysująca się za mlecznym przeszkleniem sylwetka. Podeszedł do drzwi, otworzył zamek i pociągnął za klamkę, a następnie oniemiał.

– Wesołych świąt, Dave – powiedziała kobieta.

– Wesołych świąt, David – powtórzyła pyzata twarz, która wyłoniła się zza winkla.

Policjanci wyposażeni w mnóstwo papierowych toreb wtarabanili się do przedpokoju, wypełniając go życzeniami i tłumaczeniami.

– No wreszcie! – zakrzyknął Siwiaszczyk, stając w progu.

– Twój dziadek nas zaprosił – wyjaśniła Summer, zdejmując płaszcz.

– Pan Swi... Siwi... – Tinney nie potrafił wypowiedzieć nazwiska staruszka.

– No twój dziadek dowiedział się, że siedzimy w święta sami, i zapytał, czy mamy ochotę wpaść.

– A my mieliśmy wielką – dokończyła sierżantka. – Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

– A co ma się gniewać? – obruszył się Siwiaszczyk. – W święta nikt nie powinien być sam.

– To ja dostawię jeszcze jeden talerz dla wędrowca – oznajmił Redfern, nieco przytłoczony zamieszaniem. Szukając w kuchni pasującego nakrycia, cieszył się z fortelu dziadka. Jednocześnie starał się odepchnąć myśl o tym, jak bardzo wołałby, żeby wędrowcem okazała się Marta. Zerknął do swojego pokoju, gdzie na stole stał przygotowany dla niej prezent, który zamierzał jej wręczyć jak najszybciej.

Młodym policjantom niezwykle podobało się łamanie opłatkami, a Puzkę o mało nie rozerwało ze szczęścia, kiedy Siwiaszczyk zaproponował mu zjedzenie wszystkich białych prostokątów. Dziadek z Wandą odśpiewali kilka polskich kolęd, a potem dla równowagi cała piątka trochę kulawo wykonała

I Saw Three Ships oraz *The Twelve Days of Christmas*, kilkakrotnie myląc wymieniane zwierzęta. Moment wręczania prezentów, do których starsza kobieta wyznaczyła Summer jako aniołka, przyniósł wszystkim wiele radości, choć Siwiaszczyk długo upierał się, że podarunki jednak przynosi Gwiazdka. Jednak kiedy na jego kolanach wylądowała niewielka paczuszka, z ochotą zabrał się do rozpakowywania.

– Komputerek? – zdziwił się, zrywając kolorowy papier.

– Czytnik książek – pospieszył z wyjaśnieniem Redfern. – Możesz sobie nagrać dowolną liczbę powieści i czytać nawet w autobusie.

– Ale ja słabo widzę, Dawidku – zmartwił się starszek.

– Ustawiasz sobie wielkość liter na taką, która ci pasuje. Nawet bardzo dużą.

– Redfern wziął z rąk mężczyzny urządzenie i szybko włączył największą czcionkę.

– Ale sprytne ustrojstwo – pochwalił dziadek, z zachwytem zapominając o angielskim. – A *Śmiertelnie poważną sprawę* Ćwirleja mi znajdziesz, Dawidek? Bardzo lubię tego Olkiewicza.

– Odezwał się stary gliniarz – odparł w języku Szekspira Redfern, na co młodzi policjanci zrobili wielkie oczy.

– Był pan policjantem? – zapytał Puszka, z trudem odrywając się od śledzi w cebulce.

– No, i to podobno niezłym – pochwalił go David.

– Nieładnie tak kłamać w Wigilię – zaśmiał się Siwiaszczyk.

Redfern patrzył na roześmiane twarze, z każdą minutą czując, że powinien być gdzie indziej. Gdy tylko na stół wjechała kawa i makowiec, przeprosił wszystkich i wyszedł z domu, mając nadzieję, że pielęgniarkę ogarnął świąteczny nastrój i wpuści go do Marty. Na wszelki wypadek zaopatrzył się w solidny kawał sernika.

Noc zdążyła już pokryć świat czernią, nie zaszczycając Woking gwiazdami, choć był pewien, że gdy zasiadali do kolacji, widział na niebie kilka rozpalonych iskier. Nieszkodliwa łapówka zadziałała bezbłędnie i Redfern wszedł do sali, w której czas zdawał się zatrzymać, a świąteczny nastrój – rozbijać o szare drzwi.

Jedynie opuchlizna i siniaki wycofujące się z zastygłej we śnie twarzy dawały złudną nadzieję, że wszystko zaraz się skończy. Redfern usiadł koło łóżka.

– Pewnie nie wiesz, ale dziś jest Wigilia – starał się, by jego głos brzmiał jak najłagodniej. – Byli u mnie Winter z Tinneyem oraz nowa dziewczyna dziadka. Podobałoby ci się. Udało nam się nie przypalić niczego, nie potłuc ani nawet nie pokłócić. – Uśmiechnął się na myśl o świątecznych sukcesach. – Mówią, że jaka

Wigilia, taki cały rok, więc mam nadzieję, że tak będzie wyglądał dwa tysiące cztertnasty. Z jedną tylko różnicą – że się obudzisz.

Zamilknął, czując, jak żal rozpiera się w klatce piersiowej, podchodzi zarem do gardła i ściska je kolczastą dłonią. Patrząc na Martę, utwierdzał się w przekonaniu, że jego życie jest puste, że spalał dzień za dniem niczym nastolatek papierosa – na szybko, bez zaciągania się, za to ze wstydem. Czuł gorycz, że nie umiał obronić niczego w swoim życiu. I choć Marta pojawiła się w jego świecie na ułamek sekundy, to zdał sobie sprawę, że to, co każdego dnia wręcza rzeczywistość, jest nie do zniesienia w pojedynkę.

Otrząsnął się z zamyślenia.

– Chciałem ci przynieść coś Petera Maya – powiedział cicho i wyciągnął z reklamówki sporych rozmiarów książkę. – Ale pomyślałem, że to ci się bardziej spodoba. – Odłożył biało-czerwony wolumin na szafkę i postawił obok pudełka z prezentem. – Ale to za chwilę. Przyszedłem ci powiedzieć, że bardzo chciałbym, żebyś zostawiła już to łóżko w cholerę. Życzę ci tego. Sobie też – urwał na chwilę. – Żebyś mogła iść ze mną i Banditem na długi spacer – ciebie pewnie będzie słucał, bo musisz wiedzieć, że straszny z niego urwis. – Redfern przerwał na chwilę, zastanawiając się, czy ująć kobietę za palce. Cofnął jednak rękę. Część z nich pokrywały opatrunki, a te, z których zdjęto bandażę, zakończone były wyłamanymi paznokciami. Nie chciał jej sprawiać bólu. Nagle poczuł, jak niedawną gorycz zastąpiła wściekłość na bestię, która się tego dopuściła. W strumieniu potwornego gniewu, który zdawał się zalewać każdy z jego zmysłów, obiecał Marcie, że znajdzie człowieka odpowiedzialnego za to wszystko.

– Zobaczysz – mówił cicho. – Jeszcze odwiedzimy każdą restaurację w Surrey i sprawdzimy, gdzie podają najlepsze *lemon drizzle*. A teraz posłuchaj. – Sięgnął po książkę i otworzył ją na pierwszej stronie. – *Czy zastanawiałeś się kiedyś, skąd Mikołaj wie, czy byłeś grzeczny czy może jednak nie?* – przeczytał pierwszą linijkę tekstu.

Jego głos wypełnił salę opowieścią o tracącym magię elfie z półki. Kiedy David skończył, odłożył książeczkę i wyciągnął z pudełka prezent, który w ostatniej chwili udało mu się podrasować.

– To w zamian za Bandita. Rzeczywiście dobrze mnie pilnuje.

Posadził skrzata na szafce i upewnił się, że zamontowana w nim kamera działa bez zarzutu.

Następnie z czułością pogłaskał Martę po włosach i, walcząc chwilę ze sobą, pocałował w czoło.

25.12.2013 r., środa

Siedział przy stole zadowolony z prezentu od dziadka. Elektryczne kapcie, które od godziny grzały mu stopy, spełniały swoje zadanie bezbłędnie, sprawiając, że ból zszedł do znośnego poziomu, a Redfern mógł spokojnie wyłożyć na blacie kolejny sekwens.

– Ale ci karta żre – staruszek mruknął z przekąsem i włożył do ust kawałek piernika.

– Nie tylko karta – David skomentował okruchy na stole.

– Przyszło mi coś do głowy – rozpoczął Siwiaszczyk. – Rozpisałem wszystkie zdarzenia, które się ostatnio zadziały, i wyszło mi, że sprawcy tak jakby podzielili się robotą. Po stronie Palacza mamy działania bardziej ofensywne, jak wysadzenie mieszkania i porwanie, ale po stronie tego drugiego mamy łapówkę, śledzenie, lalkę. Nie jestem tylko pewien, komu przypisać otrucie Knighta.

– Nie są więc współnikami.

– Tak mi wyszło. – Mężczyzna dobrał kartę i z miejsca odrzucił ją na stos. – Ten drugi usiłuje nakierować cię na właściwe tory.

– To dlaczego po prostu nie przyjdzie, nie zakończy tego cyrku? – Redfern pozbył się niepotrzebnej mu trójki pik.

– Bo albo jest umoczony w sprawie po uszy, albo na tyle blisko Palacza, że nie może sobie pozwolić na grę w otwarte karty – oznajmił Siwiaszczyk, sięgając po wyrzuconą przez wnuka kartę. Wsadził ją w swój wachlarz i ostentacyjnym ruchem wyłożył go, spektakularnie kończąc grę.

*

Wiedział, że nie przekona Michelle Partner żadnym sernikiem świata, by umożliwiła mu spotkanie z Lindą Wall. Był jej za to wdzięczny – dbała o spokój swoich pacjentów, choć oznaczało to twarde reguły. Mimo to postanowił jechać do kliniki uzależnień, by w tym szczególnym dniu dać znać koleżance, że nie jest sama. Dopakował więc do paczki z książkami i szalikiem pudełko

z piernikami i wielkiego czekoladowego Mikołaja i ruszył do The Priory, mając nadzieję, że recepcjonistka zgodzi się na przysługę.

Jadąc wolno zadrzewioną uliczką, zauważył, że odchodzi od niej kolejna, opisana jako droga do szpitalnego bloku terapeutycznego. Między nagimi pniami mignął mu niewielki domek. Redfern zastanawiał się, ile kosztuje pobyt w takim przybytku, skoro leczenie na zasadach ogólnych wyciągało z portfela majątek.

Z tą myślą dojechał na parking, na którym każdą najmniejszą przestrzeń wypełniały samochody. Krążył chwilę alejkami, szukając choć szczeliny, w którą mógłby wcisnąć triumpha, ale nikt nie wyjechał. Stał więc naprzeciwko wejścia i czekał.

Odczytał SMS-a od Summer z listą właścicieli staga, którym jeździł Dean Maxwell, ale niewiele z niej mógł wynioskować. Auto przechodziło z rąk do rąk w krótkich odstępach czasu.

Nagle przez wielkie przeszklenie zauważył drobną rudą postać, zatopioną w tym samym fotelu, w którym zwykła siadać, kiedy ją odwiedzał. Od Lindy Wall odróżniały ją jednak dwie dodatkowe ognistowłose głowy, zdające się wyrastać z jej ramion.

Patrząc, jak sierżantka trzyma na kolanach i tuli do siebie swoje córki, nabrał przekonania, że wykonany w nocy telefon za ocean przyniósł właściwy rezultat. Nie chcąc zostać zauważonym, zawrócił i pojechał w jedynym słusznym kierunku.

26.12.2013 r., czwartek

Leżąc w ciepłym łóżku, myślał o tym, co znalazł, a właściwie nie znalazł na karcie pamięci kamery. Poza standardowymi wizytami personelu szpitala, nie pojawił się nikt, choć Redfern był pewien, że Palacz będzie chciał zaznaczyć swoją obecność w tym szczególnym dniu. Davidowi przeszło przez myśl, że jeśli mężczyzna odpuścił wizytę w Boże Narodzenie, to może spędzał ten czas z rodziną. A zatem bliżej mu do otoczonej dziećmi Rubi Webbs aniżeli do samotnego wilka, jakim był chociażby Robert Streeter, którego zamierzał odwiedzić.

Umówił się z dziadkiem, że do Hammersmith pojedą późnym popołudniem, kiedy upora się z napęczniałym rozkładem dnia. Siwiaszczyk nie zapomniał wyrazić niezadowolenia z powodu pracy w święta, ale stojąca w progu Summer udobruchała go zapewnieniem, że postarają się skończyć jak najwcześniej.

Dąb na posesji Webbsów musiał mocno dopiec właścicielom. Redfern uśmiechnął się do siebie, widząc Rubi z dmuchawą, która, warcząc przeraźliwie, wzbijała liście na niewielką wysokość i przesuwała w stronę dość dużej już sterty koło domu. Inspektor wysiadł z samochodu i machnął, by kobieta wyłączyła sprzęt.

– Wie pan coś o Ellie? – zapytała, gdy tylko maszyna umilkła.

– Jeszcze nie, ale może mi pani bardzo pomóc – powiedział Redfern. – Chciałbym, żeby przypomniała sobie pani wasze ostatnie ferie wiosenne i wycieczkę do Newquay.

Rubi odłożyła dmuchawę na ziemię i z trudem się wyprostowała.

– Tak, faktycznie była taka wycieczka. – Webbs uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Ostatnia wspólna, z całą klasą. Potem wszyscy się rozeszli do liceów albo zajęli pracę.

– Czy coś się na niej wydarzyło? – Inspektor przestąpił z nogi na nogę. – Kilkoro świadków twierdzi, że Ellie wróciła z niej odmieniona.

– Nie, świetnie się bawiliśmy. Newquay to przepiękne miasteczko – zwiedzaliśmy, kąpaliśmy się w morzu, a wieczorami mieliśmy superczas.

Byłyśmy z Ellie zachwycone.

– Naprawdę nic sobie pani nie przypomina? – naciskała Winter.

Ruby pokręciła głową, ale nagle zamarła.

– Państwu nie chodzi o wycieczkę, ale o całe ferie – powiedziała powoli, ale policjant niewiele zrozumiał, więc kontynuowała: – Wycieczka trwała cztery dni, a ferie dziewięć – wyjaśniła. – Zaraz po niej Ellie pojechała do babci, do Burrells, i to stamtąd wróciła jakaś dziwna. Pamiętam, że chyba została trochę dłużej, ale w sumie nie miało to znaczenia, bo byliśmy już po egzaminach.

– Powiedziała, co się stało? – wtrąciła pytanie Summer.

– Chyba nie, chociaż... jak teraz o tym myślę, to chyba pokłóciła się wtedy z babcią albo jakąś ciocią. Naprawdę nie pamiętam.

– Nie szkodzi – uspokoił ją Redfern. – Bardzo mi pani pomogła.

Wąską uliczkę między ceglanymi budynkami znaczyły głębokie koleiny. Redfern pomyślał, że mieszkańcy zaułka musieli mieć wielu świątecznych gości, skoro jasne kamyczki były w takim stanie.

Robert Streeter przyjął ich z tą samą chłodną, marynarską uprzejmością, co ostatnio, choć tym razem czekała na nich zaparzona herbata i kilka muffinek z czerwonym lukrem.

– Chcielibyśmy porozmawiać o Arthurze.

– Tak jak mówiłem przez telefon, od lat nie utrzymujemy kontaktów – zastrzegł. – Ale tak, to mój syn.

– Nie utrzymuje pan z synem kontaktów, a jednak w dwa tysiące czwartym roku przekazał pan mu w darowiźnie pub wraz z całą ziemią – zauważyła Summer.

– No i właśnie od tamtego czasu nie rozmawiam z Arthurem – podsumował mężczyzna. – Dałem mu całą nieruchomość, mając nadzieję, że jak będzie właścicielem, to weźmie za nią odpowiedzialność, uszatkuje się, a on po kilku miesiącach zwyczajnie wszystko sprzedał. I to jeszcze komu? Nauczycielowi z podstawówki i jego żonie pijawce. – Starszy człowiek zdawał się bliski płaczu.

– Uzasadnił jakoś sprzedaż?

– Powiedział, że nie ma czasu zajmować się knajpą, bo ma teraz projekt w McLarenie i nie będzie więcej stał za barem i obsługiwał zapijaczonych wieśniaków.

– Do tej pory mu to nie przeszkadzało – zastanowił się na głos Redfern, notując, by przyjrzeć się bliżej firmie motoryzacyjnej, która tak diametralnie zmieniła życie obu mężczyzn powiązanych z Ellie Maxwell.

– Może zwyczajnie potrzebował tych pieniędzy? – zasugerowała Winter.

– Ależ nie – zaprzeczył starszy i wychylił się do przodu tak gwałtownie, że skrzypnęły sprężyny fotela. – Zawsze wszystko miał, w barze też zarabiał naprawdę nieźle, a potem jeszcze w tym McLarenie. Ja naprawdę nie rozumiem, co się zaszło z tym chłopakiem. Był absolutnie zaślepiony tą dziewczyną od Maxwellów. Ciągłe mówił, że jeśli ją zdobędzie, spełnią się jego marzenia. Omotała go kompletnie. – Załamywał ręce.

– Pokłóciliście się o nią?

– Okrutnie. Powiedział, że nic nie rozumiem, że są sprawy ważniejsze niż jakiś stary pub. A przecież on należał jeszcze do mojego dziadka i powinien zostać w rodzinie. Żal serce ściska na widok niszczącej krwawicy, żal serce ściska – powtórzył, patrząc gdzieś za okno, jakby z tego miejsca mógł dostrzec dach darzonego sentymentem budynku.

– Czy pana syn jeździł kiedykolwiek zabytkowym samochodem?

– Arthur? Chyba pan żartuje. Jego interesowały tylko nowinki techniczne. Pamiętam, że na osiemnastkę zażyczył sobie audi A6 allroad quattro.

– Czerwone? – zainteresował się Redfern.

– Czarne – odpowiedział mężczyzna. – V8, cztery koma dwa litra. Odrzutowiec, a nie samochód – rozmarzył się. – Moja żona była przeciwna takiej maszynie, ale uznałem, że kiedy mam syna rozpieszcząć jak nie teraz? Świetnie się uczył, mieliśmy dobry kontakt.

Słuchając tego Redfern miał wrażenie, że na emeryturze komandor Streeter utkał przeszłość tak, by idealnie przykrywała fakt, że jego praca, choć dochodowa, naznaczyła dzieciństwo i młodość Arthura samotnością. Inspektor za długo chodził po świecie, by nie zdawać sobie sprawy, że niebagatelnie drogi prezent miał wynagrodzić wszystkie te lata, które marynarz spędził z dala od domu i nastoletnich problemów.

– A wracając do Ellie Maxwell, poznał ją pan?

– Tak, była u nas kilka razy. Bardzo miła i prześliczna dziewczyna, więc nie dziwię się, że zawróciła mu w głowie. Tym bardziej że Arthur należał raczej do dzieci, jak to się mówi, wycofanych.

Redfern znów pomyślał o wpływie pracy komandora na życie chłopaka, coraz bardziej go rozumiejąc.

– Ona sama wydawała się dość przebojowa – ciągnął starszy mężczyzna. – Ale to może nieco przestarzałe określenie. W każdym razie w mojej ocenie była za młoda dla Arthura, choć wydawała się od niego dojrzała – dodał po namyśle.

– Pamięta pan może koniec lata dwa tysiące czwartego roku? Podobno wtedy się rozstali.

– Niestety, wtedy już nie rozmawiałem z synem – rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Odniosłem wrażenie, że raczej nie darzył pan sympatią Maxwellów.

– Co to, to nie – zachnął się staruszek. – Nie znam ich za dobrze, ale to porządni ludzie. Ciężko zapracowali na swoją pozycję. Po prostu przemówił przeze mnie żal, że straciłem ojcowiznę. Ale jeśli chcecie się czegoś dowiedzieć o pani wójt, to przyjaźnili się z państwem Oaks z ich sąsiedztwa. Sam grywałem w brydża z Eugenem Oaksem, stąd wiem, że Maxwellowie byli im bliscy.

Redfern podziękował Streeterowi i zanotował w telefonie dane państwa Oaks.

– Państwo wybaczą – odezwał się przepraszającym tonem komandor. – Ale czuję się wykończony świętami...

– Oczywiście, to zrozumiałe. – Summer podniosła się pierwsza i założyła leżący na oparciu płaszcz. Redfern wstał, czując żwir w kolanach. Najchętniej wróciłby do domu, włożył stopy w kapcie i delektował się drugim dniem świąt.

Gdyby nie ogromny park okalający dom, można by powiedzieć, że Beatrice i Eugene Oaks byli bezpośrednimi sąsiadami Maxwellów. Triumph toczył się z wolna po szutrowej ścieżce prowadzącej między wiekowymi sekwojami. W zimowej szacie teren prezentował się surowo, ale panujący w nim ład i symetria zachęcały do zdjęcia nogi z gazu i podziwiania kunsztu ogrodników. Summer nie odezwała się całą drogę, wodząc wzrokiem po równo przyciętych krzewach.

Po paru minutach stali na białych schodach prowadzących do dwuskrzydłowych drzwi, które otworzyły się natychmiast, gdy tylko wysiedli.

Gospodyni o pogodnej, pięknej twarzy poprowadziła ich przez jadalnię do obszernego salonu, w którym oczekiwał ich pan domu wraz ze spoczywającym u jego stóp starym golden retrieverem. Redfern ukradkiem zerknął na zawieszkę u obroży, na której wygrawerowano imię „Fanta”. Uśmiechnął się w duchu i wrócił wzrokiem do mężczyzny.

Siedemdziesięciolatek może nie szczylił się bujną czupryną, ale wąs na jego twarzy przywodził na myśl najwytworniejsze zakłady barberskie. Srebrne nici układały się w dostojną falę, by skończyć zawadiackim zawijasem tuż za linią ogorzałych policzków.

Redfern był pewien, że mężczyzna zaraz każe wszystkim usiąść na dywanie, po czym weźmie jedną z opasłych ksiąg, których grzbiety złociły się z regałów, i zacznie czytać jakąś wyjątkowo porywającą historię z gatunku płaszcza i szpady.

Mężczyzna przyjrzał się przybyłym zza okularów w antracytowej oprawie i dżentelmeńskim gestem podkręcił wąsa.

– Dobry wieczór – przywitał się uprzejmie, ale nie wstał.

Redfern zauważył obok fotela łaskę zwieńczoną główką w kształcie łabędzia.

– Wnoszę, że pan inspektor i pani sierżant – Eugene bardziej stwierdził, niż zapytał.

Oboje potwierdzili uprzejmym skinieniem głowy.

– Proszę usiąść – zachęciła gospodyni i wskazała pozostałe dwa fotele.

Policjanci zdjęli kurtki i zajęli miejsca. Fotel Redferna natychmiast otulił go komfortem, jakiego David dotąd nigdy nie czuł. Pomyślał przez chwilę, że mógłby tak sobie siedzieć w tym salonie, zatopiony w zapachu skóry i wspomnień, aż wszystkie kłopoty pójdą w zapomnienie.

– Muszą mi państwo wybaczyć – usłyszał głos gospodarza. – Ale jest taka pora, że mogę państwu zaproponować co najwyżej dwa napoje – herbatę z mlekiem lub pełnoletniego Royal Salute.

– Jestem na służbie. – Summer podniosła rękę na znak, że nie może pić alkoholu. – Poproszę szklankę wody.

– A ja już jestem wysłużony. – Redfern uśmiechnął się oszczędnie, ale gospodarz znów wybuchnął serdecznym śmiechem, a gdy przestał, zwrócił się do żony:

– Kochanie, czy możesz?

– Oczywiście. – Kobieta podeszła do jednej z szafek z ciemnego, egzotycznego drewna i otworzyła ją. Gdyby nie rozmiary butelek, można by przyjąć, że jest to toaletka niezmiernie dbającej o urodę damy. Kształty, korki i etykiety tworzyły kolaż podsuwający wyobraźni paryskie perfumy.

– Szafir? – zwróciła się do męża.

Okalające jej twarz pszenicznazłote włosy nadawały jej łagodności i czegoś, za czym Redfern bardzo tęsknił, choć nie umiał nazwać. Patrząc na ruchy Beatrice, stwierdził, że najbliższym tego słowa spoczywała kobiecość.

– Jak ty mnie znasz, moja droga. – Eugene odwrócił się w fotelu, ujął żonę za dłoń i ucałował. Ona odwdzieczyła się czułym pocałunkiem prosto w gładką łysinę i wróciła do przeglądania zawartości barku. Dobyła granatowej butelki i z wprawą kiperki naląła do dwóch kryształowych szklanek po centymetrze bursztynowej ambrozji, po czym podała je mężczyznom. Następną, z równie fikuśnej karafki, napełniła wodą dla Summer. Gdy skończyła, usiadła na krześle obok męża, racząc się przygotowaną wcześniej herbatą.

– Chcieli państwo o coś zapytać – rozpoczął gospodarz, gdy tylko dotknął ustami trunku, i usunął chusteczką krople z wąsa.

Redfern również upił łyk, ledwie pokrywający jego język cieniutką warstwą smaku, który zdawał się mienić aromatem dębu, wanilii i wiśni, by na koniec

zostawić nozdrza wypełnione smużką dymu. Inspektor musiał przyznać, że dawno nie pił tak znakomitej whisky.

– Tak, interesuje nas rodzina Maxwellów – Summer przejęła dowodzenie, najwyraźniej nieujęta wyjątkowością relacji małżeńskich i degustacji ekskluzywnego trunku. – Jak państwo wiedzą, ich syn prawdopodobnie został uprowadzony, a...

– Nonsens – przerwał jej Eugene. – Dean nie dałby się uprowadzić, jest na to za sprytny. Pewnie znów gdzieś wyruszył, na jedną ze swoich legendarnych wypraw. Często do nas przychodził, by podzielić się wrażeniami z wypadów, choć z pewnością połowę pomijał z obawy, by nas przypadkiem nie zgorszyć.

– W jego wieku nie byliśmy lepsi – zachichotała Beatrice, a Fanta podniosła głowę i rozdziawiła w psim uśmiechu pysk, jakby rozumiała, o czym mowa.

– Więc myślą państwo, że on to zaplanował? – zapytał Redfern, coraz mocniej zapadając się w fotelu.

– Absolutnie nie – zaprzeczył Eugene. – Planowanie nigdy nie leżało w charakterze tego chłopaka. Stawiałbym na spontaniczne oddalenie się z miejsca zamieszkania. Znajdzie się.

Inspektor nie podzielał ich optymizmu. Zbyt często słyszał wokół tej sprawy bagatelizujące ją słowa, a im więcej ich było, tym mocniejszą czerwienią żarzyła się w Redfernie lampka ostrzegawcza.

– Chciałbym jeszcze zapytać o Harolda Maxwella.

– Bardzo przeżyliśmy jego śmierć. – Beatrice posmutniała nagle, a z nią wszystko w salonie. – Przyjaźniliśmy się z jego rodzicami i pamiętam, że bardzo się cieszyliśmy, jak Harold wrócił do Ripley. Ellie i Dean to właściwie nasze wnuczki. Do tej pory nie mogę pojąć, dlaczego on im to zrobił.

Sekundy ciszy odmierzał stojący na kominku zegar portykowy. Redfern dostrzegł na tarczy wykaligrafowaną nazwę Comitti London, która mówiła mu tylko tyle, że za to drewniane pudełeczko mógłby kupić wymarzonego staga. To przywiodło mu na myśl następne pytanie.

– Jeden ze świadków twierdzi, że Harold Maxwell żył w cieniu swojej bogatej żony – odezwał się Redfern.

– Tak bym tego nie nazwał. – Eugene zmarszczył nieco brwi. – Raczej chodziło o niewielką przewagę w finansach. Szala nieco przechylała się w stronę Camilli.

– Jak to możliwe, skoro Harold był konstruktorem w McLarenie? – Sceptycyzm wziął nad Redfermem górę.

– Myślę, że na początek zarabiał tam niezbyt wiele jako zwykły nauczyciel matematyki – odparła Beatrice.

– Ale nie taki znów zwykły – wtrącił jej mąż. – Harold najpierw był studentem, a potem asystentem w zespole Jocelyn Brunell.

– Tej naukowczynie, która przez swoją płęć nie otrzymała Nobla? – zaciekała się Summer.

– W rzeczy samej – potwierdził z uznaniem mężczyzna i uniósł szklankę jak do toastu. Zamoczył w niej usta i odstawił na stolik. Redfern powtórzył sekwencję ruchów za Eugenem.

– Chore czasy – westchnęła kobieta, kiwając głową. – Odkryła pulsary przed Hewishem, ale to on był opiekunem jej doktoratu i zgarnął w siedemdziesiątym czwartym nagrodę wraz z całym zespołem. Ona została pominięta, choć podobno nie miała żalu. Co za czasy – powtórzyła z niesmakiem i pogłaskała psa po głowie.

– Na szczęście mamy je za sobą – zawyrokował nieco zbyt optymistycznie Eugene. – Ale państwo są tu zdaje się z innego powodu?

Redfern oprzytomniał i zadał kolejne pytanie o przeszłość Harolda Maxwella.

– Z tego, co mówił, to po śmierci żony opuścił Glasgow i zatrudnił się w szkole w Ripley – ciągnął starszy mężczyzna. – To było jakoś w osiemdziesiątym dziewiątym albo dziewięćdziesiątym. – Zamyślił się, ale uznając datę za nieistotną, odchrząknął i mówił dalej: – W każdym razie gdy McLaren rozpoczął w dziewięćdziesiątym ósmym budowę centrum technologicznego, Harold był pierwszy w kolejności do zespołu konstruktorów.

– Zarabiał jednak stosunkowo mało – uzupełniła kobieta.

– Chociaż ona jako pielęgniarka też nie miała kokosów. – Eugene prezentował świetną pamięć. – Dopiero potem, za namową Harolda, zrobiła jakieś kursy nauczycielskie i wtedy zaczęła piąć się po szczeblach kariery.

– Racja. Faktycznie Camilla wiodła prym – zgodziła się jego żona.

Zapadła cisza przerywana trzaskaniem drewna w kominku i bębnieniem deszczu, których rytm splótł się w niepokojący tandem. Marsz pogrzebowy jesieni w tym roku brzmiał wyjątkowo złowieszczo. Każdy z siedzących w salonie upił łyk herbaty i pogrążył się na chwilę w zadumie, zupełnie jakby nie byli uczestnikami śledztwa, a wieczornego odczytu poezji. Nagle coś skrzypnęło na piętrze, a Summer podskoczyła wyrwana z zamyślenia.

– Dowiedzieliśmy się, że Ellie nie była rodzoną córką Camilli – podsunął delikatnie Redfern, mając nadzieję, że temat, wokół którego krąży od dłuższego czasu, wreszcie zostanie poruszony.

– Bardzo nas to zaskoczyło. – Beatrice odstawiła filiżankę na stół. – Ale z drugiej strony to piękne, że weszła w związek z mężczyzną z dzieckiem. Nie

każda kobieta zdecydowałaby się na taki krok – dokończyła z czułością i uznaniem.

Jej mąż poruszył się nieznacznie w fotelu, jak gdyby myśl o Maxwellach go uwierała.

– Kiedy się sprowadzili do Ripley, mała Ellie miała rok i wszyscy myśleliśmy, że jest rodzoną córką Camilli, a ona sama nie spieszyła z wyprostowaniem tego – dodał z lekkim oburzeniem Eugene.

– Ja ich rozumiem, chronili Ellie przed ocenami nadętych mieszkańców Ripley. – Puściła oko do męża, na co on podkreślił z powagą wąsa.

– Nie zawsze ten, kto daje materiał genetyczny, jest najlepszym rodzicem – podsumowała szorstko Summer, ale gospodarze nie byli w stanie wyczuć goryczy, jaka płynęła z tych słów.

– W samo sedno, moja droga, w samo sedno. – Beatrice klasnęła w dłonie.

– A skoro już przy sednie jesteśmy – odezwał się Redfern. – Jaka była Ellie?

Przez twarz Beatrice przesunęło się coś, co można by nazwać smutkiem, gdyby nie oczy, które nagle stały się nieobecne, i gdyby nie ściągnięte brwi. Redfern nie był pewien, czy zadał kobiecie ból, czy też poruszył drażliwy temat. Widząc konsternację, głos zabrał Eugene:

– Tak jak mówiliśmy, Ellie była dla nas jak wnuczka. Kiedy była mała, spędzaliśmy razem mnóstwo czasu. Nasze wnuki są daleko, sami rozumiecie. Kiedy jednak Ellie podrosła, jej wizyty stały się coraz rzadsze, a kiedy kończyła gimnazjum, właściwie przestała przychodzić. Wiadomo, siedzenie ze starymi przykami słabo wpisuje się w rozkład dnia nastolatki, niemniej jednak Ellie zdawała się unikać kontaktu z nami.

– Jakby bała się konfrontacji – dopowiedziała Beatrice.

– Z czym?

– Tego nie wiemy. – Kobieta nagle odwróciła się w stronę drzwi, przez które przeszedł właśnie wspaniały norweski kot leśny. Zagadka skrzypiącej podłogi została rozwiązana. Biało-rudy włos falował w rytm dostojnych kroków, których płynności mogła pozazdrościć niejedna modelka. Tuż za uniesionym ku górze pióropuszem ogona Redfern zauważył ruch. W pierwszym momencie pomyślał, że za kotem kładzie się szary cień. Patrzył z podziwem, jak drugi z norwegów przemierzał salon, stanowiąc niemal powidok pierwszego. Przyszło mu na myśl, że zwierzęta oddają ducha tej sprawy; za Ellie Maxwell ciągnęło się równie tajemnicze widmo, które, by znaleźć jej mordercę, należało od niej oddzielić.

– Potrafią państwo umiejscowić w czasie tę zmianę? – Redfern oderwał oczy od kotów i podjął trop podsunięty przez Beatrice.

– To było zaraz po wiosennych feriach w dwa tysiące czwartym roku – odpowiedział Eugene. – Pamiętam dobrze, bo w drugi weekend czerwca

świętowaliśmy przyjęcie Harolda do McLarena. Wiedzą państwo, że to centrum technologiczne otwierała sama królowa? – skrzył nagle Eugene. – Nawet pozwoliła sobie na żarcik. Kiedy szef powiedział, że bolidy po każdym wyścigu są rozmontowywane i odbudowywane, to Elżbieta II odpowiedziała...

– Że ma nadzieję, że części trafiają z powrotem na swoje miejsce – dokończyła Beatrice ze śmiechem, po czym spoważniała i dodała: – Tak, świętowaliśmy przyjęcie Harolda, choć z lekkim opóźnieniem, ale Ellie nie potrafiła się cieszyć. Już wtedy była zgaszona.

Redfern był coraz bardziej zaniepokojony zmianą w zachowaniu Ellie, a źródła tej metamorfozy upatrywał w tym, co wskazał mu nauczyciel z gimnazjum. Mając w głowie słowa pana Spantona o miłości, inspektor zadał kolejne pytanie:

– A czy mówi państwu coś nazwisko Streeter albo Austin?

– Robert Streeter to mój brydżowy partner, a Austin to nazwisko jego syna. Zmienił je po kłótni z ojcem. Z tego, co wiem, tak nazywała się z domu jego matka.

– Ellie spotykała się z Arthurem – Beatrice przejęła inicjatywę. – Taka młodzieńcza fascynacja.

– Nie taka znowu młodzieńcza – obruszył się Eugene. – Arthur był od Ellie dużo starszy. Poznali się właśnie u nas, ale nieszczególnie podobało mi się, że chłopak się nią zainteresował. Już lepiej pasował do niej ten Patrick od Sheridanów.

Redfern wyprostował się nagle, a przez twarz Beatrice przemknął kolejny cień.

– Od tych Sheridanów, którzy mieszkają przy Polesden Lane?

– Tych samych, ale on od lat nie mieszka w Ripley. Skończył szkołę i z tego, co wiem, pracuje na platformie wiertniczej gdzieś na północy. Zupełnie inna krew niż ci z Polesden. No ale nie podobał się Camilli.

– To może jeszcze po herbatce? – zaproponowała Beatrice dźwięcznym głosem, któremu trudno było się oprzeć. Summer otworzyła usta, by wyrazić to, co malowało się w jej oczach.

– Na nas już czas – zdecydował za oboje Redfern, podnosząc się z fotela. Dużo by dał, by poznać markę mebla i spróbować taki zdobyć. Na whiskey nawet nie ostrzył sobie zębów.

Przejeżdżając pod szpalerem nagich drzew, Redfern miał poczucie *déjà vu*, które jednak czmychnęło w blasku setek światełek oprószających krzewy i dęby wokół podjazdu posiadłości hrabiego Hollanda.

– Coś taki cichy? – zagadnęła sierżantka, gdy zaparkowali pod jednym z krzaków.

– Obiecałem dziadkowi, że pojedę z nim dziś na cmentarz – przyznał się.

– Jest szesnasta – zauważyła Summer. – Zdążysz?

– Zdążę zadzwonić i zebrać ochrzan.

– To stary gliniarz – policjantka odwołała się do ich długiej wigilijnej rozmowy, którą najwyraźniej toczyli jeszcze po wyjściu Redferna. – Zrozumie. Idę przetrzeć szlaki – oznajmiła i wysiadła. – Aha, Ted dzwonił, że z tą próbką to jeszcze chwila zejdzie.

Redfern kiwnął głową na znak, że przyjął do wiadomości, po czym wyciągnął z kieszeni komórkę. Z niechęcią wybrał numer Siwiaszczyka, który po kilku sygnałach odebrał w zaskakująco dobrym humorze. David nie silił się na wymówki, oznajmiając, że wpadli na nowe wątki, które muszą sprawdzić jeszcze dziś.

– Nie szkodzi, Dawidku – odpowiedział starszek z właściwą sobie łagodnością. – Pojedziesz ze mną w Nowy Rok.

– Na pewno?

– Tak, jestem już w drodze na stację – oznajmił. – Spotkamy się wieczorem w domu. Cześć!

Redfern rozłączył się, ale ulga, którą miało przynieść załatwienie sprawy, wyparł strumień pytań. Chciał zadzwonić ponownie i dowiedzieć się, dlaczego Siwiaszczyk postanowił jechać sam do Hammersmith, ale światło, które rozświetliło schody willi, przypomniało mu, że musi jak najszybciej dołączyć do Summer. Wsadził komórkę do kieszeni, wysiadł i poszedł w stronę otwierających się właśnie drzwi.

Tym razem Hollandowie przyjęli ich w kuchni. Siedzieli wokół granitowego blatu wyspy, której do wyglądu płyty nagrobnej brakowało tylko mosiężnych liter.

– Wiedzą coś państwo na temat moich dzieci? Gdzie jest Dean? Co z Ellie? – Camilla atakowała arsenałem pytań.

– Najpierw chciałbym ustalić kilka rzeczy – zabrał głos Redfern, czując, jak oparcie wysokiego hokera wbija mu się w plecy. – Dlaczego nie powiedziała nam pani o tym, że Ellie nie jest pani biologiczną córką?

– A jakie to ma znaczenie? – oburzyła się kobieta, a na jej policzki wystąpił kontrastujący z bladością reszty twarzy rumieniec. – Wychowywałam ją odkąd skończyła sześć miesięcy i kocham jak własne dziecko. Co to w ogóle za pytanie?

– No dobrze – Redfern poddał się. – Czy wiedziała pani, że Harold kupił za milion funtów pub w Ripley?

– Dowiedziałam się po jego śmierci. – Camilla wyglądała, jakby właśnie wzięła do ust łyżeczkę soli.

– Milion funtów to dość duża suma, jak na wicedyrektorę szkoły i matematyka – wtrąciła swoją uwagę Summer.

– Ja pożyczyłem Haroldowi tę kwotę – odezwał się nagle Charles Holland, który do tej pory stał w kącie i przysłuchiwał się rozmowie.

– Nie zastanowiło pana, po co przyjacielowi pub?

– Nieszczerze – mruknął z wyższością hrabia. – To była okazja, a Harold miał zamiar ją wykorzystać. W tej chwili ta ziemia jest warta trzy razy tyle.

– Więc tak po prostu pożyczył pan Haroldowi Maxwellowi milion funtów.

– Nie tak po prostu. Sporządziliśmy umowę, w której Harold zobowiązał się do spłaty zadłużenia w ciągu następnego roku.

– Ale popełnił samobójstwo i pieniądze przepadły – dokończył Redfern.

– Niezupełnie, bo pan Holland odzyskał je, żeniąc się z panią Maxwell. – Summer nie kryła satysfakcji z wniosku, ale inspektor posłał jej karcące spojrzenie.

– To bardzo cyniczna i wyrachowana ocena, jak na kogoś tak młodego – ogłosił hrabia z lekkim oburzeniem i chwycił dłoń skutej smutkiem Camilli.

– Zostawmy na razie pub – inspektor chciał nakierować rozmowę na inne tory. – Z kim spotykała się pani córka, zanim wyjechała do Glasgow?

– Kręcił się wokół niej syn komandora Streetera. Poznali się w domu naszych dawnych sąsiadów i jakoś tak się polubili. Przy czym Arthur był od niej trochę starszy i woleliśmy, żeby jednak spotykała się z chłopcami w jej wieku.

– Na przykład z Patrickiem Sheridanem?

– Z tym przybłądą? – Camilla niemal zakrztusiła się własnymi słowami.

– Nie przesadza pani? – Summer coraz gorzej radziła sobie z niechęcią do tej rodziny. Redfern obawiał się, że za chwilę rozpęta się kłótnia, która tylko zaszkodzi sprawie.

– Wymarzyłam sobie lepsze życie dla mojej córki niż sprzątanie przyczepy i wychowywanie szóstki dzieciaków – oznajmiła z całą stanowczością gospodyni.

Redfern pomyślał, że liczba i jakość marzeń, jakie miała Camilla Maxwell w stosunku do dzieci, znacznie przekraczała ciepłe relacje rodzinne. Świetna szkoła, skrupulatnie wybrane środowisko, dobór chłopaka, a gdy to nie wychodzi – zsyłka do Szkocji. Znał takie rodziny i choć rozumiał motywację, to nie zgadzał się z nią w całej rozciągłości.

– Patrick Sheridan skończył dwa lata wcześniej to samo gimnazjum co Ellie i zamierzał się dalej uczyć.

– Pan wierzy w takie brednie? – wciął się Charles. – To są ludzie naznaczeni swoimi krewnymi, których reputacja i stosunek do prawa, sam pan wie, jakie są.

– Rozmawiała pani na ten temat z Ellie?

– Z nią nie można było normalnie porozmawiać, zaraz przechodziła do kłótni.

– A skoro przy kłótni jesteśmy – zagadnęła Summer już spokojnie. – Wiemy, że na przełomie maja i czerwca Ellie była na wycieczce szkolnej, a po niej wybrała się do Burrells. Od tamtego czasu bardzo się zmieniła. Potwierdzają to państwo Oaks i jej przyjaciółka Ruby Webbs.

– Ellie pojechała wtedy do siostry Harolda. Uwielbiała swoich kuzynów, więc końcówkę ferii spędziła właśnie z nimi. Nie przypominam sobie jednak, żeby wróciła jakoś specjalnie odmieniona. Ellie była zła na cały świat na niezmiennym poziomie.

– Przyjaciółka pani pasierbicy...

– Córki – poprawiła go ostro.

– Przyjaciółka pani córki powiedziała mi, że Ellie coś sobie przywłaszczyła, co wpędziło ją w kłopoty. Czy zwierzyła się pani z tego?

– Ta dziewczyna ciągle wpadała w kłopoty – wszedł jej w słowo Charles. – Pewnie to jedna z tych głupich spraw o kradzież w sklepie albo graffiti na witrynie.

Redfern próbował sobie wyobrazić, jak bardzo Ellie musiała być zdesperowana w walce o uwagę matki i ojca, by posuwać się do złodziejstwa i szczeniackiego chuligaństwa. Znał takie dzieciaki – ze szkoły, z policyjnych akt. Pozostawione same sobie z problemami, które wymagały dorosłej optyki, uciekały się do tego, co znały z lat niemowlęcych, a co działało zawsze i wszędzie – do krzyku. Tylko że ten krzyk działał teraz na zupełnie innej częstotliwości, którą dorośli sprowadzali do pogardliwej nazwy „bunt nastolatka”. Nie każdemu bowiem wystarczyło boisko i piłka czy plotki z przyjaciółkami. Część dzieciaków faktycznie musiała nieco poboksować się z autorytetami i gorzkim porządkiem świata, by wrócić z ringu młodymi dorosłymi. Do innych los uśmiechał się krzywo i w złotych pałacach toczyli boje z obojętnością, zasilając policyjne kartoteki. Rodzice mogli mówić o szczęściu, jeśli były to drobne wykroczenia. Gorzej, kiedy musieli podpisać akt zgonu.

Nie zamierzał jednak nauczać Hollandów, jak wychowywać dzieci. Miał tylko nadzieję, że mała Eve pozostanie oczkiem w głowie rodziców, nawet kiedy hormony rozpętają w tym domu prawdziwy huragan.

Wyszli z Summer przed rezydencję, żegnani smutnym wzrokiem gospodarzy i przykazaniem, by znaleźli Deana. Trudno to było logicznie wytłumaczyć, ale Redfern był o chłopaka wyjątkowo spokojny.

– Gdzie szukać tego całego Patricka? – zapytała Summer, gdy wsiedli do auta. – Wśród Travellersów to bardzo popularne imię, o nazwisku nie wspominając.

– W końcu to święty patron Irlandii, ich ojczyzny – Redfern wydawał się zadowolony z siebie. – Ale z tym jednym nie będziemy mieć problemów.

– Wiesz, gdzie jest?

– Domyślam się, ale wolałbym tam podjechać sam.

– Jesteś pewien? – Summer spojrzała na niego podejrzliwie.

– Jak niczego w tej sprawie.

*

Świąteczna gorączka tylko musnęła ziemię Sheridanów, którzy oświetlili drogę Mikołajowi wyłącznie skromnymi lampkami w oknach przyczep. Redfern uważał, by nie najeżdżać na żadne z porzrzucanych wzdłuż drogi żelastw. W końcu zrezygnował ze slalomu, zostawił auto w połowie ścieżki i dalej ruszył pieszo, oświetlając sobie drogę komórką.

– A pan znowu tutaj? – lodowaty wiatr przyniósł ze sobą niski głos mężczyzny. Sheridan wychynął zza jednego z wraków i założył ręce na okazałym brzuchu.

– Miał pan dla mnie przygotować informację.

– Chyba już się dowiedziałeś, co i jak, nie?

– Nie, nie dowiedziałem się. – Redfern włożył dłonie do kieszeni, ale nawet zaciśnięcie pięści nie przyniosło upragnionego ciepła. – Chcę rozmawiać z Patrickiem.

– Nie ma go. – Mężczyzna przestąpił z nogi na nogę i strzelił z karku, jakby przygotowywał się do walki.

– A ja wiem, że jest. – Inspektor wskazał na nagle pociemniałe okno jednej z przyczep, po czym przeniósł wymownie wzrok na nowego range rovera stojącego w głębi placu. – Chcę go zapytać o Ellie Maxwell – wypowiedział głośniejszym głosem imię dziewczyny.

– Ta mała to był szatan w kiece – wydał osąd Sheridan i zrobił kilka kroków do przodu. Mdłe światło żarówki nadawało mu upiorny wygląd.

– Słyszałem co innego.

– To przyłóż ucho gdzie indziej, glino. Ellie miała diabła pod skórą. Każdego umiała omotać tą swoją słodką buźką, a tak naprawdę wyłącznie knuła.

– Przychodziła tu?

– Przychodziła. – Na schodach przyczepy stał dwudziestokilkulatek w jasnej koszuli od Ralphi Laurena, jeansach i lakierowanych mokasynach. –

Chodziliśmy razem do szkoły. – Chłopak nonszalancko włożył kciuki za szlufki i zszedł powoli.

– Nie gadaj z psem – ostrzegł go wuj. – Nic tu po nim.

– Zaraz dają powtórkę walki Mayweathera – rzucił w stronę mężczyzny, nie siląc się na przyjazny ton, na co tamten mruknął coś niezrozumiale i poczłapał ciężkim krokiem do swojej przyczepy.

– Wiem, co się stało – oznajmił Patrick ostro. – Nie wrobiecie mnie w śmierć Ellie. Kochałem ją.

– A ona pana. – Redfern wbił wzrok w lewą połówkę serca pobłyskującą na szyi chłopaka. – Proszę mi więc powiedzieć, co się stało latem dwa tysiące czwartego roku. – Nie mogąc liczyć na zaproszenie do przyczepy, wskazał stojącego za nim triumpha. Wsiedli i milczeli przez chwilę. Redfern włączył silnik, by włączyć do wnętrza choć trochę ciepła.

– No więc jak było z Ellie? – zapytał. – Miał być ślub?

– Co? Nie, to znaczy może kiedyś – tłumaczył pokrętnie mężczyzna, a na jego twarzy wykwitł rumieniec, mówiący Redfernowi, że oświadczenie się Ellie Maxwell było tylko kwestią czasu.

– Więc czyje wesele miało się odbyć na terenach zielonych w dwa tysiące czwartym roku? – Inspektor przywołał w pamięci zeznanie komandora Streetera.

– Mojego kuzyna, ale panna młoda zrezygnowała.

– Tak po prostu? – Policjant nie wierzył, że w tym patriarchalnym świecie dziewczyna miałaby możliwość wycofania się z poślubienia Travellersa.

– Pewnie, że nie – zaprzeczył Patrick. – Mój kuzyn trochę zaszalał na wieczorze kawalerskim, a dziewczyna się o tym dowiedziała. Była awantura, ale w końcu wszystko ucichło.

– Co się stało z dziewczyną?

– Jak pan chce, to ją zaraz zawołam, bo Annie wyszła za drugiego mojego kuzyna – oznajmił bez emocji.

– No dobrze, więc ponowię pytanie: jak było z Ellie?

– Może pan wierzyć albo nie, ale to była miłość od pierwszego wejrzenia – wyznał. – Poznaliśmy się w Woking High w dwutysięcznym. Chodziła do równoległej klasy. Była bardzo mądra i to ona doprowadziła do tego, że skończyłem szkołę, przejrzałem na oczy.

– Chciałbym wiedzieć, co stało się latem dwa tysiące czwartego.

– Ja też – westchnął.

– To może zaczniemy od wycieczki do Newquay, a właściwie tego, co stało się po niej.

– To w Newquay wymyśliliśmy wyjazd do Appleby, na Jarmark Koni – oznajmił mężczyzna, uśmiechając się do wspomnień. – Rodzice w życiu by jej

nie puścili z kimś takim jak ja, ale Ellie pochodziła z tamtych stron, więc powiedziała rodzicom, że zatrzyma się u siostry swojego ojca.

– I zatrzymała się?

– Tak. Pojechaliśmy razem moim autem do Kumbrii, ale zostawiłem ją w Burrells. Dojeżdżała do Appleby. Nie dojechała jednak w niedzielę. Potem nie pojawiła się w szkole prawie tydzień, a gdy wróciła, była bardzo dziwna.

– Wiedział pan, że spotykała się z innym?

– Z Arthurem? Tak, wiedziałem. On podobał się jej rodzicom, zwłaszcza matce. Pasował do ich rodziny – syn jakiegoś generała, bogatego faceta z dużymi plecami. Z tego, co wiem, to był też właścicielem pubu. Wściekł się, bo dostarczał piwo i żarcie na Bonfire Night, a przez to, że moi zostali dłużej, interes nie wypalił i przeszła mu koło nosa kupa forsy. Zresztą to on nakręcił awanturę, po której część moich musiała się wynieść. Odbieraliśmy śmieci z jego pubu, a on któregoś dnia oznajmił, że inna rodzina już od niego odbiera, i to taniej. No i doszło do... jakby to powiedzieć, starcia.

– Nie przeszkadzało panu dzielenie się Ellie? – Redfern pominął rewelacje o Streeterze, choć puzzle z widoczkim Ripley zaczęły się właśnie układać.

– Taki był układ – oznajmił smutno Patrick. – My spotykaliśmy się potajemnie, a oficjalnie Ellie chodziła z Arthurem. Ale wie pan, on się nią tylko interesował ze względu na pracę jej ojca, który mógł być dla niego trampoliną w McLarenie. Trzymanie za rączkę, obiadki rodzinne i te sprawy. O nas nie wiedział nikt. Nawet oni. – Pokazał na przyczepę.

– Co było latem? Dlaczego Ellie wyjechała?

– Do tej pory się zastanawiam. Wiem, że nie była zadowolona z wyników egzaminów, ale dlaczego dała sobie wcisnąć ten wyjazd? – pytanie wypełniło wnętrze auta ciężką do zniesienia atmosferą.

– Dlaczego dał pan samochód Deanowi Maxwellowi?

– Chyba z głupiego sentymentu. – Uśmiechnął się i poprawił usztywnione żelazem włosy. – On był zapatrzony w ojca, też chciał pracować przy autach, mały astmatyk. No w każdym razie, gdy wyjeżdżałem dwa lata temu, przyszło mi na myśl, że to auto to jedyna pamiątka po Ellie i powinno zostać w Ripley. Tutaj stag by się zmarnował. – Wskazał za okno. – Więc pomyślałem o tym dzieciaku.

Redfern poczuł dziwną sympatię do chłopaka. Nie był pewien, czy była ona podszyta tylko wspólną miłością do aut czy jednak stało za tym coś więcej. Romantyzm od lat widniał w czerwonej księdze zagrożonych gatunków, więc każdy jego przejaw szarpał w inspektorze jakąś czułą strunę.

– Kiedy zatem ostatni raz widział pan Ellie Maxwell?

– Na początku września – odrzekł stanowczo. – Przyszła się pożegnać. Była smutna i zdenerwowana. Mówiła bardzo nieskładnie, że to tylko na chwilę, że

ona ma dla nas plan, ale potrzebuje tego czasu w Glasgow. Obiecała, że będziemy w kontakcie, ale nawet komórki nie odbierała, choć dzwoniłem dziesiątki razy.

– Pojechał pan tam?

– Byłem zakochany i głupi – potwierdził pośrednio swoją podróż. – Ellie nie chciała mnie wpuścić, porozmawialiśmy chwilę w drzwiach i to wszystko. Ponownie zapewniła mnie, że wszystko będzie dobrze i że potrzebuje trochę czasu. Potem napisała kilka listów. Ostatni chyba w grudniu, że przyjedzie na święta.

– I przyjechała?

– Nie – Patrick nie krył rozczarowania. – Byłem w jej domu, ale ojciec kazał mi spadać. Kręciłem się blisko, bo myślałem, że ściemnia, ale chyba faktycznie nie dotarła. Pojawiła się dopiero w ostatnich dniach grudnia.

– Skąd pan wie?

– Dean przyszedł mi powiedzieć, że przyjechała na Nowy Rok. Tyle że akurat mieliśmy tu zamieszanie i nie mogłem znaleźć ani chwili, a kiedy pojechałem na Milestone Close, pani Maxwell oświadczyła, że Ellie już wyjechała. Chciałem jej coś powiedzieć do słuchu, ale kobiety w ciąży nie wypadało wkurzać. Ona gardziła takimi jak ja w całej rozciągłości i nigdy się z tym nie kryła.

– Rozmawiał pan potem z Deanem?

– Próbowałem, ale podobno trafił do szpitala, a po wyjściu w ogóle nie chciał ze mną gadać. Chyba bardzo się na mnie pogniewał, że nie zdążyłem wtedy do nich zajrzeć – usprawiedliwiał siebie i Deana. – To był wtedy ośmioletni dzieciak, co miałem zrobić? Potem trochę mu przeszło, wydaje mi się, że szukał kontaktu, gdy okazało się, że Ellie wyjechała z Glasgow i odcięła się od rodziny. Dwa lata temu dałem mu staga i pojechałem pracować na platformach. Koniec mojej historii.

– Czy Ellie zwierzyła się panu z jakiejś kradzieży?

– Z wielu. – Skrzywił się. – Ale chyba wiem, o co pan pyta. Faktycznie powiedziała mi, że coś komuś zabrała i to może albo rozwiązać jej kłopoty, albo wpędzić w takie, że nawet sobie nie wyobrażam – potwierdził słowa Ruby Webbs. – Zarzekała się jednak, że zrobiła to dla dobra wszystkich.

– Podejrzewa pan, co to mogło być?

– Pewnie coś jej matki albo może tej ciotki – zastanawiał się na głos. – Nie mam pojęcia, ale musiało być bardzo drogie.

Redfern zastanowił się, czy jest w stanie wyciągnąć coś więcej na temat tajemniczego przedmiotu, ale Ellie zadbała o to, by zabrać swoje sekrety do grobu.

– Ma pan jeszcze te listy od Ellie? – zapytał w końcu i zmniejszył moc dmuchawy.

– Tak, zaraz przyniosę – zapewnił. – Tylko one i to mi po niej pozostało. – Chwycił za wisiorek.

– Przez tyle lat?

– Pan nie zdaje sobie sprawy z siły miłości – rzekł melancholijnie i wysiadł z samochodu, zostawiając Redferna ze smutną prawdą o nim.

Podjechał pod dom z gotowym planem działania. Miał wrażenie, że wizyta u Marty oczyściła mu głowę i był gotowy zmierzyć się z zagadką śmierci Ellie Maxwell. Potrzebował jednak jeszcze kilku informacji. Wybrał numer Summer Winter.

– Co jutro robisz? – zapytał, gdy tylko odebrała.

– Pewnie jadę z tobą do Glasgow – wyprzedziła jego zaproszenie. W tle słyszał piszczenie mikrofalówki, świadczące o tym, że zastał sierzantkę podczas przygotowywania kolacji składającej się z gorącej miski, zimnego posiłku i dojmującej samotności.

– Do Appleby wystarczy – odpowiedział. – Dasz radę się uszykować na piątą?

– Mogę wyjść nawet zaraz – odparła nieco urażona i najwyraźniej chlasnęła drzwiami kuchenki, bo huk niemal go ogłuszył.

– Chyba jednak wolę się przespać przed drogą – mruknął. – Przyjedź po mnie za piętnaście piąta.

– Nie jedziemy twoim? – policjantka nie kryła zaskoczenia ani tego, że właśnie próbuje potrawy, która parzyła ją w usta.

– A chcesz dojechać tego samego dnia?

– A najlepiej jeszcze wrócić.

– No to zatankuj do pełna srebrną strzałę i jedziemy. Po drodze wykonamy kilka telefonów. Niedługo prześlę ci listę rzeczy do ustalenia.

– Zanim zavalisz mnie robotą, powiem ci, czego się dowiedziałam.

– Wal.

– Nie zdziwiło cię, że facet, który przytulił milion, pomieszkuje w bida-kawalerce w szemranej dzielnicy? – zaczęła od pytania.

– Trochę, ale ekscentryków nie brakuje.

– Jakby tak podejść do sprawy, to może faktycznie nic dziwnego, ale przy założeniu, że Arthur Austin jest statystycznym brytolem, to raczej dziwne wydaje się, że wyciągnął z konta wszystkie pieniądze, które otrzymał od Harolda Maxwella.

– I co z nimi zrobił? – zainteresował się Redfern. – Zakopał w stercie ubrań w salonie?

– Chyba tak, bo po podjęciu kasy wynajął podłe mieszkanie, zmienił robotę i siedzi jak mysz pod miotłą.

– Przypomnij mi, żebyśmy w drodze powrotnej zajechali w jeszcze jedno miejsce.

– Szykuje nam się intensywny dzień – podsumowała Summer, po czym życzyła Redfernowi dobrej nocy, co on przyjął z krzywym uśmiechem.

Zebrał listy, które dostał od Patricka Sheridana, wysiadł z auta i z wolna ruszył chodnikiem, czując napięcie w całym ciele. Zdawał sobie sprawę, że w jego stanie nie będzie mógł prowadzić auta przez sześć godzin. Zasłona dymna w postaci triumpha zadziałała bezbłędnie i miał cichą nadzieję, że będzie mógł w drodze choć trochę odespać.

Siwiaszczyk był w doskonałym nastroju, co podkreślał cichym pogwizdywaniem. Nowy gadżet tak go pochłonał, że wkładał do ust przygotowane przez Davida kanapki machinalnie, nie odrywając wzroku od czytnika.

– Będę musiał jechać do Glasgow – oznajmił Redfern, upraszczając swoje plany. – A właściwie zwiedzić kilka miejsc po drodze.

– Dlaczego aż tak daleko? Przecież dziewczyna pochodziła stąd, a zwłoki też znaleziono tutaj – Siwiaszczyk próbował ukryć niezadowolenie za zwartym szeregiem argumentów.

– Wszystkie ślady prowadzą na północ. Mam podejrzenie, że coś się stało latem dwa tysiące czwartego, co wywołało tę lawinę zdarzeń. Każdy ze świadków wskazuje, że po powrocie stamtąd Ellie nie była już tą samą dziewczyną.

– Czy kiedy wrócisz, możemy jednak pojechać na cmentarz? Nagrobek wymaga czyszczenia, a sam nie dam rady. Próbowaliśmy z Wandą, ale tam jest szorowania na dwa dni.

– Pojedziemy – zapewnił Redfern, ciesząc się w duchu, że dziadek miał w Londynie towarzystwo.

Zakończyli dzień partyjką remika. David w ramach cichych przeprosin za cmentarz zaproponował drugą, ale Siwiaszczyk odmówił, zasłaniając się chęcią poznania dalszych losów chorążego Olkiewicza.

Redfern poszedł do siebie i wysłał polecenia Summer. Po kilku minutach otrzymał zdjęcia listów, które Ellie wysłała do matki. W każdym treść mniej więcej się pokrywała. Dziewczyna zapisała się na kurs, nadal planowała szturm

uniwersytetu – jak nazwała egzaminy – poznawała nowych ludzi, których opisywała dość szczegółowo, choć żadna z relacji nie wydała się Redfernowi szczególnie zażyła czy ważna. Listy do Patricka naznaczone były tęsknotą, ale ani razu nie pojawiła się w nich obietnica powrotu ani też kategoryczne odcięcie. Ellie umiejętnie obracała tę miłość nad ogniem nadziei.

Wyciągnął z kamery kartę pamięci i wsadził do komputera, a power bank do ładowarki. Po chwili na monitorze znów zobaczył szary prostokąt drzwi, a u dołu fragment twarzy Marty. W ciągu paru godzin nagrań obraz właściwie pozostawał nieruchomy; nie wydarzyło się nic, co wzbudziłoby w Davidzie niepokój. Przewijał film, zatrzymując tylko w momentach kilku wizyt pielęgniarki, jednej lekarskiej. Mógłby przysiąc, że pomylił karty i ponownie odtwarza tę z dnia poprzedniego. Aż do chwili, gdy drzwi zaczęły się uchylać z dziwną powolnością. Redfern niespokojnie poruszył się, przysuwając twarz do ekranu, na którym pojawił się mężczyzna z kwiatami. Podeszedł do łóżka Marty i stał chwilę nieruchomo, przyglądając się kobiecie.

David patrzył na tę scenę z rosnącą złością. Raz za razem cofał nagranie i przyglądał się człowiekowi, który z uśmiechem kładł kwiaty na szafce.

– Co, do cholery? – zaklął Redfern i z furią zatrzasnął laptop.

27.12.2013 r., piątek

Mimo że za szybą skody szybko przesuwało się śpiące miasto, przed oczami wciąż pulsował mu obraz mężczyzny z nagrania. W najdziwniejszych przypuszczeniach nie mógł się domyślić, kogo przyszpili kamera ukryta w zabawce. Samochód Summer wyjątkowo wolno się nagrzewał, dodatkowo podnosząc tym ciśnienie Redfernowi. Opuszczał bramy Woking z poczuciem niedokończonych spraw, których nie powinien odkładać.

– Co z próbkami DNA? – spytał odrobinę za ostro.

– Ted oddał je do ponownej analizy. – Policjantka ściągnęła brwi.

– Będzie próbował, aż mu wyjdzie, że odkrył ślady pozaziemskiej cywilizacji? – zrzędził.

– Nie powiedział – mruknęła niezadowolona i włączyła się do ruchu na ospalej o tej porze M25. Światła odbite od mokrej nawierzchni autostrady dawały wrażenie, że płyną wstęgą czarnej rzeki.

– Co ustaliłeś z Patrickiem? – zapytała Summer, gdy minęli nigdy niezasypiające lotnisko Heathrow. Podchodzący do lądowania airbus zdawał się zahaczać o dachy samochodów, które zaczęły zwalniać jakby ze strachu przed ogromem maszyny.

– Że Ellie jednak odwiedziła rodziców podczas świąt, a pani Maxwell vel Holland kłamała.

– A pogrzeb ojca? Dowiedziałeś się czegoś o ich relacjach? – rzucała pytaniami. – Może podczas tych świąt stało się coś, co sprawiło, że Ellie dała sobie spokój? Wielka rodzinna awantura, która zniszczyła więzi.

– Moim zdaniem nie chodzi o pogrzeb, ale o chrzciny małej Eve – wystosował tezę i ustawił nawiew na siebie. Nieprzespana noc dawała mu się we znaki; skupiony na walce ze zmęczeniem organizm wcześniej zapomniał o obsłudze systemu grzewczego. Teraz strumień ciepłego powietrza przyjemnie otulał Davida swoim ramieniem, lejąc pod powieki senność.

– Dlaczego chrzciny?

– Bo po nich Ellie zrywa kontakt – oświadczył mrukliwie. – Mam przecucie graniczące z pewnością, że Eve nie jest córką Harolda, ale naszego hrabiego.

– Śmiałe przypuszczenie, ale w sumie wiele by wyjaśniało. Na przykład to, że osiem miesięcy po pogrzebie wzięli ślub. Myślisz, że Holland jest zamieszany w śmierć Ellie? – zapytała po chwili ciszy.

– Nie wiem. Chyba brakowałoby mu motywu, w przeciwieństwie do Patricka, Arthura, Streetera i całej bandy Sheridanów.

– Nie zapominajmy o Ruby Webbs – dodała Winter.

– A co z nią?

– Coś mi nie leży w tej kobiecie – bąknęła i zmieniła pas na wolniejszy, wcinając się między sunące lewą stroną maserati a bmw.

– Masz numer do agencji, która wynajmowała Maxwellom mieszkanie?

– Mam nawet numer do właściciela lokalu. Trochę szemrali, ale w końcu dali się namówić na współpracę. – Uśmiechnęła się zadowolona. – Weź mój notatnik ze schowka. Dane powinny być mniej więcej na środku.

– Dobra robota – pochwalił ją i ziewnął przeciągle. – Zadzwoń do niego o bardziej ludzkiej porze. Może nam to zaoszczędzi drogi do Glasgow. Obudź mnie, jak zjedziesz do jakiegoś pit-stopu – poprosił, po czym rozłożył siedzenie i nakrył się kurtką.

Obudziło go nienaturalne kołysanie samochodu. Otworzył oczy i zobaczył totem ze wszystkimi możliwymi logo fast-foodów, które okupowały autostradowe parkingi.

– Pobudka, śpiący królewiczu – usłyszał nad sobą głos Summer. – Pora na siusiu i śniadanko.

– W tej kolejności, sierżantko – bąknął zaspany i odpiął pasy.

Usiedli w Gregu, zając się tostami z serem i szynką. Kawa o świcie miała aromat ciężkiego dnia, tym bardziej starali się odwlec moment wyjazdu.

– Teraz ja poprowadzę – zaproponował.

– Nie masz ubezpieczenia.

– Powiedzmy, że brak ubezpieczenia wypada trochę blado na tle tego, czym mnie ostatnio obsmarowali nasi koledzy – bagatelizował Redfern.

– Niech będzie – zrezygnowała z dalszej walki, ale David wiedział, że tylko upiorne zmęczenie mogło ją do tego zmusić. Przeglądała chwilę wiadomości w komórce, po czym podniosła głowę.

– Tinney przekopał chyba internet na wylot – oznajmiła. – Miał nadzieję, że gdzieś na społecznościówkach ktoś sypnie, gdzie jest Dean, ale nie pojawił się na żadnej fotce dodanej przez znajomych. Ludzie udostępniają zdjęcia i generalnie prześcigają się w teoriach. Na szczęście jeszcze do nich nie dotarło, że znaleźliśmy jego siostrę.

– Jak Tinney nie znajdzie czegoś w internetach, to znaczy, że to nie istnieje – zaśmiał się Redfern.

– Oj, daj mu spokój. Ma swoje metody, jak się już okazało, skuteczne. Deana też znajdzie, choć im dłużej to trwa, tym gorsze mam przecucia.

Redfern słuchał jej wybiórczo skupiony na przeszukiwaniu kieszeni.

– A ciebie to nie rusza?

– Nie bardzo. – Wydobył z kurtki to, czego szukał, i wręczył Summer. – Między innymi dlatego.

Winter wzięła pod światło woreczek i przyjrzała się mu uważnie.

– Zakrwawione szkło z pokoju Deana – oznajmiła obojętnie i oddała opakowanie.

– Zakrwawione od zewnątrz – uzupełnił jej osąd.

– Skąd wiesz?

– Bo ślady krwi są na brudnej stronie szyby, czyli od podwórka. Co oznacza, że Dean wybił ją albo przed, albo po wyjściu z domu. Tak czy inaczej mimo genetycznych predyspozycji do pozerstwa, nie potrafił upozorować własnego porwania.

– Więc naprawdę nawiał. Pytanie tylko dlaczego?

– A to już pytanie do Tinneya, ale niech będzie ostrożny. Zniknięcie Deana Maxwella to nie przypadek i może się okazać, że nie tylko my go szukamy.

– Zadzwoń do niego i przekaż mu twoje rewelacje.

– OK. Widzimy się przy aucie.

Po trzech godzinach opuścili ślimakiem M6 i jadąc dalej w stronę Appleby, dotarli do Burrells, czyli właściwie kilku zabudowań rozsianych wzdłuż wąskiej drogi. Mijali liczne drogowskazy kierujące do pól namiotowych i atrakcji turystycznych.

– Wypatruj białego domu z tabliczką Hilltop – poprosił Redfern i zwolnił. – Według Camilli Holland powinien być po lewej stronie.

– Jest! – Summer wskazała jasny budynek, który wyłonił się zza zakrętu. – Ładnie tu.

Inspektor musiał jej przyznać rację. Otoczona pasmami pagórków miejscowość była miłą obietnicą kumbryjskiej przygody wśród poprzecinanej strumykami zieleni.

Patrząc na spektakl, jaki dawały promienie słoneczne, muskające otaczające ich łąki, obiecał sobie, że zabierze tu Martę i Bandita.

Zaparkował skodę w zatoczce, której południowy kraniec wyznaczała budka telefoniczna, a północny – ogrodzenie domu Harriet Maxwell.

– Można sobie pospacerować wśród owieczek – rozmarzyła się Summer, odpinając pasy.

– Z dala od wielkowiejskich baranów – podsumował Redfern i wysiadł.

Założył kurtkę, z której wyciągnął komórkę, i wybrał numer właściciela mieszkania w Glasgow, ale nikt nie odebrał. Skinął na rozczulającą się nad widokiem Summer i poszli w stronę białego domku.

Harriet przyjęła ich z serdecznością na tyle dużą, na ile pozwalał jej smutek po stracie bratanicy. Usiedli w niewielkiej jadalni z widokiem na łąkę, której zieleń pstrzyły wełniane kule suffolków i innej nieznannej Redfernowi rasy.

– Nie mogę zrozumieć, jak do tego mogło dojść. – Starsza kobieta kręciła głową zwieńczoną grubym srebrnym kokiem. – Ellie to było moje oczko w głowie. Po śmierci Pameli to ja się nią zajmowałam. Harold nie był w stanie, sami rozumiecie.

– Oczywiście – zgodziła się Summer z empatią. – To musiał być dla pana Maxwella szok.

– Kompletny. Do tej pory nie wiem, co się stało. Pamela była młoda i silna. Fakt, że ciąża nieco ją wymęczyła, ale poród przebiegł niezłe, a wieczorem już jej nie było. Serce nie wytrzymało wysiłku.

– Może jakieś zaniedbanie ze strony szpitala?

– Co to to nie – zaprzeczyła stanowczo. – To był mój oddział i wszystko było jak należy. Szpital Lochmaben zawsze świadczył najlepszą opiekę.

– Pani jest lekarką?

– Tak, prowadziłam nawet ciążę Pam, a potem także Camilla poprosiła mnie o konsultację przy Deanie, bo jej ciąża była zagrożona. Długo nie mogła mieć dzieci, biedaczka, i jako położną bardzo ją to bolało.

– A przy Eve też jej pani pomagała? – zaciekała się Summer.

– Przy małej już nie, za stara wtedy byłam na takie wyprawy. – Uśmiechnęła się łagodnie. – Poza tym miała świetną opiekę, którą załatwił jej ten hrabia czy ktoś. Donosiła zdrowego bobasa. Widziałam ją na... – ucięła nagle i wyciągnęła z rękawa bluzki błękitną chusteczkę, którą podniosła do kącika oka. – Widziałam ją na pogrzebie – dokończyła. – Harold nigdy nie pogodził się ze śmiercią Pam. Kochał ją nad życie i nawet zjawiskowa uroda i troska Camilli nie były w stanie zaleczyć jego ran.

– No właśnie – podjęła Winter. – Camilla pojawiła się w jego życiu dość szybko.

– Niezupełnie – zaprzeczyła kobieta. – Przyjaźnili się od lat, ale Harold wybrał Pamelę, choć zawsze miałam podejrzenie, że Camilla się w nim podkochiwała – powiedziała i zerknęła w stronę kuchni, z której rozchodził się obłądny zapach pieczonej wołowiny.

Summer posłała Redfernowi szybkie spojrzenie, ale nie ciągnęła tematu.

– Wiemy, że Ellie spędziła u pani parę dni w czerwcu dwa tysiące czwartego roku – podsunął Redfern i poczęstował się ciastem, które staruszka postawiła przed nimi, gdy tylko przyszli. Zdał sobie sprawę, że ostatni posiłek jedli o świcie, co żołądek wypomnił mu bolesnym skurczem.

– Tak, przyjechała z takim ładnym chłopcem w czerwonym samochodzie – ożywiła się Harriet. – Dopiero potem zorientowałam się, że to Travellers, który wpadł na jarmark w Appleby. Miałam złe przeczucia co do niego. A ten jarmark to też istne szaleństwo – tysiące ludzi, wyścigi koni na ulicach, dorożki, ryczące samochody. Nie wychodzę z domu w czasie tego wariactwa. Za to Ellie ciągle tam biegała, wracała późno, a raz nawet wcale, zupełnie jak nie ona – gorączkowała się staruszka.

– Czy pani przeczucia się potwierdziły? – zapytała Summer.

– Częściowo – odparła z niechęcią kobieta. – Pokłóciłyśmy się o niego. Powiedziała mi wtedy, że jestem taka sama jak Camilla, która uważa każdego, kto nie jest Anglikiem, za pędraka. Wyzwała mnie od klasistki, a przecież mnie chodziło tylko o jej dobro.

Jak wszystkim w tej rodzinie, pomyślał Redfern, mając świadomość, że każdy postrzegał je zupełnie inaczej niż Ellie. Przez chwilę bładą poświatą zamajaczyła mu myśl, że dziewczyna podążyła ścieżką ojca, a ktoś z rodziny uznał, że drugie samobójstwo może położyć się cieniem na reputacji rodu. Przepuszczał to rozwiązanie przez sito prawdopodobieństwa i ostatecznie odrzucił.

– Ja bym jej nigdy nie odesłała – dodała zdenerwowana staruszka. – Mówiłam Haroldowi, że to błąd, by taka młoda dziewczyna została sama w dużym mieście, ale oni wiedzieli lepiej. Camilla wiedziała – dodała po chwili już ciszej. – A teraz Ellie nie żyje. I Harold też.

Chusteczka znów powędrowała w stronę oczu, zmieniając swoją barwę na lekki granat. Kobieta wstała i naląła im jeszcze herbaty z imbryka.

– A czy odwiedzali panią, kiedy jeździli do Ellie? – zadała pytanie Summer i skinieniem głowy podziękowała za napełnienie filiżanki. – Mówili coś wtedy?

– Nie mówili, bo nie przyjeżdżali do Burrells – wyłuszczyła rzeczowo i odstawiła dzbanek najwyraźniej głośniejszym, niż zamierzała. – Zawsze jechali pociągami z Woking. Nawet ich rozumiem, bo to w sumie tyle samo czasu, a od Londynu to już można spać całe pięć godzin aż do Glasgow.

Summer posłała Redfernowi piorunujące spojrzenie, na co on odpowiedział ledwie zauważalnym wzruszeniem ramion.

– Wiem, że to dla pani trudne, ale czy przed śmiercią Harold się z panią kontaktował? – zapytał, zerkając ukradkiem na komórkę, która zawibrowała

w jego kieszeni. Numer prywatny niewiele mu mówił, ale David domyślał się, że może oddzwaniać właściciel mieszkania w Glasgow.

– Harold dzwonił w święta z życzeniami – potwierdziła. – Był bardzo zgaszony. Pytałam, o co chodzi, ale powiedział, że to przez kłopoty w pracy, bo coś nie wypaliło. Mój brat miał bardzo stresujące stanowisko i odniosłam wrażenie, że tęsknił za szkołą. Do tego stopnia, że czasem przychodził do niej pomagać słabszym dzieciom.

– To tak wolno? – zdziwił się Redfern.

– Pewnie, sama jeżdżę na przykład pomagać z czytaniem maluchom w podstawówce w Appleby. Jego, jako byłego nauczyciela, z pewnością chętnie zapraszano. Tym bardziej, że żona była wicedyrektorką.

– A kiedy Ellie mieszkała w Glasgow, odwiedzała panią? – dociekał Redfern. Ciasto tylko zaostrzyło mu apetyt, więc postanowił go zagłuszyć porządny łykiem herbaty.

– Nie, dzwoniła kilka razy, ale to nie była ta sama Ellie. Mówiła bełkotliwie, zupełnie nieskładnie, jakby była pod wpływem jakiejś substancji – mówiła z przejęciem staruszka, co chwilę poprawiając kosmyki, które w miarę upływu czasu wyślizgiwały się z gładkiej fryzury.

– Pisała dość wesołe listy do przyjaciół w Ripley, nie narzekała na brak ludzi wokół siebie – podsunęła Summer.

– Mnie się też nie skarżyła, ale biło od niej straszne przygnębienie. Mówiła, że nie ma powrotu do Ripley, a jak wróci, to nie czeka jej nic dobrego.

– Tak powiedziała? – podchwycił inspektor, odstawiając z trzaskiem filiżankę. – Bała się?

– Trudno powiedzieć. – Kobieta nagle zmarkotniała i całą swoją uwagę skupiła na imbryku. – Możliwe, że obawiała się tego chłopaka. Słyszałam raz, jak się pokłócili o jakiś pocałunek czy coś. Podobno u nich tak jest, że jak dziewczyna da się porwać z festynu i pocałować, to jakby przyjęła oświadczyzny. Barbarzyństwo – prychnęła z oburzeniem.

– Więc pokłócili się o ten pocałunek?

– Tak, zrobili pod domem okropną scenę. Ellie chciała wrócić do domu, ale on jej nie chciał puścić. Musiałam wyjść na ganek i powiedzieć mu do słuchu. Oczywiście potem mnie się oberwało, że nic nie rozumiem. Typowa histeria nastolatki...

Albo kogoś, kto szuka pomocy, mruknął w myślach. Coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że nikt nie zareagował na czas i na czas nie powiedział „kocham”. Od najmłodszych lat zadaniem Ellie było spełnianie oczekiwań. Camilli – co do dziecka, którego nie mogła mieć. Ojca – co do nauki. Chłopaka – co do roli maskotki. Ellie dla każdej osoby, którą próbowała kochać,

była projektem. Pytanie tylko, dla kogo na tyle nieudany, że postanowił ją zabić.

Redfern nie wiedział, czy to zasługa podejrzenie słonecznej Kumbrii, czy też głód obdarł kubki smakowe ze sceptycyzmu, ale pieczeń Harriet Maxwell rozpływała się w ustach, karmiąc zmysły ekstazą. Warzywa, którymi gospodyni obłożyła mięso, smakowały wybornie, a uzupełnione o pieczone ziemniaki, przemieniły wczesny lunch w ucztę królów. Wypełniony żołądek wysłał sygnał, że najchętniej przyjąłby pozycję horyzontalną, ale policjantów czekała jeszcze długa droga. Podziękowali kobiecie za wszystko i pożegnali się.

Tym razem miejsce za kierownicą zajęła Summer, dając Redfernowi możliwość oddzwonienia do właściciela nieruchomości w Glasgow. Policjant ustawił komórkę na głośnomówiący i położył na desce rozdzielczej, czekając na połączenie. Mężczyzna odebrał po trzecim sygnale.

– Tak, wynajmowali ode mnie jacyś ludzie z Surrey – mówił z silnym szkockim akcentem, na granicy zrozumienia. – Wzięli mieszkanie w pełni umeblowane. Maxwellowie chyba właśnie, ale niewiele mogę o nich powiedzieć. W tej kamienicy mam trzy mieszkania i każdym rozporządza agencja nieruchomości; ściąga czynsz, zajmuje się naprawami. Właściwie nie mam kontaktu z lokatorami.

– Z Maxwellami też nie miał pan styczności? – zapytał inspektor.

– Ja tylko czynsz co miesiąc od nich otrzymywałem na konto i to wszystko. Kiedyś tam byłem, bo omyłkowo przyszła do mnie przesyłka na tamten adres. Otworzyła mi jakaś dziewczyna w powyciąganym swetrze. Pamiętam, że się wystraszyłem, że to jakaś squaterka, ale przedstawiła się jako Maxwell, więc zabrałem paczkę i tyle.

– Nic więcej pan nie wie? – dopytał Redfern coraz bardziej zawiedziony.

– Nie, ale jak pan chce, to wciąż mieszkają tam ludzie, którzy mogli znać tę dziewczynę. Mam do nich numer. Zaraz do nich zadzwonię i powiem, w czym rzecz.

– Byłoby super – Redfern podziękował i rozłączył się.

Summer spojrzała na niego niepewnym wzrokiem, w którym kryło się coś między rozczarowaniem a irytacją. Niebo jakby wyczuło nastrój panujący w czeskiej maszynie i przybrało kolor owcy pod koniec sezonu.

– Myślisz, że ktokolwiek będzie pamiętać Ellie? – policjantka zadała pytanie, uświadamiając mu, że po dziesięciu latach pamięć ludzka bywa bardzo zawodna.

– Miejmy nadzieję – odparł na mocnym wydechu, ale jego słowa utonęły w dźwiękach dzwonka.

Redfern odebrał połączenie. Pokrótce przedstawił, o kogo chodzi, i ku jego zaskoczeniu mężczyzna o młodym głosie doskonale kojarzył Ellie.

– Bardzo fajna dziewczyna, ale skryta – oświadczył. – Na początku jeszcze się kumplowaliśmy, ale potem trochę jej odbiło. Jeździła non stop do jakiegoś szpitala na północ prosić o dokumenty czy coś. Starła się poruszyć niebo i ziemię, bo chyba chodziło o jakąś chorobę genetyczną, a potem faktycznie mocno zachorowała.

– Zachorowała? – Redfern aż wychylił się do przodu, żeby nie uronić ani słowa z wypowiedzi mężczyzny.

– Tak, ale nie wiem, na co. W każdym razie straciła zęby, ścięła włosy na krótko, przestała wychodzić z domu. Chcieliśmy ją zaprosić na święta, ale tylko wystawiła głowę przez drzwi i odmówiła. Potem w ogóle jej nie widywaliśmy. Matka za to do niej przyjeżdżała prawie co miesiąc, aż w końcu Ellie zniknęła. Bardzo dziwna rodzina.

– A jakoś w maju pojawiła się policja i mocno o nią wypytywali – wtrąciła kobieta, która musiała się przysłuchiwać rozmowie tak jak Summer. –

Przyjechała mama tej dziewczyny z małym dzieckiem na ręku i strasznie płakała. Otworzyli drzwi mieszkania, ale zastali tylko meble.

– Bardzo panu dziękujemy za informację.

– Jasne. Jakby co, to proszę dzwonić na ten numer – zachęcił i rozłączył się.

Redfern spojrzał wymownie na Summer, która bawiła się komórką.

– No co? – Podniosła nagle głowę. – Już wbiłam w nawigację szpital Lochmaben. Możemy jechać, panie generale.

Redfern uśmiechnął się pod nosem i wykonując serię niewygodnych ruchów, ściągnął kurtkę. Czekala ich kolejna godzina drogi, ale miał nadzieję, że wysiłek się opłaci. Coraz więcej elementów zaczęło mu się składać i jeśli miał rację co do większości, pozostawało mu potwierdzić dwie rzeczy, z których jedna czekała na odkrycie w centrum Woking.

*

Recepcjonistka szpitala prawie się zachłysnęła, słysząc, skąd przyjechali i czego potrzebowali. Na szczęście obiekt, w którym na świat przyszła Ellie Maxwell, nie był duży i po chwili przywitał się z nimi dyrektor. Siwy mężczyzna zaprosił ich do kantyny, co Redfern uznał za bardzo trafioną, choć nieświadomie, torturę dla jego przepełnionego żołądka. Lekarz zaproponował im ciastko, ale ograniczyli się do herbaty.

– Chodzi państwu o dziecko, które przyszło na świat w naszym szpitalu prawie trzydzieści lat temu? – upewniał się, starając przebić przez panujący

w stołówce gwar. – To chyba nie będzie możliwe, żeby na szybko znaleźć takie dokumenty.

– Chodzi nam właściwie o dziewczynę, która dziewięć lat temu ubiegała się o dostęp do dokumentów swojej matki. Najprawdopodobniej chciała ustalić przyczynę swojej choroby, stawiając na jakieś schorzenie genetyczne – wyjaśniła nieco pokrętnie Summer.

Dyrektor mocno się zasepił, ale nie mógł sobie przypomnieć takiego incydentu. Po chwili przeprosił ich za brak czasu i wstał od stołu, obiecując wcześniej, że zleci znalezienie dokumentacji Pameli Maxwell. Uprzedził, że najszybciej mogą otrzymać dokumenty jutro. Wyśle je mailem.

Siedzieli w milczeniu, każde zanurzone we własnych przemyśleniach. Redfern rozważał, czy nie zagryźć złości takim samym ciastem, którym przed chwilą raczył się lekarz. Summer najwyraźniej pomyślała o tym samym, bo zaczęła szukać czegoś w torebce, po czym wyciągnęła portfel.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwała się kobieta z sąsiedniego stolika. – Tak się akurat składa, że kojarzę tę dziewczynę, o której państwo mówili. Była bardzo namolna, chciała wiedzieć, co stało się z jej mamą, że umarła przy porodzie.

– Pomogła jej pani?

– Za którymś razem tak – odparła nieco zakłopotana i przysunęła sobie krzesło do policjanta. – To były stare dokumenty, zresztą dotyczyły jej samej, więc nie było przeciwwskazań, by jej je wydać. Poprosiła o ksero.

– Pamięta pani, co w nich było?

– Poza zgonem, niewiele. – Pielęgniarka zmrużyła oczy. – Takich przypadków mieliśmy na oddziale może cztery, a pracuję tu ponad trzydzieści lat. Kojarzę, że kobieta trafiła na oddział bardzo wymizerowana, a z dokumentów wynikało, że jej ciążę prowadziła doktor Maxwell, która była jej szwagierką.

– A czy w owym czasie pracowała tutaj jakaś Camilla? – podrzucił Redfern z ciekawości.

– Pamiętam tylko jedną – Camillę Sullivan, pielęgniarkę z położniczego.

Inspektor zerwał się z krzesła, budząc ogólną ciekawość. Summer podeszła do nich szybkim krokiem, niemal wywracając zawartość tacy, którą niosła.

– Bardzo mi pani pomogła – podziękował pielęgniarce.

Kobieta przeprosiła, że musi już iść, i po chwili zniknęła za drzwiami kantyny, zostawiając na stole niedokończony posiłek. Summer usiadła przy stoliku, rozstawiając ciasto i kawę, którą śmiało można było pomylić z herbatą.

– Śmierć Pameli Maxwell nie była przypadkowa – zawyrokował ponuro Redfern. – Założę się, że jak zaczniemy grzebać w tej dokumentacji, to coś

z pewnością będzie poza normą.

– Myślisz, że Camilla ją zabiła, by zająć jej miejsce obok Harolda? – szeptała teatralnie Summer, a jej głos tonął w niekończącym się harmidrze.

Inspektor tylko uniósł brew i upił z kubka brei, która smakowała dokładnie tak, jak wyglądała.

– Ale jaki miała motyw, żeby zabić Ellie? – sierżantka rozsznurowała worek z pytaniami. – Przecież kochała swoją pasierbicę. Po co to wszystko?

– Dziś jest już za późno, by się tego dowiedzieć, ale jutro z samego rana przyjedź po mnie do domu. Listę rzeczy do sprawdzenia podyktuję ci po drodze – oznajmił i nie czekając na sprzeciw dodał: – Ja prowadzę.

*

Wszystkie ustalenia, które sierżantka Summer Winter poczyniła w drodze do Woking, prowadziły do domu na końcu uliczki Milestone Close. Jednak między każdym faktem pozostawała luźna przestrzeń i nawet dojeżdżając do Surrey, wciąż nie mieli ani motywu, ani ostatecznego dowodu na winę Camilli Maxwell. Redfern poczuł do niej nawet blady cień sympatii. Kobieta wywodziła się z podróżujących Sulivanów i prawdopodobnie nie chciała skazywać pasierbicy na los, przed którym sama uciekła. Tylko dlaczego posunęła się do morderstwa i co najważniejsze, jak to zrobiła?

Pogrążony w domysłach wszedł do domu. Czworonożny komitet powitalny mrużył zaspane oczy pod naporem światła, które zalewało przedpokój. Nawet na dźwięk słowa „spacer” błyszczące węgliki ani trochę nie zwiększyły swojego rozmiaru, za co Redfern podziękował niebiosom. Jedyne, na co miał siłę, to prysznic i lot koszący do łóżka, choć wiedział, że czeka go jeszcze jedna rozmowa.

Wszedł za Banditem do swojego pokoju, ledwo powłócząc nogami. Spojrzał na zegarek i przefasonował swój plan, na pierwsze miejsce wynosząc telefon do patologa. Szkot najwyraźniej był w trybie dwudziestoczterogodzinnego dyżuru, bo odebrał po pół sygnału. Wymienili kilka złośliwości, po czym przeszli do sedna.

– Słuchaj, te próbki, które przywiozła mi ta twoja sierżantka Winter...

– Wiem – przerwał mu Redfern. – Możesz mi wyniki wysłać na maila?

– Nie jestem pewien, czy powinienem.

– Ted, mamy dwudziesty siódmy grudnia. – Redfern przetarł ręką zmęczone oczy. – Myślę, że wyrobiłem normę kopów w jaja na ten rok.

– Dobra, już się nie unoś. Prześlę ci to.

Redfern usiadł na łóżku i wysłał do Summer prośbę o dodatkowe zdjęcia kopert, w których Ellie przysyłała listy do przyjaciół i rodziny, a także wyciągi z kont Harolda i Camilli, o których załatwienie prosił ją wcześniej. Zebrał wszystkie okruchy sił i zmusił się do prysznica.

Stał w wannie, pozwalając, by sznury gorącej wody obmywały mu ciało. Jego myśli krążyły między Ripley a Sheerwater, odbijając się raz od widoku pogorzeliska, a raz dołu na terenie szkoły. Wiedział, że gdy tylko upora się ze sprawą śmierci Ellie Maxwell, będzie musiał znaleźć Eddiego Golfistę i o ile mordercę dziewczyny miał na widelcu, tak bezdomny zadbał o to, by pozostawać w cieniu miasta.

Wszedł do pokoju, siadł przy biurku, przejrzał fotografie i pliki przesłane przez Winter. Zerknął na badanie z laboratorium i bezwiednie złapał się za głowę. Takiego rozwiązania się nie spodziewał.

28.12.2013 r., sobota

Biurowiec McLarena piął się szklanymi taflami, górując nad niskimi kamieniczkami Woking. Summer wysadziła go przy głównym wejściu, które tylko skromnym logo informowało, że znajdują się w centrum świata motoryzacji.

Wysoka brunetka na recepcji poinformowała go, że może iść bezpośrednio do działu kadr, co zrobił niezwłocznie. Wachlarz pytań, które przygotował w nocy, rozciągał się szeroko i trzepotał mu w głowie, choć niektórych odpowiedzi się domyślał.

Dział HR zdecydowanie bardziej przypominał call center aniżeli biuro, jakie znał z komendy w Guildford. Z jednego z ustawionych w boksach biurki kiwnęła na niego młoda kobieta.

– Tutaj mam dane pracowników z interesującego pana okresu. Pan Arthur Austin faktycznie pracował u nas jako asystent menedżera projektu, ale został zwolniony dyscyplinarnie w październiku dwa tysiące czwartego roku. Przepracował u nas dziesięć miesięcy.

– A Harold Maxwell?

– Pan Maxwell także został zatrudniony w styczniu, ale nie został zwolniony. Jego stosunek pracy po prostu ustał – mówiła coraz wolniej, ślizgając się wzrokiem po monitorze. – Pan Maxwell umarł – dokończyła zdziwiona.

– Zgadza się – potwierdził Redfern. – Czy ma pani wgląd do adnotacji, za co został zwolniony pan Austin?

– Niestety. Widzę tylko to, co pan. – Postukała długopisem w ekran.

– Dwa tysiące czwarty? – doszedł ich skrzekliwy głos zza przepierzenia.

– Niech pan nie zwraca na niego uwagi – szepnęła ostrzegawczo dziewczyna.
– To nasz biurowy wariat.

Po chwili stanął przed nimi gruby, łysawy mężczyzna koło pięćdziesiątki. Mimo panującego w sali chłodu jego czoło rosił pot, a pachy szarej koszuli znaczyły ciemne okręgi. Spoczywający na brzuchu krawat połyskiwał dziwnie w okolicach pępka.

– Austin wyleciał, bo się papiery w firmie nie zgadzały, a tylko on i ten jego menedżer latali wtedy do Włoch.

– Szpiegostwo technologiczne? – zdziwił się Redfern. Siedząca obok kobieta przybrała kamienny wyraz twarzy, w przeciwieństwie do kilku, które wychynęły z ciekawością zza ścianek.

– A bo to pierwszy raz ktoś kogoś szpieguje? – Mężczyzna rozłożył ręce, jakby sprzedał najbardziej oczywistą z prawd. – Słyszał pan o Spygate pięć lat temu?

– Fred, daj spokój – syknęła kadrowa, ale ani Redfern, ani pięćdziesięciolatek nie zwracali na nią uwagi.

– Słyszałem, że nasza policja eskortowała włoską do McLarena, właściwie to tylko czytałem w gazetach – oznajmił inspektor, czując, że Fred może do końca rozwiązać jego wątpliwości.

– No to pan wie, że firma była mocno zamieszana w aferę szpiegowską – powiedział już ciszej i przystawił sobie krzesło ze swojego stanowiska. – Ferrari oskarżyło bezpośrednio starszego konstruktora McLarena i jego żonę o kradzież informacji technicznych.

– Podobno firma dostała rekordową karę stu milionów dolarów i dyskwalifikację na sezon.

– Nie inaczej – zgodził się mężczyzna. – Ale mało kto pamięta, że w dwa tysiące czwartym McLaren zaliczył sromotną porażkę w Mistrzostwach Konstruktorów, bo z kolei nam ktoś buchnął część dokumentacji. I tak Ferrari zgarnęło dwieście sześćdziesiąt dwa punkty, a zespół z Woking sześćdziesiąt dziewięć. Pan sobie przejrzy tabelki, jaki tam był pogrom.

– Na wynik przecież nie składa się tylko bolid – rzucił lakonicznie inspektor, chcąc jak najszybciej wycofać się z dyskusji.

– Oczywiście, że nie, ale wpłynęło to mocno na pracę zespołu – mówił z miną nieomylnego eksperta. – Nie mogli się zorientować, kto i na czyje zlecenie podprowadził papiery. Morale siadło tak, że głowa mała. Dopiero wprowadzenie we Francji, właściwie za połowę sezonu, poprawionego MP4-19 w wersji 19B poprawiło nieco wyniki Coultharda – zalewał Redferna numerkami i danymi, których policjant ani nie rozumiał, ani nie potrzebował. – Ale było już po ptakach. Nie znaleźli winnego, na wszelki wypadek wywalili część menedżerów. W tym pana Austina.

Redfern wsiadł do zaparkowanej pod polskim sklepem skody, zadowolony z rozmowy. Summer kończyła właśnie pączka, którego musiała kupić w „Marii”. Lukier upstrzył jej kurtkę i brodę, więc wyciągnęła chusteczkę z kieszeni i zaczęła czyścić twarz.

– Wiesz już wszystko? – powiedziała, strząsając okruchy na podłogę. Inspektor wyobraził sobie tę scenę w triumfie i przeszedł go dreszcz.

– Tak mi się wydaje – odparł. – Masz kompletne papiery?

– Mam. – Odwróciła się i sięgnęła po leżącą na tylnej kanapie teczkę. Otworzyła ją i pokazała inspektorowi zawartość.

– OK, to możemy działać. Zadzwoń tylko do Puszki, żeby odszukał Deana.

– Ty naprawdę wiesz, gdzie on jest?

Redfern nie skomentował, skupiając się na znalezieniu numeru do posterunkowego. Po chwili dyktował Tinneyowi adres, patrząc, jak oczy Summer Winter robią się coraz większe.

– Możesz powiedzieć McMahonowi, że sam na to wpadłeś – polecił młodemu policjantowi. – Nie obchodzi mnie to. Po prostu go przywieź do Dunsborough Park. Adres znajdziesz w necie – dodał i rozłączył się, po czym zwrócił się do sierżantki.

– Podjedziemy jeszcze na Milestone Close.

– Po co?

Redfern rzucił jej krótkie spojrzenie, ucinające wszelkie dyskusje.

– I to podobno ja się rządzę? – skwitowała kobieta.

– Mnie wolno.

– Akurat. – Wydęła wargi. – Jesteś na zielonej trawce.

– Lepiej na chwilę na trawce niż ciągle na dywaniku – odparował. – Ruszaj. To rozkaz.

Jeleń w zimowej szacie skubał z wolna trawę, zupełnie nie zauważając nadjeżdżającego samochodu. Tak jakby hałas i krzykliwa bryła stanowiły naturalny element krajobrazu. Dopiero gdy Redfern parkował pod jednym z dębów, zwierzę podniosło głowę i przyjrzało się dwójce przybyszy. Rogacz zastygł na chwilę w oczekiwaniu, po czym parsknął i przeszedł wolno w stronę lasu, który majaczył na horyzoncie.

– Co masz w tej drugiej teczce? – zagadnęła Summer, wysiadając.

– Zobaczysz.

– Czekamy na Tinneya czy od razu do boju? – zapytała, przechodząc przed maską. Oparła się o wóz i patrzyła na zasnużone szarością strzeliste okna pałacu.

– Nie musimy. – Redfern wskazał głową w stronę alejki, po której ślizgały się światła renault.

Puszka zatrzymał się obok triumpha. Naraz otworzyły się drzwi pasażera i kierowcy. Chłopak w skórzanej kurtce rzucił policjantom spojrzenie zbitego psa.

– Skąd wiedzieliście?

– Nie umie pan siedzieć cicho, panie Maxwell – oznajmił z satysfakcją Redfern. – Ale wysłanie kotów do salonu Oaksów uważam za całkiem niezły kamuflaż – dodał z uznaniem. – Wejdziemy?

Dean bez słowa ruszył po schodach do drzwi. Wsunął klucz od zamka i wprowadził policjantów do hallu.

– Mamo?! – krzyknął, ale nikt mu nie odpowiedział. Spojrzał zdezorientowany na Redferna i zawołał ponownie, ale rezultat był ten sam. Policjanci weszli głębiej i rozdzielili się. Puszka udał się schodami na górę, Summer w stronę salonu, a Redfern z Deanem do kuchni.

– Rodzice mieli lecieć na sylwestra na Mauritius – zakomunikował. – Ale nie wiem, czy poleciliby w takiej chwili.

– Nie polecili – oświadczył niespodziewanie głos dochodzący zza wysokiego kontuaru. Charles Holland siedział przy barze w bawialni, jak Redfern nazwał pokój z bilardem, dartem i wielkim telewizorem. Hrabia patrzył na nich znad drinka.

– Wysłałem twoją matkę – dokończył i dopił zawartość szklanki chwiejnym gestem. – Jest w drodze na lotnisko.

– Proszę ją zawrócić – rozkazał ostro inspektor.

– Nie wiem, czy chcę.

– Na pewno chce pan uniknąć skandalu, a taki wybuchnie, jeśli straż graniczna nie przepuści jej przez granicę i policja odtransportuje tutaj przy akompaniamencie syren. Wystarczy jeden telefon – na znak, że nie żartuje, Redfern wyciągnął komórkę.

– Na jakiej podstawie? – warknął hrabia. – Że dzieciak nam się zawieruszył?

Redfern zrozumiał, że mężczyzna albo udaje, albo naprawdę nic nie wie o powodzie ich wizyty, a samotny wylot żony na Mauritius najpewniej wiązał się z kłótnią małżonków. Gdzieś w środku dzwoniło w nim przecucie, że zapalnikiem był alkohol.

W końcu hrabia sięgnął po telefon i zadzwonił. Wrzasków Camilli nie były w stanie stłumić ani mahoniowe kasetony na ścianach, ani miękka wykładzina podłogowa.

– Nie wyjechała jeszcze z Woking – oznajmił z obojętnością Holland i odłożył komórkę na barek.

Inspektor nie chciał podejmować z hrabią właściwego tematu, więc chętnie przystał na zaproponowanego przez gospodarza drinka. Poprosił dla wszystkich

o Cuba Libre bez rumu, na co starszy mężczyzna się roześmiał. Usiedli przy kontuarze i prowadzili rozmowę o rozczarowującej w tym roku pogodzie.

– Co tu się wyprawia? – doszło ich nagle z korytarza. W drzwiach stała Camilla, której początkowa wściekłość przeszła w krzyk radości. – Synku! Nic ci nie jest? – Dopadła do chłopaka i uściskała go, zalewając rozwichrzone czarne włosy pocałunkami. – Gdzie ty się podziewałeś?

– Możemy to odłożyć? – zapytał przerażająco spokojnym głosem Redfern. – Chciałbym teraz poruszyć inny temat.

– Chodzi o Ellie, znaleźliście mordercę? – Camilla zrobiła krok do przodu.

– Tak, znaleźliśmy – potwierdziła Summer. – Nie wiemy tylko, od czego zacząć.

– Od nazwiska tego bydlaka – odezwał się Holland.

– Sullivan.

– Ktoś od tych Travellersów? – Hrabia wypuścił głośno powietrze przez nos. – Wiedziałem. Z tymi przybłędami zawsze coś jest nie tak.

– A nie Sheridan? – dopytała Camilla i usiadła na jednym z wysokich stołków. Jej bladość kontrastowała z ciemnymi ścianami tak bardzo, że na ich tle zdawała się iluminacją z kiepskich wieczorów spirytystycznych. – Przecież ten jej chłopak...

Redfern nie dał jej dokończyć.

– Chciałbym państwa zapytać o grudzień dwa tysiące czwartego i pobyt Ellie w domu przy Milestone Close. Świadkowie twierdzą, że odwiedziła panią i Harolda zaraz po świętach.

– Ellie nas nie odwiedzała. – Camilla potrząsnęła głową wciąż nieobecna.

– Mamy świadków, którzy twierdzą co innego. – Summer spojrzała na Deana, który z zakłopotaniem uciekł wzrokiem za okno.

– No dobrze, przyjechała z końcem roku – przyznała wreszcie kobieta. – Pokłóciła się z Haroldem o wyjazd do Glasgow, o tego chłopaka od Sheridanów. Tego samego dnia wyjechała.

– Eve to bardzo ładne imię. – Zamyślił się Redfern. – Jak *New Year's Eve*. To wtedy przysłała na świat pani wnuczka, prawda?

Camilla otworzyła usta w niemym zdziwieniu, które w ułamku sekundy przeobraziło jej twarz w posąg z czerwonego granitu.

– Jak pan śmie? – wysyczała wściekle.

– Co pan tu jakieś kretynizmy opowiada? – wciął się hrabia, którego ręka zastygła w połowie nalewania kolejnego drinka.

– Kretynizmem było pomylić zęby mleczne dzieci. Bo te, które pan nam dostarczył, należą do Eve – Redfern sączył wolno słowa, patrząc, jak twarz hrabiego, dotąd jowialna, przechodzi w stan odrętwienia. – Dzięki włosom, które

faktycznie należały do córki Harolda, mogliśmy przeprowadzić test. Eve jest córką Patricka i Ellie.

– Ellie przyszła do was po pomoc, a wy wysłaliście ją do Glasgow jak jakąś niepotrzebną rzecz – mówiła Summer, przenosząc wzrok z Camilli na hrabiego.

– Tam miała urodzić. W tym czasie pani tutaj odstawiła szopkę z ciążą.

– No dobrze – prychnęła Camilla. – Urodziła tutaj i wyjechała, zostawiając nam dziecko. To nie zbrodnia.

– Ale morderstwo już tak – powiedział dobitnie Redfern. – Zabiła pani pasierbicę, tak jak zabiła pani Pamelę Maxwell.

– Niech pan nie będzie śmieszny! – zaskrzypiała nagle. – One... umarły po porodzie. Były słabe, niedomagały.

– Tak, faktycznie obie źle znosiły ciążę. Stąd brak zębów u Ellie i bełkotliwy głos, kiedy dzwoniła do przyjaciółki czy do ciotki. Ale obie zabił atak serca.

– No właśnie.

– Tyle że żadna z nich nie miała kłopotów z sercem. Kochała pani Harolda i nie mogła znieść, że związał się z Pamelą, więc ją pani usunęła i pod płaszczykiem troskliwej przyjaciółki weszła pani w jego życie. – Redfern upił łyk coli. – Przyjechaliście tutaj, pani zrobiła karierę, zaczęła obracać się w coraz lepszych kręgach. Tyle wysiłku, tyle pracy, by awansować społecznie. Dziecko córki z Travellersem przekreśliłoby dobrą pozycję wśród elit.

– A niby jak miałam je zabić? – prychnęła, odzyskując swoją błądź.

– Podając leki wywołujące przyspieszenie akcji serca – wyjaśnił Redfern.

– Podała pani Ellie adrenalinę przeznaczoną dla syna – odezwał się Tinney. – Sprawdziłem. Parę dni po Nowym Roku Dean trafił do szpitala z powodu ataku astmy. Powiedziała pani ratownikom, że nie ma adrenaliny, by mu podać, a przecież powinna być w pani lodówce. Świadczy o tym rejestr recept.

– Pamiętam – szepnął Dean i wycofał się.

– Nie miałam powodów, by zabijać Ellie, niech pan nie będzie śmieszny! Kochałam ją, była moją córką.

– Motywy są dwa i oba stare jak zbrodnia. Pierwszego mogę się domyślać: Ellie nie chciała oddać dziecka. Urodziła przedwcześnie, prawdopodobnie w wyniku karczemnej awantury o Arthura Austina, ale do tego jeszcze dojdziemy. – Uniósł szklanekę do ust. – Wiedziała pani, że wynikną z tego kłopoty, ale zapalnikiem zbrodni były pieniądze.

– Zwariował pan.

– Nie, i tu mogę tylko spekulować. Prawdopodobnie podczas tej kłótni Harold wygadał się, że przepisał wszystko, co miał, na Ellie, a miał wart milion funtów pub, przylegający do terenów szkoły. Harold od dłuższego czasu chorował i wiedziała pani, że jeśli umrze, to jego majątek przepadnie na rzecz

pasierbicy, więc przypomniała sobie pani swoją metodę ze szpitala Lochmaben i usunęła Ellie.

– To są wszystko tylko pana domysły – Camilla odzyskała władzę nad głosem, który stał się zimny i matowy niczym mleczne szkło. – Nic takiego nie miało miejsca.

– Miało – dobiegło ich z rogu salonu. – Mama podała coś Ellie, a kiedy moja siostra zaczęła się źle czuć, mama zamknęła drzwi do jej sypialni.

Kobieta popatrzyła na syna zszokowana.

– Chciałem iść do Ellie, ale była u niej mama. Patrzyłem więc przez szparę w drzwiach, jak mama coś jej wstrzykuje. Zapytałem, co to, a mama powiedziała, że to lekarstwo, i wyszła, nakazując mi powrót do mojego pokoju. Następnego dnia dowiedziałem się, że Ellie wyjechała.

– Nie zauważył pan wcześniej, że siostra jest w ciąży? – dopytał Tinney.

– Miałem osiem lat i wiedziałem, że to mama jest w ciąży, że będę miał upragnione rodzeństwo, będę miał się z kim bawić. To było dla mnie ważne. Z Ellie widziałem się przelotem, bo jechałem na przerwę świąteczną do babci, do Glasgow. Najmniej obchodził mnie jej brzuch, który chyba nawet nie był duży. Gdy wróciłem, miałem nową siostrę i bardzo się z tego cieszyłem. No i była jeszcze Ellie, chociaż źle się czuła, leżała w łóżku. Mimo to pobiegłem nawet powiedzieć Patrickowi, że przyjechała, ale nie miał czasu. No a potem to już był ten zastrzyk i niby Ellie wyjechała.

– Piękna bajeczka – powiedziała ze sztucznym uznaniem Camilla. – I niby zawinęliśmy zwłoki w koc i zakopaliśmy. Jeszcze może w szkole, w której pracowałam? Dobrze sobie!

– Skąd pani wie, że to był koc? – Summer zadała pytanie, które natychmiast pochłonęły ściany, zostawiając wierzącą wszystkie zmysły ciszę.

– Nie wiedziałam, tak sobie powiedziałam. Zresztą Ellie pisała do nas listy jeszcze w marcu, a potem pojawiła się na chrzcinach Eve.

– Nie pojawiła się. To było kłamstwo. Wszystkim w kościele powiedziała pani, że Ellie się spóźniła, ale tak naprawdę w ogóle jej nie było. – Redfern wyjął z teczki przesyłki i wyciągi z banków obojga małżonków. – Dziwnym trafem pani wyjazdy do Glasgow pokrywały się z datami na stemplach pocztowych. Na wyciągach widać, kiedy płaciła pani za pociąg, a kiedy zostały nadane listy. Mało tego, dwa razy popełniła pani ten błąd i zapłaciła na poczcie w Glasgow kartą. To pani wysyłała jeszcze po śmieci Ellie listy do znajomych.

– Camillo Holland – powiedziała Winter, wstając z krzesła. – Aresztuję panią pod zarzutem morderstwa Pameli i Ellie Maxwell.

– Mowy nie ma! – krzyk kobiety rozerwał zabytkowe mury. – Charles, zrób coś!

– Nie mogę, moja droga – oznajmił smutno. – Za długo grałem w tę grę. Faktycznie pomogłem Haroldowi upozorować ciężę Camilli. W klinice, której jestem właścicielem, znajdziecie fałszywe sprawozdania z wizyty położnej, a także z porodu. Nie wiedziałem jednak, że Camilla posunie się do morderstwa, i wciąż tego nie rozumiem. A już pochówek na terenie szkoły uważam za zwyrodnialstwo.

– Ja również – poparł go Redfern. – Długo myślałem, dlaczego morderca ukrył zwłoki w takim miejscu. Chyba chodziło o sentyment i bliskość – zwrócił się do Camilli. – Pani i Harold nie mogliście pochować Ellie w domu przy Milestone Close, bo już go sprzedaliście. Długo też trwałem w przekonaniu, że odkrycie zwłok było zupełnie przypadkowe, ale nie. To też pani zaplanowała.

Camilla siedziała w milczeniu, wpatrując się w blat stołu.

– Dlaczego nagle tak ważne zrobiło się dla pani wójt odwodnienie szkoły? – spytał retorycznie David. – Bo wiedziała pani, że wykopy pójdą przez boisko, a odkrycie zwłok stanowiłoby ostateczny dowód na to, że Ellie nie żyje. I można by położyć łapę na spadku wartym teraz trzy miliony, a może nawet więcej. Bo cena gruntów wzrośnie, gdy szkoła zostanie zamknięta i teren pójdzie pod zabudowę mieszkalną.

Redfern zamilkł na chwilę, ale zaraz rzucił w przestrzeń kolejne pytania:

– A co z tym Arthurem Austinem? Dlaczego wypłacił milion i nic z nim nie zrobił? No tak, panowie uknuli świetny plan, który udał się tylko w połowie. Harold jako osoba związana z projektem miał wynieść dokumentację i przekazać Austinowi, który zamierzał ją sprzedać Ferrari. Pomysł był dość oryginalny. Arthur wiedział, że Harold potrzebuje pieniędzy, by wyjść spod pantofla żony, ale też zabezpieczyć córkę. Będąc w domu Maxwellów, Austin napatrzył się na scenki z życia rodziny i pomyślał, że proponuje transakcję. Tyle że Harold nie chciał po prostu gotówki, chciał inwestycji. Przeprowadzili więc legalną sprzedaż pubu. Stąd pożyczka. – Redfern spojrział na hrabiego. – A potem zwrot pieniędzy, które Austin podjął z konta. Wszystko by się udało...

– Ale do transakcji z Ferrari nie doszło – wtrąciła Summer.

– Nie, bo ktoś ukradł dokumenty Austinowi. – Inspektor wstał i podszedł do okna, gdzie powoli po polach zaczynała snuć się mgła.

– Ellie – szepnął Dean.

– Zgadza się – potwierdził Redfern i wrócił do stołu, na którym położył opasłą teczkę.

– Skąd pan to ma? – zapytał Charles.

– Od Ruby Webbs, której Ellie wysłała ją z Glasgow. To była jedyna przesyłka, którą sama wysłała do Ripley. To była ta cenna rzecz, którą Ellie miała, ale nie wiedziała, co z nią zrobić. Bała się, że ktoś może wpaść na trop,

i na wszelki wypadek zdeponowała dokumenty u jedynej osoby, której ufała bezgranicznie.

Summer podniosła się z krzesła i podeszła do Camilli. Chwyła ją pod ramię i wyprowadziła. Redfern spodziewał się spasmów i krzyków, ale kobieta zdawała się przygotowana na ten moment od lat. Z dumą godną hrabiny uniosła podbródek i zerkając ostatni raz na luksusowe pomieszczenia, szła jak ktoś, kto ma świadomość nieuniknionego.

Pozostało już tylko jedno, choć niełatwe zadanie. Spojrzał wymownie na Puskę.

– Chyba pan żartuje! – zakrzyknął hrabia, wyrywając ramię z uścisku Tinneya. – Nie miałem z tym nic wspólnego!

– Z morderstwem Ellie Maxwell nie – wyjaśnił Redfern. – Ale zataił pan informacje o jej śmierci i brał udział w maskaradzie podczas chrzcin.

W ustach Charlesa Hollanda drgały niewypowiedziane słowa, które zatrzaskał, domykając wargi. Podobnie jak żona minął obecnych w milczeniu, choć inspektorowi się zdawało, że z korytarza doszło go nerwowe zapewnienie, że mężczyznę obroni jego tytuł.

Stojąc przy oknie jednej z piękniejszych posiadłości w Surrey, Redfern czuł na sobie spojrzenie największego z przegranych tej gry. Uczestnika mimo woli, który nosił w sobie najczarniejszą z tajemnic. Po chwili policjant usłyszał oddalające się kroki, które po chwili wyparło trzaśnięcie drzwiami i ryk silnika. Patrzył, jak na drodze wcinającej się w mgłę czerwony stag stara się zostawić za swoim kierowcą ból.

Redfern znał to lekarstwo.

EPILOG

Redfern siedział przy stole i obierał ziemniaki. Miał nadzieję, że zdąży z obiadem. Czekał na Siwiaszczyka, układał w głowie, co ma mu powiedzieć, ale gdy tylko dziadek stanął w progu kuchni, po prostu zapytał z wyrzutem:

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że odwiedzasz Martę?

Pytanie podziało na mężczyznę jak niewidzialna ściana. Zatrzymał się w pół kroku i patrzył zaskoczonym wzrokiem na wnuka.

– Bo byś się nie zgodził – odparł zmieszany i wszedł do pomieszczenia. – Ty ciągle jesteś zajęty pracą, a ona potrzebuje teraz bliskości. Przychodziłem więc i czytałem jej książki.

– Wiem – rzucił Redfern i wziął z biurka kartę pamięci z kamery. – Widziałem i... dziękuję.

Siwiaszczyk podszedł do kuchenki i zajrzał do garnka, w którym dochodził gulasz. Zaciągnął się aromatem sosu i pokiwał głową z uznaniem, po czym odwrócił się w stronę wnuka.

– Nie umiałem utrzymać przy sobie Krysi, Dawidku – wyznał niespodziewanie. – Miłość mojego życia uciekła i przyjechała tutaj, bo samotność przy mnie była nie do zniesienia. Nie popełniaj moich błędów.

Redfern chciał coś powiedzieć, ale przerwał mu dźwięk nadchodzącego połączenia. Zerknął na wyświetlacz leżącej na blacie komórki i rzucił wściekle nożykiem do garnka, rozchlapując wodę. Siwiaszczyk spojrzał na niego pytającym wzrokiem, po czym rzucił:

– Ma tupet, skurczybyk. Odbierzesz? – pytanie utonęło w piskliwej melodyjce. Redfern skinął głową, nacisnął zieloną słuchawkę i przyłożył do ucha telefon.

– Masz tupet, Zheng – powtórzył za dziadkiem, nie będąc w stanie zdobyć się na powitanie.

– Jesteśmy siebie warci – usłyszał w odpowiedzi suchy głos agenta NCA.

– Naprawdę? – Inspektor usiłował zapanować nad gniewem. – Mam nadzieję, że nagrywasz tę rozmowę i prześlesz kopię nie tylko kolegom z agencji, ale też mnie. Chętnie będę sobie odtwarzał ten żart w cięższych

momentach. Na przykład wtedy, gdy będę siedział w areszcie, bo kumpel spruł się przed przełożonymi jak pierwszy lepszy kapuś.

– Daruj sobie. Nie powiesz mi, że to wszystko, co mi zaprezentowałaś parę tygodni temu, nie nadawało się do zaraportowania?

– Widziałeś to, co chciałeś zobaczyć – odparł szorstko. Nagle poczuł, że telefon wibruje, oznajmiając nadejście drugiego połączenia. – I zaraportowałeś to, co chciałeś.

– Na tamtą chwilę widziałem policjanta, któremu odbiło na punkcie jakiegoś niewidzialnego faceta.

– Bardzo osobliwe przeprosiny, Zheng.

– Nie dzwonię z przeprosinami, tylko z informacjami.

– Jednak uznano, że jestem winny porwania Marty, wysadzenia własnego mieszkania, otrucia komendanta Knighta i wysyłania do siebie niewybrednych pogrózek? – wymieniał beznamiętnie Redfern, patrząc na coraz bardziej zdziwionego dziadka, który przysiadł przy stole i przysłuchiwał się rozmowie.

– Nie – odparował Zheng. – Chcę ci przekazać, że znalazłem ostatnie notatki Bonesa. Napisał je tuż przed wyjazdem do Dover, gdzie zastrzelił tego bosmana. Oprócz tego, że są tu wydrukowane zapiski z obserwacji portu, to co jakiś czas pojawia się ręczny dopisek...

– Siostra – dokończył za niego Redfern. – Wiem. Patricia albo nic nie wie, albo coś ukrywa.

– Raczej nie chodzi o siostrę Bonesa – odparł zirytowany agent. – W tych notatkach pojawia się „siostra D.”.

Redfern wstał od stołu, próbując skonstatować, czy Siwiaszczyk usłyszał słowa Zhenga. Jednak z wciąż skutej zdziwieniem twarzy nie dało się nic odczytać. Na wszelki wypadek przeszedł w stronę blatu, oparł się o meble i docisnął do ucha telefon, który znów zawibrował.

– Możesz mi przesłać skany? – zapytał, usiłując stłumić w sobie ekscytację.

– Wolałbym nie zostawiać żadnych śladów, a nawet tradycyjna poczta może je odcisnąć.

Mając w pamięci listy Ellie Maxwell, musiał przyznać agentowi rację. zaproponował spotkanie na neutralnym gruncie w Inn at Maybury. Zajazd na pograniczu Old Woking wydał mu się najbezpieczniejszym miejscem na tego typu rozmowę, a jutrzejsze przedpołudnie najlepszą porą. Pożegnali się i Redfern odłożył telefon, który natychmiast wypełnił kuchnię irytującymi dźwiękami.

Spojrzał na nieznany numer z kierunkowym z Woking i chciał go zignorować, ale dziadek gestem nakazał mu odebrać. Inspektor niechętnie sięgnął po aparat.

– David Redfern? – usłyszał w słuchawce matowy głos kobiety. Przez chwilę pomyślał, że dziennikarze dowiedzieli się o skandalu wokół hrabiego Holland i dzwonią w sprawie komentarza, ale w takim przypadku zwykle poprzedzali jego nazwisko policyjną rangą.

– Tak, w czym mogę pomóc? – zapytał.

– Dzwonię ze szpitala St. Peter, chodzi o panią Martę Sokolińską.

PODZIĘKOWANIA

Podziękowania będą krótkie, ale mam nadzieję, że wybrzmia dostatecznie mocno, bo wdzięczność, jaką czuję do wymienionych poniżej ludzi, nie zmieściłaby się nawet w objętości londyńskiej książki telefonicznej.

Stawiając ostatnią kropkę w *Znakach szczególnych*, chcę zatem podziękować osobom, które strzegą mojej twierdzy optymizmu i wiary, że tym razem też się uda. I tak:

na zachodniej flance: Stefan & Adrian (autor tytułu!), Gosia Gostomska, Asia i Bartek Soczówka, Ania Kamińska,

na wschodniej walczą: Darek Łubkowski, Asia i Marcin Żyndowie, Hubert Gliński, Asia Chrzanowska i Robert Jasiak,

od południa: Marta Matyszczak, Robert Małecki, Marek Stelar, Beata i Eugeniusz Dębscy,

a na północy: Agnieszka Graca, Marta Rokita oraz Ewelina i Marcin Szybiakowie.

Niemal codziennie upewniacie mnie, że mam Wasz miecz, Wasz łuk i Wasz topór, dzięki czemu żadne wędrówki do Pustowia Prokrastynacji ani też nad Urwiska Deadlinu nie są mi straszne. Dzięki za każdy telefon, post, wiadomość, ochrzani i kop na zapęd! Bez Was nie byłoby ani Redferna, ani piszącej mnie.

Przede wszystkim dziękuję jednak mojej kochanej rodzinie – Pawłowi i Lenie – za okazaną troskę i wyrozumiałość, za każdą ciepłą herbatę i gorące słowo wsparcia, a także rodzicom, którzy ani przez chwilę nie przestają we mnie wierzyć.

Załogo Redferna, dziękuję!